

polskazbrojna

CENA 6,50 Zł (W TYM 8% VAT)

NR 12 (860) GRUDZIEŃ 2017

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

UZBROJENIE

**KRABY, KRYLE I RAKI, CZYLI
ARTYLERIA W POLSKIM WYDANIU**

**KIERUNEK
AGAT**

JAK PRZEJŚĆ
SELEKCJĘ
DO WOJSK
SPECJALNYCH

SILA OGNIA

**Koniec
wachty**

Pamiętamy
o oskarżonych przed
laty o szpiegostwo
komandorach, ofiarach
komunistycznego
reżimu



**ROBERT
OSZEK**

OFICER
MARYNARKI
WALCZYŁ
NA ŚLĄSKU
O NIEPODLEGŁĄ
POLSKĘ



HISTORIA

Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” KOŃCZY SIĘ ROK JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, ALE ROZPOCZYNA KOLEJNY, W KTÓRYM IMIĘ MARSZAŁKA NADAL BĘDZIE NA USTACH WSZYSTKICH. WCHODZIMY BOWIEM W IMPONUJĄCY JUBILEUSZ STULECIA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI.

Józef Piłsudski urodził się 5 grudnia 1867 roku. Fenomenalny strateg, wizjoner, otoczony kultem mąż stanu, twórca Legionów Polskich. To on w 1918 roku podjął się sformowania struktur nie tylko wojskowych, lecz także państwowych niepodległej Polski. Nieugięty, zapatrzony w ojczyznę marzyciel. Ziuk, Dziadek, Komendant... Co nam po nim pozostało?

W grudniu artylerzyści obchodzą swoje święto. Mają już do dyspozycji armatohaubice Krab i moździerz Rak. Oswajają się z nowym sprzętem, a jednocześnie trwają prace formalne nad wprowadzeniem go do służby, jest on bowiem jeszcze testowany i poprawiany. To długi proces, ale potrzebny.

O najnowocześniejszym sprzęcie w Polsce i na świecie, a także o przyszłości artylerii rozmawiali w czasie debaty w redakcji „Polski Zbrojnej” specjaliści z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, Wojskowej Akademii Technicznej i Huty Stalowa Wola. Na świecie zauważalny jest powrót do klasycznych systemów artyleryjskich, lufowych i rakietowych. Wojsko nie chce też być całkowicie uzależnione od automatyki i komputerów balistycznych. „Zachowujemy stary sprzęt, by móc strzelać, gdy padnie elektronika”, podkreślają specjaliści. Zapraszamy do lektury.



Drodzy Czytelnicy, z okazji Bożego Narodzenia w imieniu Wojskowego Instytutu Wydawniczego pragnę złożyć Państwu życzenia ciepłych, rodzinnych chwil przy świątecznym stole. Tym z Państwa, którzy są daleko od swoich rodzin i domów – wytrwałości, miłości w sercach, nadziei i otuchy. Nam wszystkim zaś dobrego, spokojnego 2018 roku. Niech ambitne plany uwieńczą chwile pełne satysfakcji, dumy i spełnienia.

KADR



Wigilia w batalionie sztabowym
Ministerstwa Spraw Wojskowych
w Warszawie. Lata trzydzieste XX wieku

FOT. NARODOWE
ARCHIWUM CYFROWE

*
*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

ANDRZEJ DUDA

**PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ,
ZWIERZCHNIK SIŁ ZBROJNYCH**

„My z biciem serc zbierzemy się gromadnie. Zapachnie świerk i przyjdzie Pan na świat. (...)
Sercom przedziwny da spokój, oczom odbierze łzy.
Bo nasza żołnierska kolęda, to dom mój, Ojczyzna i Ty...”.

Miroslaw Jezierski, „Żołnierska kolęda”

DRODZY ŻOŁNIERZE, SZANOWNI PAŃSTWO

Dziękuję za Waszą służbę, za Waszą codzienną gotowość do obrony Rzeczypospolitej.

Za niezwykle istotne uważam budowanie świadomości, że każdego dnia,
o każdej porze możemy na Was liczyć!

Na zbliżający się czas Bożego Narodzenia składam całej żołnierskiej braci,
całemu środowisku – któremu bliskie jest Wojsko Polskie – serdeczne życzenia zdrowia,
pogody ducha, satysfakcji z pełnionej służby, a także wytrwałości w realizacji

Waszej niezwykle odpowiedzialnej misji.

Każdemu z Was życzę pomyślności w nowym, 2018 roku!

*
*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

BEATA SZYDŁO

PREZES RADY MINISTRÓW

*DRODZY ŻOŁNIERZE
I PRACOWNICY WOJSKA!*

Zbliżający się czas Bożego Narodzenia i koniec Roku skłaniają do refleksji nad naszym wspólnym zobowiązaniem wobec Ojczyzny – zapewnieniem Rodakom bezpieczeństwa. Za nami rok modernizacji i wzmacniania polskiej armii. Wojsko Polskie rozwija się dzięki Państwa codziennej, ofiarnej służbie. Dzięki profesjonalizmowi i oddaniu. Życzę Państwu, by świąteczne dni upływały w atmosferze życzliwości i wzajemnego zrozumienia, a nowy, 2018 rok okazał się czasem kolejnych dobrych zmian, sukcesów i wszelkiej pomyślności.

*
*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

ANTONI MACIEREWICZ

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

*PANIE I PANOWIE OFICEROWIE! ŻOŁNIERZE!
SZANOWNI PAŃSTWO ZWIĄZANI ZAWODOWO
Z WOJSKIEM POLSKIM!*

Radość Święta Narodzenia Pańskiego poprzedza zawsze czas oczekiwania. To wydarzenie sprzed ponad dwóch tysięcy lat uświadamia nam wciąż na nowo, że sprawy przełomowe, sprawy najważniejsze wymagają wyrzeczeń, wysiłku i cierpliwości. Wymagają też wiary, odwagi i poświęcenia. Rozumieją to polscy żołnierze i ich rodziny, często rozłączone w tym wyjątkowym czasie. Tę poświęcenia wymaga bezpieczeństwa naszego państwa, które jest naszą największą troską i celem naszej służby. Wyrażając wdzięczność za codzienny trud, składam Państwu życzenia radosnych Świąt Bożego Narodzenia! A także obfitującego w sukcesy rodzinne i zawodowe pomyślnego Nowego Roku – 2018. Jubileuszu naszej wolności!



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. BRONI
LESZEK SURAWSKI**

**SZEF SZTABU GENERALNEGO
WOJSKA POLSKIEGO**

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. W tym szczególnym czasie wszystkim żołnierzom i pracownikom Wojska Polskiego pragnę złożyć najlepsze świąteczne oraz noworoczne życzenia. Dziękuję Państwu za pełną poświęcenia służbę i pracę.

Żołnierze Wojska Polskiego nieprzerwanie czuwają nad bezpieczeństwem Polski. Moje myśli kieruję do wszystkich, którzy spędzą święta, pełniąc dyżury bojowe, służby i warty w kraju. Pozdrawiam żołnierzy wykonujących zadania poza granicami, w ramach sojuszników i międzynarodowych zobowiązań. Rodzinom żołnierskim życzę miłości, wytrwałości oraz ciepła w gronie najbliższych. Świątecznie pozdrawiam żołnierzy rezerwy, weteranów i kombatanów.

Mam nadzieję, że Święta Bożego Narodzenia będą czasem radości, spokoju i refleksji. Życzę, aby rok 2018 przyniósł pomyślność w życiu osobistym oraz zawodowym.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. DYW. SŁAWOMIR
WOJCIECHOWSKI**

**DOWÓDCA OPERACYJNY
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH**

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia składam serdeczne życzenia dobrego zdrowia, pomyślności, żołnierskiego szczęścia, radosnych spotkań oraz spokojnych i bezpiecznych świąt.

Świąteczne życzenia kieruję do wszystkich rodzin żołnierzy, pracowników i przyjaciół naszej wojskowej społeczności, a przede wszystkim do tych, których najbliżsi, dbając o nasze wspólne bezpieczeństwo, świąteczny czas spędzą na służbie w kraju i poza jego granicami.

W nowym, 2018 roku życzę urzeczywistnienia marzeń i realizacji zamierzonych planów.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. DYW.
JAROSŁAW MIKA**

**DOWÓDCA GENERALNY
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH**

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia wszystkim żołnierzom, weteranom, kombatanom, pracownikom resortu obrony narodowej oraz ich rodzinom życzę wielu pięknych chwil, serdecznych spotkań w gronie najbliższych, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Dziękuję za pełną trudów służbę i pracę oraz godne reprezentowanie Sił Zbrojnych RP na ćwiczeniach, misjach oraz podczas uroczystości w kraju i za granicą.

Niech świąteczny czas będzie okazją do wytchnienia od codziennych obowiązków oraz refleksji nad osiągnięciami mijającego roku, a nowy, 2018 rok dostarczy wielu powodów do radości i osobistej satysfakcji.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. BRYG.
WIESŁAW KUKUŁA**

**DOWÓDCA WOJSK
OBRONY TERYTORIALNEJ**

Zgromadzeni przy wigilijnym stole dajemy świadectwo przywiązania i gotowości do obrony naszych najświętszych wartości – Boga, Ojczyzny i rodziny.

Życzę żołnierzom wojsk obrony terytorialnej, by czas świąt stał się dla wszystkich okresem wytchnienia od codziennych trudów oraz umożliwił doświadczenie rodzinnego ciepła, bliskości i spokoju.

Naszym poprzednikom z Armii Krajowej i powojennych organizacji niepodległościowych, których chlubne tradycje dziedziczymy, życzę przede wszystkim zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Wszystkim Państwu życzę radosnych i wesołych świąt, a także pomyślności i bezpieczeństwa w nowym roku, z zapewnieniem, że pozostajemy – zawsze gotowi, zawsze blisko.

✱
*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. BRYG.
ROBERT GŁĄB**

**DOWÓDCA
GARNIZONU WARSZAWA**

Panie i Panowie Oficerowie, Podoficerowie, Żołnierze! Pracownicy Dowództwa Garnizonu Warszawa i jednostek podległych!

Święta Bożego Narodzenia to wyjątkowy czas... Tradycyjnie, staramy się poświęcić go najbliższemu, myśląc jednocześnie o tych, z którymi na co dzień mamy możliwość służyć i pracować. Niech wszystkim nam upłynie on w atmosferze radości, ciepła i spokoju. Niech zbliżający się Nowy Rok będzie kolejnym dobrym rokiem, sprzyjającym osiąganiu ambitnych celów.

Z tej okazji pragnę podziękować wszystkim żołnierzom Dowództwa i podległych jednostek wojskowych za ich pełną poświęcenia służbę i wzorowe wykonywanie powierzanych zadań. Słowa wdzięczności kieruję również do pracowników resortu obrony narodowej.

Świąteczne i noworoczne życzenia wraz z należnymi wyrazami szacunku kieruję także do żołnierzy i pracowników, którzy ze względu na realizację obowiązków służbowych nie będą mogli zasiąść przy wigilijnym stole.

Wszystkim Państwu życzę wspaniałych świąt!

Serdecznie pozdrawiam również czytelników „Polski Zbrojnej” i sympatyków Wojska Polskiego.

*Radosnych
Świąt
Bożego
Narodzenia*

✱
*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. BRYG.
TOMASZ POŁUCH**

**KOMENDANT GŁÓWNY
ŻANDARMERII WOJSKOWEJ**

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia wszystkim żołnierzom i pracownikom wojska Żandarmerii Wojskowej oraz ich bliskim składam życzenia zdrowia, radości oraz pomyślności w życiu osobistym i zawodowym. Bożonarodzeniowe życzenia kieruję również do służb i instytucji, które wspierają nas w realizacji zadań.

Wszystkim polskim żołnierzom życzę, aby święta były czasem radości oraz wytchnienia od trudów codziennej służby. Żołnierzom służącym poza granicami kraju życzę szczęśliwego powrotu do domu.

Dziękuję wszystkim za rok pełen zaangażowania i poświęcenia. W Nowym Roku życzę osobistego szczęścia i sukcesów zawodowych.



„Adoracja Dzieciątka”
Gerrit van Honthorst



„Madonna
z Dzieciątkiem”
Fra Angelico



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

+JERZY

**PRAWOSŁAWNY
ORDYNARIUSZ WOJSKOWY**

**CHRYSTUS SIĘ RODZI!
WYCHWAŁAJCIE GO!
BOŻE NARODZENIE TO ŚWIĘTO
WIELKIEJ NADZIEI, KTÓRA WEDŁUG
SŁÓW AP. PAWŁA „NIE ZAWSTYDZA”
(Rz 5,5).**

To święto, kiedy wychwalając Nowonarodzonego Jezusa Chrystusa, każdy z nas odnawia w sobie nadzieję na niezawodną pomoc i łaskę Bożą. Dzięki tej pomocy przemienia się cały świat i sam człowiek. Otrzymuje on bowiem możliwość bycia z Bogiem na zawsze, nawet po swojej śmierci. Wszystko to stało się możliwe dzięki wielkiej miłości do człowieka Boga, który stał się dla niego właśnie człowiekiem.

Radując się ponowną i zawsze nową możliwością świętowania dni Bożego Narodzenia, życzę w imieniu Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego, aby Nowonarodzone Dziecię obdarzało nas wszystkich duchowym i fizycznym zdrowiem, a nowy, 2018 rok był błogosławiony i spokojny.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

JÓZEF GUZDEK

**BISKUP POŁOWY
WOJSKA POLSKIEGO**

Cud Bożego Narodzenia sprawia, że w grudniowy Czas pragniemy być bliżej Boga, który w Jezusie zamieszkał pośród nas, bliżej człowieka.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia czytelnikom „Polski Zbrojnej” życzę odwagi, aby wyruszyć w stronę Boga i człowieka. Niech spotkanie przy wigilijnym stole, łamanie się opłatkiem i wzajemne życzenia pomogą odbudować i umocnić Wasze wspólnoty. Nie lękajmy się spotkania z Bogiem, który raduje się z każdego, kto przemienił swoje serce.

W nowym, 2018 roku bądźmy ludźmi pojednania i pokoju.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

MIROSLAW WOLA

**EWANGELICKI
BISKUP WOJSKOWY**

Bożonarodzeniowe przesłanie mówi nam, że prawdziwa miłość, której szukamy i za którą tęsknimy, rodzi się w zwykłym człowieku, takim jak my. Uczestniczy ona w naszym ciele i krwi oraz bierze na siebie strach śmierci. Dlatego też nie musimy już szukać Boga w gwiazdach i na niebie, ale możemy odnaleźć go na ziemi, gdyż ma on twarz drugiego człowieka. Niewidzialnego Boga oglądamy naszym sercem, ponieważ Bóg jest miłością.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzę wszystkim żołnierzom, pracownikom wojska oraz ich rodzinom otwartości i radości ze spotkania z drugim człowiekiem.

KADR



Choinka dla dzieci w 6 Pułku Artylerii
Lekkiej w Krakowie. Grudzień 1938 rok

FOT. NARODOWE
ARCHIWUM CYFROWE



TEMAT NUMERU

KRZYSZTOF
WILEWSKI,
TADEUSZ WRÓBEL

16 Siła ognia

Debata o rozwoju polskiej
artylerii

BOGUSŁAW POLITOWSKI

26 Rakiem do przodu

KRZYSZTOF WILEWSKI
30 Przelomowy krab

TADEUSZ WRÓBEL
32 Metoda na kryla



ARMIA

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

34 Zostaną najlepsi

Drugi raz cywile ubiegają się
o miejsca na kursie Jata

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

40 Mocna czwórka

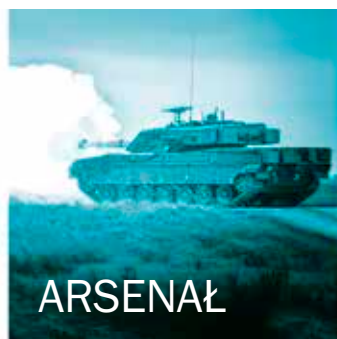
PIOTR RASZEWSKI
43 Rebelia w Rederii

EWA KORSAK, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
46 Zwycięstwo masz
w głowie

ANNA DĄBROWSKA
50 Dowodzenie z szykiem
Rozmowa z gen. bryg. Robertem
Głąbem

KRZYSZTOF WILEWSKI
54 Machiny pod
specjalnym nadzorem

ANNA DĄBROWSKA
60 Sprężenie
kontrolowane



ARSENAŁ

TADEUSZ WRÓBEL
70 Odmładzanie pancerza

Włosi przeprowadzają
modernizację sprzętu
na miarę swoich możliwości

KRZYSZTOF WILEWSKI

78 Mózg po tuningu

RAFAŁ CIASTOŃ
81 Początki
desantu



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI
84 Ekspansja
trzeciego Rzymu

Rosja rozgrywa swoje interesy
na Bliskim Wschodzie

MICHAŁ ZIELIŃSKI
88 Gorzka lekcja
demokracji

ROBERT SENDEK
94 Nowa era sułtanów

MACIEJ HYPŚ
97 Kurs na reformy

TADEUSZ WRÓBEL
101 Cień dawnej potęgi





HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

102 Wilki morskie na suchym lądzie

Zaangażowanie kpt. Roberta
Oszka w powstania śląskie

WOJCIECH ROSZKOWSKI

108 Ocena postaw

TADEUSZ WRÓBEL

109 Pustynny taniec O'Connora

ROBERT SENDEK

113 Bunkier dla każdego

TADEUSZ WRÓBEL

116 Z mocą huraganu

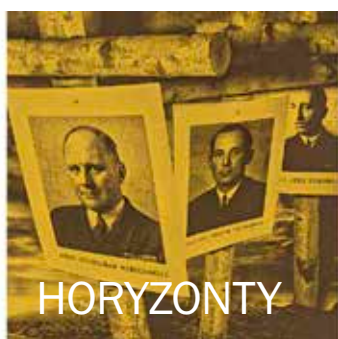
KRZYSZTOF KUBIAK

119 Rozpoznanie walką



Zdjęcie na okładce:
Patrik Cielinski/Combat
Camera DORSZ,
MD/dział graficzny

Znajdziesz nas tutaj:



HORYZONTY

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

120 Łączka oddała komandorów

Bliscy czekali kilkadziesiąt lat,
aby ich godnie pochować

ANNA DĄBROWSKA

127 Mężny duch

JACEK MATUSZAK

128 Dama spod znaku biało-czerwonej

TOMASZ STAŃCZYK

132 Cadillac i piątka trefl

PIOTR KORCZYŃSKI

135 Sztuka odtwarzania

Rozmowa z Krzysztofem
Zającem

PIOTR RASZEWSKI

138 Rozśpiewany garnizon

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

142 Z potrzeby serca

ANNA DĄBROWSKA

144 Wieczna pamięć

ANDRZEJ FAŁARA

154 Z głównym koniem

DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński, Ewa

Korsak, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber,

Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel,

tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-

-Sendek, tel.: 725 880 221; Piotr Zarzycki,

Rafał Ciastoń, Andrzej Fąfara, Maciej Hypś, Krzysztof

Kubiak, Jacek Matuszak, Tomasz Otłowski, Piotr

Raszewski, Wojciech Roszkowski, Robert Sendek, Tomasz

Stańczyk, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski,

tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (p.o. kierownika), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata

Szustkowska, tel. 261 845 387, 261 845 180,

faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 28.11.2017 r.

DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojny” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.prenumerata.ruch.com.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojny”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze

odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów

niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie

prawo do skrótów.

Exemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji

wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska

Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje

regulamin dostępny na stronie głównej portalu

polska-zbrojna.pl.



Ochrona na miarę



MASKPOL



PGZ

www.maskpol.com.pl



KORMORAN W SŁUŻBIE

MARIAN KLUCZYŃSKI

Do marynarzy trafił nowoczesny niszczyciel min.

Po zakończonych badaniach kwalifikacyjnych ORP „Kormoran” został przekazany 8 Flotylli Obrony Wybrzeża. Nowoczesny niszczyciel min jest przeznaczony do prowadzenia działań bojowych na morzach Bałtyckim i Północnym, a w wypadku działań sojuszniczych także na innych akwenach. „To historyczny moment, po raz pierwszy od dłuższego czasu polscy marynarze dostaną całkowicie nowy okręt, w dodatku zbudowany w rodzimej stoczni”, podkreśla kmdr por. Czesław Cichy, rzecznik Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Resort obrony podpisał umowę na budowę trzech nowych niszczycieli min w 2013 roku. Realizacją zamówienia zajęło się konsorcjum, w skład którego weszły m.in. Stocznia Re-

montowa Shipbuilding oraz Centrum Techniki Morskiej. W efekcie powstała pierwsza, prototypowa jednostka.

ORP „Kormoran” ma długość 58,5 m, szerokość przekraczającą 10 m i wyporność 830 t. Uzbrojenie okrętu stanowi 23-milimetrowa armata Wróbel II, która później zostanie zastąpiona przez armatę kalibru 35 mm, trzy wielkalibrowe karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm oraz trzy wyrzutnie rakiet Grom.

Zgodnie z planem w najbliższym czasie polska marynarka wzbogaci się o kolejne okręty. W Stoczni MW trwa budowa jednostki patrolowej ORP „Ślązak”. Okręt przechodzi próby stoczniove. Resort obrony zapowiada też, że do końca tego roku wyłoni wykonawcę nowych okrętów podwodnych. PZ, ŁZ



Drony w natarciu

Zgodnie z kontraktem o wartości ponad 100 mln zł do wojska trafi 100 zestawów dronów krótkiego zasięgu. W skład każdego wchodzi pięć bezzałogowców. Armia kupiła też pakiet szkoleniowy. System amunicji krążącej Warmate, nazywany dronami uderzeniowymi, opracowany przez inżynierów Grupy WB, łączy funkcje: rozpoznawczą i uderzeniową. Z nowego uzbrojenia będą korzystać wszystkie rodzaje sił zbrojnych. „W pierwszej kolejności drony otrzymają wojska specjalne i obrony terytorialnej”, mówił minister Antoni Macierewicz.

System Warmate waży 5 kg. Do głowic można stosować trzy rodzaje ładunków: odłamkowy, kumulacyjny i termobaryczny – służą one do przeprowadzenia ataku na żołnierzy, lekko opancerzone pojazdy oraz umocnione punkty oporu. Bezzałogowiec lata z maksymalną prędkością 150 km/h i porusza się w promieniu 10 km od stacji kontroli. Po lokalizacji i rozpoznaniu celu operator drona wykonuje precyzyjny atak na siły przeciwnika. PZ, EK, MKS

Warmate niszczy
wybrany cel
w ten sposób,
że się o niego
rozbija.

Podwójny krok

Baterie coraz
bliżej Polski.



A amerykańska agencja rządowa odpowiedzialna za przygotowywanie międzypaństwowych umów na sprzedaż broni produkowanej w USA (Defense Security Cooperation Agency) złożyła w amerykańskim Kongresie dokumenty informujące o zamiarze sprzedaży Polsce dwóch baterii systemu obrony przeciwrakietowej Patriot.

Maksymalna kwota, na jaką może opiewać kontrakt, to 10,5 mld dolarów, czyli około 37 mld zł. Jeżeli amerykańscy parlamentarzyści nie zgłoszą sprzeciwu, rząd USA będzie mógł wysłać do Polski ofertę na dostawę tych zestawów. Sześć pozostałych baterii patriotów ma zostać kupionych w ramach drugiej umowy. PZ, KW

Zmiany w pakiecie

NATO planuje reformę struktur w Europie.

Podczas spotkania w Brukseli ministrowie obrony państw NATO zdecydowali, że zostaną utworzone dwa nowe dowództwa, które umożliwią sprawne przemieszczanie sprzętu i żołnierzy sojuszu na terenie Europy, a także wzmocnią bezpieczeństwo na szlaku komunikacyjnym między Ameryką Północną a Europą. Szczegóły dotyczące nowej struktury poznamy w lutym 2018 roku. Jak mówił minister Antoni Macierewicz, Polska jest gotowa, aby jako organizator zaangażować się w formowanie jednego z tych dowództw. Ministrowie obrony podjęli też decyzję o utworzeniu Centrum Operacji Cybernetycznych.

2 nowe dowództwa

usprawnią przemieszczanie wojska w Europie oraz wzmocnią bezpieczeństwo na szlaku między Ameryką Północną a Starym Kontynentem.

„Uzgodniliśmy, że zintegrujemy zdolności cybernetyczne poszczególnych państw, aby wykorzystywać narodowe struktury podczas misji NATO”, podał Jens Stoltenberg, sekretarz generalny sojuszu. W Brukseli dyskutowano też o sytuacji w Afganistanie oraz przyszłości misji „Resolute Support”. Szefowie resortów obrony po konsultacji z pełniącym obowiązki ministra obrony Afganistanu gen. Tarikiem Shah Bahramim zdecydowali, że NATO nadal będzie szkolił tamtejsze siły i im doradzał. Ustalono też, że zwiększy się wymiar tego zaangażowania.

PZ, MM

Dwa kontrakty

Ministerstwo Obrony Narodowej podpisało dwie ważne dla polskiej armii umowy modernizacyjne. Trzyletni kontrakt na dostawę i montaż w samolotach MiG-29 najnowszych systemów identyfikacji bojowej „swój-obcy” (Identification Friend or Foe – IFF) wart jest około 67 mln zł. Urządzenia opracowane przez specjalistów z Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 w Bydgoszczy trafią do maszyn z 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. Dostawy rozpoczną się za kilka miesięcy. „Zgodnie z umową ostatni samolot ma zostać zmodernizowany w 2020 roku”, mówił Leszek Walczak, prezes WZL nr 2. Takich zmian wymaga od nas NATO, bo ustalono, że od 2020 roku każdy statek powietrzny sojuszu musi być wyposażony w IFF w standardzie XII Mod 5. Taki system zainstalowano już we wszystkich F-16, ale MiG-29 i Su-22 dysponują jesz-

cze starszą wersją urządzeń do identyfikacji „swój-obcy”.

Armia zleciła też konsorcjum, w którego skład wchodzi Wojskowy Instytut Techniki Inżynieryjnej, Bydgoskie Zakłady Elektromechaniczne „Belma” oraz spółka

MindMade, opracowanie nowoczesnego systemu sterowanych min przeciwpiechotnych Jarzębina-S. Dwuletnia umowa jest warta 15 mln zł. Mariusz

Bednarski, prezes BZE

„Belma”, podkreśla, że jarzębina-S spełni wszystkie wymagania ujęte w konwencji ottawskiej, dotyczącej m.in. zakazu używania przeciwpiechotnych min kontaktowych (np. z zapalnikami naciskowymi). „Jarzębina-S zostanie wyposażona w systemy ostrzegania o zagrożeniu minowym, odstraszania intruzów, informowania obsługi o wejściu w strefę rażenia oraz rażenia ze znacznej odległości”, wyliczał prezes Bednarski. PZ, KW

JARZĘBINA-S

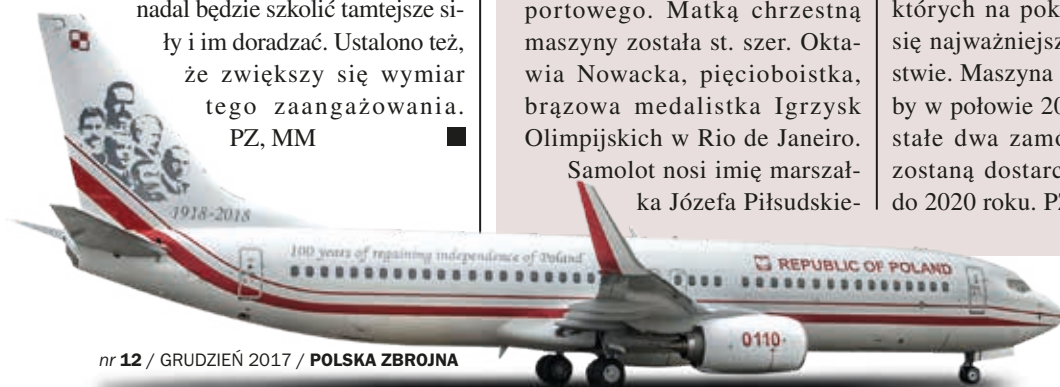
spełni wszystkie wymagania ujęte w konwencji ottawskiej.

SKRZYDŁA VIP

Pierwszy z trzech boeingów trafił do 1 Bazy Lotnictwa Transportowego.

Boeing 737-800, który ma służyć do przewozu najważniejszych osób w państwie, wylądował w 1 Bazy Lotnictwa Transportowego. Matką chrzestną maszyny została st. szer. Okława Nowacka, pięcioboistka, brązowa medalistka Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro. Samolot nosi imię marszałka Józefa Piłsudskiego-

go. Boeing zostanie teraz przebudowany do wersji VIP i dostosowany do lotów o statusie HEAD, czyli takich, podczas których na pokładzie znajdują się najważniejsze osoby w państwie. Maszyna wejdzie do służby w połowie 2018 roku. Pozostałe dwa zamówione boeingi zostaną dostarczone do Polski do 2020 roku. PZ, EK



OBRONA W UE

Polska przystąpiła do nowej inicjatywy obronnej Unii Europejskiej.

Deklarację o przystąpieniu do unijnej stałej strukturalnej współpracy wojskowej w dziedzinie obronności (Permanent Structured Cooperation –

PESCO) notyfikowały w Brukseli 23 kraje Unii Europejskiej. Współpraca w ramach PESCO, nazywanego wojskowym Schengen, ma służyć rozwojowi zdolności obronnych i pogłębieniu współpracy wojskowej państw UE. W planach jest m.in. uruchamianie wielonarodowych programów zbrojeniowych i badawczych dofinansowanych ze wspólnego budżetu Unii. Polska uzależnia udział w tej inicjaty-

wie od spełnienia trzech warunków, które znalazły się w dołączonym do notyfikacji liście. „Dla nas najważniejsze jest, aby PESCO gwarantowało wsparcie wschodniej flanki w nie mniejszym stopniu niż działania na innych kierunkach, w tym południowej flance UE i NATO”, zaznaczył minister Macierewicz. PESCO nie będzie tworzyć równoległej struktury militarnej i obronnej do NATO. PZ, AD ■

Panu Antoniemu Macierewiczowi,
ministrowi obrony narodowej,
Rodzinie oraz Bliskim

wyrazy żalu, wsparcia i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
generał broni Leszek Surawski
oraz żołnierze i pracownicy SGWP.

Ministrowi obrony narodowej
Panu Antoniemu Macierewiczowi
oraz Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają kierownictwo i pracownicy
Agencji Mienia Wojskowego.

Ministrowi Obrony Narodowej
Panu Antoniemu Macierewiczowi
oraz Rodzinie

wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci

Teściowej

składają dyrektor i pracownicy
Wojskowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,
podsekretarzowi stanu w MON,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Matki

składa Antoni Macierewicz,
minister obrony narodowej.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,
podsekretarzowi stanu w MON,
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje wraz z modlitewną pamięcią
z powodu śmierci

Mamy

składa sekretarz stanu w MON
Bartosz Kownacki.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,
podsekretarzowi stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej,
Rodzinie oraz Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
generał broni Leszek Surawski
oraz żołnierze i pracownicy SGWP.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,
podsekretarzowi stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej,
wyrazy głębokiego współczucia i szczerzego żalu z powodu śmierci
Mamy

składają dyrektor i pracownicy Wojskowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie.

TEMAT NUMERU

/ ARTYLERIA



W najbliższych
latach do jedno-
stek artylerii trafią
kolejne moduły dy-
wizjonowe samo-
bieżnych armato-
haubic kalibru
155 mm Krab.



DEBATA POLSKI ZBROJNEJ

SIŁA OGNIA

*Z Waldemarem Janiakiem, Przemysławem
Kupidurą, Bartłomiejem Zającem,
Wojciechem Furmankiem, Wojciechem Dalką
i Jackiem Kijewskim*

o największych wyzwaniach stojących przed artylerią rozmawiają
Tadeusz Wróbel i Krzysztof Wilewski.

BARTOSZ RÓŻAŃSKI / 21 BSP



Z

jednej strony mamy już w linii nowoczesne langusty, kraby i raki, a jednocześnie w służbie nadal są przestarzałe goździki i nieco, ale tylko nieco, młodsze dany. Jaki jest stan naszych wojsk raketowych i artylerii?

Waldemar Janiak: Wojska raketowe i artylerii są w okresie przejściowym. Nadal mamy stare, posowieckie systemy uzbrojenia, jak 122-milimetrowe samobieżne haubice 2S1 Goździk, 152-milimetrowe samobieżne armatohaubice Dana, holowane moździerz 120-milimetrowe czy przeciwpancerne pociski kierowane Malutka, a jednocześnie wdrażamy nowy sprzęt. Wprowadzane są kompletne moduły dywizjonowe czy kompanijne z elementami dowodzenia, rozpoznania i logistyki. Pierwszy raz w ten sposób podeszliśmy do wdrażania nowego uzbrojenia przy programie „Regina”, czyli samobieżnej haubicy Krab kalibru 155 mm. To wymagało współpracy z wieloma gestorami odpowiedzialnymi za sprzęt stanowiący dodatkowe wyposażenie dział, wozów: dowodzenia, remontu uzbrojenia i amunicyjnych, oraz z centralnym organem logistycznym. Nie udało się do końca zsynchronizować dostaw sprzętu i amunicji, ale jeśli chodzi o tę ostatnią, znaleźliśmy przyczyny opóźnień. Dziś staramy się nie tylko je nadrobić, lecz także ukierunkować nasze zdolności na nowe rozwiązania w odniesieniu do ładunków miotających, kruszących oraz technologii pozwalających na uzyskanie precyzji rażenia.

Raki to ostatni etap modernizacji naszej artylerii?

Waldemar Janiak: Zdecydowanie nie. Modernizacja nadal jest konieczna i obejmuje chociażby przeciwpancerne zestawy pocisków kierowanych, w tym dywersyfikację systemów naprowadzania, moździerz, działa oraz wyrzutnie arty-

lerii raketowej i rakiet. Jednocześnie do tego sprzętu uruchomiliśmy programy amunicyjne, np. pociski dymne, oświetlające, precyzyjnego rażenia, a także samonaprowadzające wykorzystujące różnego typu sensory. Zmieniają się równocześnie struktury oddziałów i pododdziałów WRiA oraz podejście do działań taktycznych i operacyjnych. Myślimy o stworzeniu wojsk raketowych z wykorzystaniem potencjału, jakim dysponuje już marynarka wojenna. Zarząd Wojsk Rakietowych i Artylerii, na podstawie koncepcji zatwierdzonej przez ministra obrony, w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia utworzył Ośrodek Szkolenia Połączonego Wsparcia Ogniwego. Został on wstępnie pozytywnie oceniony przez doświadczonych w tych działaniach kolegów z USA.

Przemysław Kupidura: Wprowadzone w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych goździki i dany pozwoliły przetrwać artylerii przez 30 lat. Pod koniec lat osiemdziesiątych powinny jednak zostać podjęte decyzje dotyczące systemów artyleryjskich nowej generacji. To był czas zmian ustrojowych w Polsce i nie ustalono na poziomie politycznym, w jaki sposób to zrobić. Krajowy przemysł zbrojeniowy, zaczynający funkcjonować na zasadach rynkowych, nie był zaś w stanie dostarczyć nowoczesnego sprzętu dla artylerii i nie było wiadomo, od kogo można go nabyć za granicą. Nie było też na to pieniędzy.

Waldemar Janiak: Znam ten problem, ale jako żołnierz nie chcę oceniać decyzji politycznych z przeszłości. Wiem, że brak zamówień ze strony wojska spowodował zamykanie linii produkcyjnych i zwalnianie wysokiej klasy specjalistów. Niełatwo jest odtworzyć utracone wówczas zdolności, trudno jest także pozyskać nowe technologie i zmodernizować linie produkcyjne. Z tego wynikają m.in. obecne problemy z nowym sprzętem przejawiające się pewnymi opóźnieniami w dostawach do jednostek wojskowych.

Na świecie można zaobserwować po- wrót do klasycznych systemów artyleryj- skich, lufowych i raketowych



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

WIZYTÓWKA

BARTŁOMIEJ ZAJĄC

Jest członkiem zarządu, dyrektorem rozwoju Huty Stalowa Wola.

Bartłomiej Zając: Lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia to trudny czas dla producentów ciężkiego uzbrojenia, którzy momentami balansowali na krawędzi upadku. Nasz zakład stracił wtedy wiele kompetencji. Ich odtworzenie jest bardzo kosztowne, a niekiedy wręcz niemożliwe. Huta Stalowa Wola jest silnym graczem na rynku krajowym, ale musimy się jeszcze wiele nauczyć.

Waldemar Janiak: Dlatego modernizacja tego rodzaju wojsk to ogromne wyzwanie dla polskiego przemysłu obronnego, który przez dziesięciolecia nie opracował od podstaw żadnego systemu artyleryjskiego. Jako pierwszy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku powstał moździerz 98-milimetrowy. Niestety nie można tego systemu uzbrojenia porównać z M120 Rak, ponieważ byłoby to porównanie technologii zastosowanej w fiacie 126p z tą z mercedesa. Sądzę jednak, że zdobyto pewne doświadczenia, które dziś procentują.

Przemysław Kupidura: Ten moździerz zarówno ze względów politycznych [kaliber poniżej 100 mm oznaczał, że nie wchodzi w limit 1610 systemów artyleryjskich przyznanych Polsce w ramach traktatu o konwencjonalnych siłach w Europie], jak i konstrukcyjnych był rozwiązaniem przejściowym. Dzięki niemu udało się jednak odbudować krajowe zdolności projektowe.

Obecna modernizacja artylerii to zmiana nie tylko typów dział i wyrzutni, lecz także kalibrów. Jednym z wniosków, jakie powinniśmy wyciągnąć z przeszłości, jest ko-

nieczność ciągłego unowocześniania wprowadzanego uzbrojenia. Żeby nie powtórzył się casus goździka, w którym jedyną zmianą było zamontowanie drzwiczek do wyrzucania zbędnych ładunków miotających, a i tę wymusiły tragiczne wypadki.

Przyszłość kraba zawisła na włosku z powodu problemów z podwoziem. Według niektórych opinii powodem były nie tylko sprawy techniczne, lecz także złe relacje między szefami firm zaangażowanych w ten program.

Bartłomiej Zając: Nie zamierzam oceniać relacji byłych prezesów. Nic dziwnego jednak, że duże opóźnienia w programie „Regina” wywołały zniecierpliwienie zamawiającego, który zdecydował się na zagraniczne podwozie. Problemy z nim mógł jednak rozwiązać nasz przemysł, chociaż konieczne były pewne technologie z zagranicy i skuteczne wdrożenie działań naprawczych.

Waldemar Janiak: Decyzja o zmianie podwozia, podjęta po porozumieniu się Inspektoratu Uzbrojenia MON, gestora i przemysłu spowodowała, że mamy krajowego dostawcę, co jest kluczowe na wypadek stanu „W”. Bez niej musielibyśmy kupić nowy system artyleryjski od zagranicznego producenta lub pozyskać używany z innych armii.

Bartłomiej Zając: Nowe podwozie jest bardzo dobre i dzięki niemu możemy się wiele nauczyć. Tak swoją potęgę →



WIZYTÓWKA

PPLK DR INŻ. JACEK KIJEWSKI

Jest adiunktem w Instytucie Techniki Uzbrojenia Wojskowej Akademii Technicznej, specjalistą w dziedzinie uzbrojenia artyleryjskiego i wozów bojowych.



WIZYTÓWKA

PPLK DR INŻ. WOJCIECH FURMANEK

Jest adiunktem w Instytucie Techniki Uzbrojenia Wojskowej Akademii Technicznej, specjalistą w dziedzinie amunicji i środków bojowych.

gę zbrojeniową tworzyła Korea Południowa. Najpierw kupowała licencje, a potem zdobytą wiedzę wykorzystywała do tworzenia własnych rozwiązań. My chcemy pójść tą drogą, czego jednym z przykładów może być Krab 2. Liczymy również na współpracę z Wojskową Akademią Techniczną przy modernizacji armaty do raka. Dzięki długoletnim programom artyleryjskim nie musimy martwić się o fundusze na bieżące funkcjonowanie firmy i możemy zająć się nowymi produktami, które w całości będą polskie. Wraz z wejściem do wojska obecnej wersji kraba rozpoczęto działania mające doprowadzić do powstania jego następcy. Chcemy, aby była to całkowicie polska konstrukcja. Niestety na razie nie mamy kilku kluczowych technologii.

Jaki kierunek obiorą wasze prace badawczo-rozwojowe?

Bartłomiej Zajac: Będą zmierzać ku dalszej automatyzacji systemów artyleryjskich i pola walki. Już w fazie badawczo-rozwojowej podejmowaliśmy próby związane z programowaniem wieży raka, aby automatycznie wykonywała zadania ogniowe. Pozostaje jeszcze kwestia kierowcy i automatyzacji nośnika. Sądzę jednak, że w przyszłości powstaną platformy bezzałogowe.

A lufownia?

Bartłomiej Zajac: Jest to niezwykle trudny problem, bo nie sztuką jest kupić maszyny do produkcji. Takie kompe-

tencje buduje się latami, a do Huty Stalowa Wola wrócili one jakiś czas temu. W Polsce powstają już lufy do raków i krabów. Trwają też rozmowy z potencjalnymi krajowymi dostawcami półfabrykatów. Należy mieć na uwadze to, że badania żywotnościowe nowej lufy to koszt około 30 mln złotych. Poza tym armata to nie sama lufa...

Jacek Kijewski: Jeśli chodzi o materiały, to możemy to zrobić, bo w tej dziedzinie odnosimy sukcesy na skalę światową. Tylko czy będziemy w stanie wyprodukować to, co wymyślą naukowcy. Nie jest problemem narysowanie czegoś w taki sposób, żeby spełniało wymagania. Trzeba to jednak wytworzyć i przetestować, a to oznacza ogromne koszty. Konieczne są więc wcześniejsze analizy finansowe, żeby ocenić, czy warto angażować się w dany projekt.

A może polska armata czołgowa?

Przemysław Kupidura: Ekonomikę produkcji poprawia wytwarzanie większej liczby kalibrów sprzętu artyleryjskiego w jednym zakładzie. Czy powinniśmy zatem uruchomić produkcję armaty czołgowej? Myślę, że tak. Biorąc pod uwagę dzisiejsze tempo strzelania w czasie szkolenia, te armaty będą się szybko zużywały. Jest jednak pewien problem. Jeżeli trzeba byłoby skonstruować nową armatę, to musiałaby ona pasować do leopardów. Mogłoby się wtedy okazać, że skonstruowaliśmy to samo, co Niemcy i w zasadzie nie powinniśmy tego produkować. Mało kto na świecie pokusił się o opracowanie własnej konstruk-

Użycie amunicji precyzyjnej zmniejsza zarówno koszty logistyczne, jak i ryzyko spowodowania strat wśród ludności cywilnej



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (3)

WIZYTÓWKA

PŁK DR INŻ. PRZEMYSŁAW KUPIDURA

Jest zastępcą dziekana Wydziału Mechatroniki i Lotnictwa Wojskowej Akademii Technicznej oraz adiunktem w Zakładzie Konstrukcji Specjalnych Instytutu Techniki Uzbrojenia tego wydziału.

cji armaty czołgowej. Trzeba zatem przeanalizować, czy ma to być uzbrojenie do obecnie używanych czołgów, czy tych najnowszej generacji.

Zanim wprowadzono do służby kraba, Huta Stalowa Wola zaangażowana była w modernizację wyrzutni artylerii raketowej BM-21 Grad do langusty. Czy ten program będzie kontynuowany?

Przemysław Kupidura: Gdy rozpoczynaliśmy program „Langusta”, to traktowaliśmy kaliber 122 mm jako przejściowy. Poza państwami postsowieckimi, które odziedziczyły tysiące wyrzutni BM-21 Grad, reszta świata preferuje systemy o kalibrach ponad 200 mm. Dzięki languscie nastąpił jednak postęp w naszym przemyśle amunicyjnym – powstały technologie, które można wykorzystać w produkcji amunicji innych kalibrów. Trzeba pamiętać, że modernizacja beemki to nie tylko amunicja i podwozie, lecz także nowoczesny system kierowania ogniem – coś, co będzie funkcjonowało w każdej wyrzutni nowego wzoru.

Waldemar Janiak: Myślę, że faktycznie nastąpił postęp w naszym przemyśle amunicyjnym, ale wiem również, że jest jeszcze dużo do zrobienia. Posiadamy 122-milimetrową amunicję raketową z pod pociskami przeciwpancernymi. ZM Mesko zakończyły badania nowego pocisku raketowego odłamkowo-burzącego. Jest również druga wersja wyrzutni WR-40, Langusta 2 na ośmiokołowym podwoziu, ale teraz priorytetem jest homar.

Kaliber i zasięg powinny zależeć od szczebla, na którym funkcjonuje konkretny system. Inne cele do zniszczenia ma artyleria w składzie brygady, a inne jej dywizyjny pułk. Rosjanie nadal modernizują grady, chociaż mają systemy o kalibrach 220 i 300 mm.

Wojciech Furmanek: Na wschodzie w istocie jeszcze do niedawna tak było. Dla wyrzutni raketowych określonego kalibru, występujących na danym szczeblu organizacyjnym, dostępny był też konkretny zestaw głowic, a przez to również określone spektrum możliwych do rażenia celów. Powstałe na skutek tego ograniczenia, związane głównie ze zdolnością rażenia i charakterystykami balistycznymi amunicji danego kalibru, nie dawały jednak artylerzystom dużej elastyczności podczas prowadzeniu ognia.

Waldemar Janiak: Chcemy, by system Homar był przystosowany do używania trzech, a nie dwóch pakietów pocisków o różnych kalibrach. To rozwiązanie będzie wymagało większej liczby wozów amunicyjnych i rozwiązania problemów z wycelowaniem wyrzutni. Będą to dwa pakiety pozwalające na rażenie przeciwnika z wysoką precyzją.

Dlaczego homary będą na kołach? Może powinniśmy stworzyć polski odpowiednik Multiple Launch Rocket System z podwójną wyrzutnią?

Waldemar Janiak: Nie jest powiedziane czy też przesądzone, że ten program ma zakończyć się na 56 wyrzutniach



na kołach. Najpierw jednak musimy zrobić pierwszy krok i uzyskać zakładane zdolności.

Co na to HSW? Podjęłaby się takiego zadania?

Bartłomiej Zajac: Nie lubię zabierać głosu w dyskusjach strategicznych, bo pamiętam debatę o tym, czy BWP powinien pływać. My, jako przemysł, jesteśmy po to, aby wykonywać zadania stawiane nam przez wojsko. Nie bierzemy udziału w dyskusjach, czy coś jest potrzebne. Jeśli jednak chodzi o odpowiedź na pytanie, to tak, jesteśmy w stanie to zrobić. Ten projekt jest trudny pod względem logistyki wykonania i realizacji kontraktu, bo Amerykanie nie są łatwym partnerem.

Czy nasze ośrodki naukowe są w stanie opracować zaawansowane systemy rakietowe o zasięgach, jakich oczekuje wojsko?

Wojciech Furmanek: Oprócz wymaganego zasięgu zwróciłbym uwagę na jeszcze inną kwestię. W sytuacji, gdy do uzbrojenia prowadzane są coraz nowocześniejsze systemy antyrakietowe, konieczne jest podjęcie prac zmierzających do zastosowania w pociskach rakietowych bardziej zaawansowanych rozwiązań niż tylko korekcja toru lotu w ich końcowej fazie. Pociski kolejnych generacji, szczególnie dalekiego zasięgu, powinny mieć możliwość wykonywania manewrów, które znacząco utrudniają ich zwalczanie.

Przemysław Kupidura: Wdrożenie do produkcji jakiegokolwiek rakiety lub chociażby jej istotnych zespołów będzie jednak i tak kolosalnym postępem. W poprzednim systemie nie mieliśmy wiele do powiedzenia w tej sprawie, a teraz nowe rakiety to kwestia kosztów. Od strony technicznej to nie jest dla nas wiedza tajemna. Mamy urządzenia, które pozwalają nam przebadać pociski na tyle, że wiemy o nich czasem więcej niż producent. Kluczem jest zaś system sterowania. Niezależnie od tego, ile lat byśmy nad nim pracowali, to wdrożenie go do produkcji mogłoby potrwać nawet dziesięć lat. Czy ta gra jest warta świeczki?

Wróćmy do artylerii lufowej. Huta Stalowa Wola pracuje nad samobieżnym działem Kryl. To armatohaubica na kołach. Czy taki system jest nam potrzebny w nowych uwarunkowaniach geopolitycznych, skoro misje zagraniczne nie są już priorytetem?

Wojciech Dalka: Choć w mediach ten program był mocno łączony z misjami, to nie jest jedyny powód, dla którego zainteresowaliśmy się samobieżnym zestawem artyleryjskim na kołach. Przede wszystkim w wojskach lądowych

WIZYTÓWKA

PPŁK WOJCIECH DALKA

Jest starszym specjalistą Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.



mamy brygady wyposażone w kołowe transportery opancerzone Rosomak, a więc systemy służące im za wsparcie powinny za nimi nadążyć. Nie bez znaczenia jest też możliwość przemieszczania się sprzętu kołowego po drogach, bo do przerzutu pojazdów gąsienicowych na duże odległości konieczny jest transport kolejowy. Koła lepiej sprawdzają się też w terenach leśno-jeziornych, górskich i zurbanizowanych.

Czy do polskiej artylerii wrócą działa holowane?

Wojciech Dalka: Nie, przynajmniej w wojskach lądowych, bo przyjęliśmy w działaniu zasadę „ogień i manewr”, więc liczy się szybkość. Od zajęcia stanowiska ogniowego do jego opuszczenia przez działą czy wyrzutnię nie może minąć więcej niż kilka minut. Przypominam, że w tym czasie trzeba też wykonać zadanie ogniowe. Holowana haubica, nawet supernowoczesna, tego nie zapewni. Osobną kwestią są jednostki aeromobilne, które wymagają również wsparcia artylerii, zwłaszcza w sytuacji, kiedy będą działać w odosobnieniu. Temat ten będzie jeszcze analizowany. Na razie wykorzystujemy do wsparcia tych jednostek moździerz i wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych.

Można ją przetransportować pod śmigłowcem...

Wojciech Dalka: Chcemy liczyć na siebie. Śmigłowiec nie poleci w każdych warunkach. Noc, mgła, intensywne opa-

*Nie chcemy być
całkowicie uzależnieni
od elektroniki i automa-
tyki, komputerów bali-
stycznych. Potencjalny
przeciwnik rozwija
systemy walki elektro-
nicznej*



WIZYTÓWKA

PŁK DYPL. WALDEMAR JANIAK

Jest szefem Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

dy są dla niego przeszkodą, tymczasem wsparcie ogniowe musi być wykonane terminowo w sposób ciągły i dokładny w miejscu, w którym jest wymagane.

Ile rodzajów przeciwpancernych pocisków kierowanych chcemy kupić?

Waldemar Janiak: Kilka, oprócz ppk Spike LR, w tym jeden rozpoznawczo-uderzeniowy. Chcemy stworzyć wielowarstwową obronę przeciwpancerną opartą i na ppk, i na artylerii gwintowanej z podpociskami przeciwpancernymi samonaprowadzającymi. Zaletą tej broni jest donośność około 25 km. Trzeba przeanalizować, jak artyleria lufowa radzi sobie ze zwalczaniem celów ruchomych. Wspomniany pocisk rozpoznawczo-uderzeniowy zwalczałby cele w tym zasięgu. Drugą warstwą byłby ppk w ramach programu „Karabela”, o zasięgu nie mniejszym niż 6 km. Trzecia zaporą to pocisk Spike LR, który potrafi niszczyć cele dalsze niż deklarowane 4 km. Ostatnim ogniwem zapewniającym wsparcie walczącej piechocie byłby system Pustelnik. W wymaganiach są zapisane różne głowice – przeciwpancerna i przeciwbetonowo-odłamkowa do niszczenia siły żywej podczas walki w terenie zabudowanym. System ten musi być prosty, łatwy w obsłudze i skuteczny.

Czy są takie rozwiązania na rynku?

Waldemar Janiak: Są, i to nie tylko zagraniczne. Nasz przemysł także nad nimi pracuje. Wobec całego spektrum

ppk zasadniczym determinantem jest zróżnicowanie ich systemów naprowadzania.

Mamy około setki samobieżnych armatohaubic Dana. Co się z nimi stanie?

Waldemar Janiak: Chcielibyśmy je zmodyfikować i kluczowe będzie osiągnięcie lepszych parametrów podczas zajmowania i opuszczania stanowisk ogniowych.

Zmienić kaliber ze 152 na 155 mm?

Waldemar Janiak: Nie. Podczas targów w Kielcach miałem okazję rozmawiać z konstruktorem ze Słowacji, który stwierdził, że byłoby to zupełnie nowe działo. Można w inny sposób zwiększyć efektywność bojową dany, tak by szybciej zajmowała stanowisko ogniowe i była gotowa do strzelania, a przede wszystkim, żeby w krótszym czasie mogła je opuścić. Te ulepszenia można by wprowadzić w ramach wykonywanych co roku napraw głównych. Innym kierunkiem modyfikacji jest wyposażenie amunicji w gazogenerator, co zwiększy jej donośność o około 30%.

Kiedy chcemy wprowadzić te zmiany?

Waldemar Janiak: Pierwsze działo planujemy zmodyfikować w 2018 roku. Potem poddamy je testom w naszym Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia.



Ile to będzie kosztowało?

Waldemar Janiak: Nie będą to duże sumy. Nie chcę spekulować teraz jakie, ale jeśli chodzi o uzyskany efekt, to bardzo na tym zyskamy, bo przez 20 lat będziemy mogli jeszcze eksploatować armatohaubice Dana.

A co z goździkami?

Waldemar Janiak: W przeszłości był pomysł, żeby je zmodernizować, dać im nowy napęd, system kierowania ogniem i nową przekładnię. Na razie jednak nie ma takich planów, chociaż tego typu system na pewno rozszerzyłby możliwości taktyczne dowódców batalionów.

Informacje o problemach z amunicją pojawiają się niemal przy wszystkich programach artyleryjskich. Czy to wina naszego przemysłu? Mówi się, że jest to kwestia braku inwestycji w nowe technologie prochowe, co wynikało z pewnych decyzji dotyczących przemysłu obronnego podjętych na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Waldemar Janiak: Podjęto już decyzje, ale problemy wystąpiły na późniejszym etapie. Wiele obostrzeń towarzyszących badaniom i wprowadzeniu amunicji do sił zbrojnych wydłużyło czas jej uzyskania. Dla nas ważne są nie tylko parametry taktyczno-techniczne. Przede wszystkim dbamy o bezpieczeństwo żołnierzy obsługujących działa. Podczas testów amunicji dużo uwagi poświęcaliśmy badaniom wpływu gazów prochowych na zdrowie obsługi wewnątrz działa. Ponadto zwracamy uwagę na materiały stosowane w elaboracji pocisków. W razie trafienia w magazyn amunicyjny – przy elaborowaniu amunicji trójnitrotoluenem, czyli trotylem – jest duże prawdopodobieństwo, że eksplozja rozniesie na strzępy działą razem z obsługą. Gdy pociski są elaborowane materiałem mało wrażliwym, prawdopodobieństwo eksplozji jest dużo mniejsze. Dlatego od kilku lat stawiamy na takie materiały. Niedawno na spotkaniu z przedstawicielami zakładów Polskiej Grupy Zbrojeniowej, które partycypują w dostarczaniu elementów czy kompletnej amunicji dla wojsk raketowych i artylerii, zapewniano, że taki materiał został uzyskany przez

*Jednym z wniosków,
jakie powinniśmy wy-
ciągnąć z przeszłości,
jest konieczność
ciągłego unowocze-
śniania wprowadzane-
go uzbrojenia*

Nitro-Chem z Bydgoszczy. Jest on droższy, ale życia żołnierza nie da się wycenić.

Przemysław Kupidura: Są opóźnienia w programach amunicyjnych, ale nie uważam, że przemysł nie podołał wyzwaniom. Jeszcze do niedawna w Polsce wytwarzano amunicję z wykorzystaniem sowieckich technologii z lat czterdziestych ubiegłego stulecia, czyli gorszych niż nasze przedwojenne. Nie było zatem możliwości płynnego uruchomienia produkcji wyrobów nowej generacji. Wcześniej były potrzebne kosztowne modernizacje linii produkcyjnych i ten proces wciąż trwa. Gwarancją opłacalności są duże zamówienia na amunicję ze strony Wojska Polskiego – to zaś powinno oznaczać intensywne szkolenia poligonowe, czyli duże zużycie amunicji.

Czy przyszłością artylerii jest amunicja precyzyjna?

Przemysław Kupidura: To jeden z kluczowych kierunków rozwoju artylerii. Jej użycie zmniejsza zarówno koszty logistyczne, jak i ryzyko spowodowania strat wśród ludności cywilnej.

Waldemar Janiak: Amunicja precyzyjna to też mniej dział potrzebnych do wykonania zadania. Według wyliczeń wykładawców zajmujących

się kwestiami strzelania i kierowania ogniem, aby uzyskać tzw. nadzieję matematyczną strat bezpowrotnych wynoszącą 5% w kolumnie np. 30 czołgów, należy użyć 36 dział kalibru 152 mm i wystrzelić 144 pociski. W ten sposób można zniszczyć dwa czołgi. Przy użyciu amunicji precyzyjnej do uzyskania tego efektu wystarczy jedno działo z jednym pociskiem. Te założenia potwierdziły próbne strzelania sprzed kilku lat z krabów. Myślimy o nowych typach amunicji – specjalnej, samonaprowadzającej na sygnały radiolokacyjne służące do tego, by zniszczyć systemy rozpoznania radioelektronicznego przeciwnika, oraz amunicji zakłócającej sygnał radiowy.

Wojciech Furmanek: Wprowadzenie amunicji precyzyjnej to nie wszystko. Tzw. amunicja inteligentna jest precyzyjna tylko wtedy, gdy na jej skuteczność na sprawnym sprzęcie pracuje zgrany zespół ludzi. Dlatego konieczne jest pozyskiwanie nie tylko samych naboju, lecz także całych zintegrowanych systemów. Oprócz amunicji powinny one obejmować niezbędne wyposażenie techniczne, adekwatne do specyfiki jej działania, znacznie tańsze systemy treningowe i ćwiczebne oraz wsparcie ich eksploatacji w całym cyklu życia. Aby była ona efektywna, niezbędne jest permanentne szkolenie używających jej artylerzystów.

Bartłomiej Zajac: Zwłaszcza że cena precyzyjnej amunicji może być znacznie wyższa niż samej wyrzutni. Dlatego też najważniejsze jest to, by krajowy przemysł zyskał kompetencje do jej produkcji, a nie tylko montażu importowanych komponentów. Niezbędne jest również własne rozpoznanie, by móc decydować o tym, gdzie pocisk poleci.

Jak dużym problemem dla naszej artylerii jest niedobór środków rozpoznania dalekiego zasięgu?

Waldemar Janiak: Do 2007 roku używaliśmy do rozpoznania dźwiękowego starych stacji AZK-5, których wskazania mogły zawierać błędy w granicach 200–300 m. Do oceny wzrokowej służyły dalmierze stereoskopowe DS-1 i lornetki z dalmierzem laserowym LPR, których gestorem jest rozpoznanie. W użyciu są jeszcze dalmierze laserowe DAK-2. To się jednak zmieniło. Artylerzyści od kilku lat mają nowoczesne przyrządy rozpoznawcze APDR, wprowadziliśmy również radary rozpoznania artyleryjskiego Liwiec. Uzyskały one bardzo dobre oceny podczas międzynarodowych ćwiczeń. Według naszych żołnierzy, liwiec ma lepsze możliwości niż szwedzki arthur. Będziemy też rozbudowywać nasze struktury rozpoznawcze. Planujemy przekształcić ponad 190 sekcji wysuniętych obserwatorów w sekcje połączonego ognia, które będą mogły naprowadzać lotnictwo na cel.

Wyzwaniem dla artylerii są urządzenia walki elektronicznej przeciwnika, które mogą zakłócać systemy kierowania ogniem.

Waldemar Janiak: Dlatego nie chcemy być całkowicie uzależnieni od elektroniki i automatyki, komputerów balistycznych. Potencjalny przeciwnik rozwija systemy walki elektronicznej. My zachowujemy sprzęt, optykę i sprawdzone metody, by móc strzelać, gdy padnie elektronika. Myślimy też o przywróceniu i zmodyfikowaniu przyrządów optycznych i przyrządów kierowania ogniem.

Wojciech Dalka: Zaufanie do jednej technologii to słabość, bo przeciwnik wie, jak nam zaszkodzić i na pewno to zrobi. Stąd potrzeba dywersyfikacji metod naprowadzania na cel. Wolimy odrobinę zrezygnować z dokładności, aby mieć pewność, że nie zostanie zakłócone naprowadzanie amunicji. Dlatego też, rozwijając nowoczesne systemy, stale myślimy o alternatywnych sposobach działania, na wypadek jeśli tej nowoczesności nam zabraknie.

W jakim kierunku będzie się rozwijać artyleria? Broń elektromagnetyczna?

Przemysław Kupidura: Technologie kosmiczne, o których słyszymy, będą zastosowane w sprzęcie artyleryjskim nowej generacji, czyli za kilkadziesiąt lat. Na razie Amerykanie postanowili po raz kolejny zmodernizować samobieżną haubicę M109.

Bartłomiej Zajac: Na świecie można zaobserwować powrót do klasycznych systemów artyleryjskich, lufowych i raketowych. Cztery lata temu na spotkaniach byłem pytany przede wszystkim o działa laserowe, o generatory wielkiej mocy. Dziś wszyscy pytają nas o raki.

Wojciech Dalka: Na Zachodzie stawia się na precyzję – z dokładnością nawet do jednego metra – i duży zasięg. Aby to osiągnąć, niezbędne są: rozpoznanie wielosensorowe satelity, radary, bezzałogowce i wojska specjalne. Precyzja ważna jest w odniesieniu do celów znajdujących się na dużych i średnich dystansach. Na bliższych odległościach nadal ważna jest zdolność do rażenia celów powierzchniowych, takich jak zgrupowania wojsk czy też punkty oporu.

Waldemar Janiak: Grudzień to czas wyjątkowy dla artylerzystów. Z okazji święta Boga Wojny składam najserdeczniejsze życzenia wszystkim artylerzystom, ich rodzinom i sympatykom tego rodzaju wojsk. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Rakiem do przodu

Do jednostek trafiły moździerz, które uważane są za najnowocześniejsze na świecie.

Prace nad wyprodukowaniem moździerza, który zachwycił artylerzystów i dowódców oraz wzbudził zainteresowanie w wielu armiach świata, rozpoczęło w 2006 roku. Trzy lata później inżynierowie z Huty Stalowa Wola zaprezentowali prototyp. Po kolejnych siedmiu latach prac badawczych oraz udoskonalania ruszyła produkcja i kilka miesięcy temu do 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Międzyrzeczu dostarczono pierwszy nowoczesny kompanijny moduł ogniowy składający się z ośmiu moździerzy Rak kalibru 120 milimetrów oraz czterech wozów dowodzenia na podwoziu kołowego transportera opancerzonego Rosomak. Pod koniec października taki sam zestaw trafił do 12 Brygady Zmechanizowanej.

Nie oznacza to jednak błyskawicznego zwiększenia siły ognia brygad. Nowe działa na razie przechodzą fazę testów i prób niczym żołnierze podczas unitarki. Trwa, rozpisane na kilkanaście miesięcy, wdrażanie nowoczesnych moździerzy do służby. W międzyrzeckiej brygadzie nowe uzbrojenie trafiło do kompanii wsparcia 1 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej Ziemi Rzeszowskiej, czyli pododdziału znanego z tego, że w początkowej fazie restrukturyzacji armii jako pierwszy został w pełni uzasadniony.

Moduł ogniowy dostała kompania, funkcjonująca w niezmienionej strukturze, która ma w wyposażeniu moździerz 98 milimetrów. Jak mówi jej dowódca kpt. Michał Iwaszkiewicz, na razie jest on sprzętem ponadetatowym: „Można powiedzieć, że od kilku miesięcy moi ludzie pracują na dwóch etatach. Poznajemy raki, uczymy się je wykorzystywać, a równocześnie na wszystkie ćwiczenia nadal wyjeżdżamy na starach, które ciągną dziewięćdziesiątki ósemki”. Dodaje, że jest to uzasadnione, bo do-

póki nowe moździerz nie staną się sprzętem etatowym, nie przejdą wszelkich prób, batalionowi wsparcie ogniowe muszą zapewnić pocziwe działa starego typu.

ZMIANY ETATOWE I MENTALNE

Reorganizacja pododdziału wsparcia nastąpi prawdopodobnie w kwietniu 2018 roku po zakończeniu badań eksploatacyjno-wojskowych nowego uzbrojenia. Jest konieczna chociażby ze względu na to, że każdy z dwóch plutonów ogniowych będący w składzie kompanii wsparcia powiększy się o jeden dział. W dotychczasowej strukturze pluton ogniowy wyposażony jest w trzy moździerze, ale teraz będzie dysponował czterema rakami. Zmieni się również system dowodzenia. W kompanii powstanie pluton dowodzenia z artyleryjskimi wozami dowodzenia (AWD) dowódcy i zastępcy dowódcy kompanii, dwiema sekcjami wysuniętych obserwatorów i elementami zabezpieczenia logistycznego. Do kierowania ogniem plutonów ogniowych służą też nowoczesne AWD dowódców plutonów, które wchodzi w skład nowego modułu. Bez zmian funkcjonował będzie jedynie pluton przeciwpancerzy dysponujący wyrzutniami pocisków kierowanych Spike. W sumie nowa kompania wsparcia będzie miała sprzęt na 18 rosomakach.

Chociaż w kompanii nie przeprowadzono jeszcze reorganizacji, nie oznacza to, że nowy sprzęt trafił w ręce laików. Obsługują go doświadczeni artylerzyści, którzy brali udział w misjach poza granicami kraju, wielu ćwiczeniach oraz kursach organizowanych przez



producenta. Żołnierze wszystkich specjalności poznawali nowy sprzęt w teorii i praktyce. We wrześniu obsługi nowych dział – pod okiem inżynierów z HSW i członków komisji zdawczo-odbiorczej – przeprowadziły wiele strzałów. Testowały sprzęt kompleksowo, często w ekstremalnych warunkach.

Wcielenie raków do służby to nie tylko reorganizacja etatowa, ale przede wszystkim zmiany mentalne. Przewartościowane musi zostać postrzeganie nowych kompanii wsparcia pod względem wartości bojowej. Zwiększa się

bowiem znacznie siła jej rażenia i celność ognia. Jednym z największych atutów moździerzy jest jednak mobilność i nowy pododdział pod tym względem można porównać z kompaniami zmotoryzowanymi.

DŁUGA DROGA DO JEDNOSTKI

Wcielanie raków do służby to żmudny proces. Najpierw jest etap zdawczo-odbiorczy, w którym specjaliści z komisji powołanej przez producenta oraz odbiorcy sprawdzają prawidłowość działania wszystkich urządzeń, systemów, zespołów i podzespołów. Wtedy w razie konieczności dokonuje się różnego rodzaju regulacji, synchronizacji, poprawek w ustawieniach. Drugi etap to badania eksploatacyjno-wojskowe, które prowadzi się najczęściej w warunkach zbliżonych do bojowych, czyli na poligonach, gdzie przeprowadzane są różnego rodzaju działania taktyczne, wielokilometrowe przemieszczania w terenie i strzelania. Wszystko kończy się raportem komisji przeprowadzającej badania, w którym zapisane są szczegółowe zalecenia dla producenta. Wszystkie poprawki muszą zostać uwzględnione w piątym module ogniowym, który ma trafić do jednostek. Dopiero gdy oba etapy sprawdzania dobie-



**CELNY
OGIEN NA
ODLEGŁOŚĆ
8-12
KILOMETRÓW**

UKŁAD
AUTOMATYCZNEGO
ŁADOWANIA

CZTEROOSOBOWA
ZAŁOGA W CIĄGU

1 MINUTY

MOŻE PRZYGOTOWAĆ
MOŹDIERZ DO
OTWARCIA OGNIĄ,
A W CIĄGU 15 SEKUND
MOŻE BYĆ GOTOWA
DO ZMIANY STANOWISKA
OGNIOWEGO.



Rak został zaprojektowany w wersji na podwoziu gaśnicowym i kołowym.



POJAZD WYPOSAŻONY JEST
W CYFROWY SYSTEM KIEROWANIA
OGNIEM, SKŁADAJĄCY SIĘ
M.IN. Z KAMERY TERMALNEJ
I DALMIERZA LASEROWEGO,
DZIĘKI CZEMU MOŻNA PROWADZIĆ
SKUTECZNY OGIEŃ
TAKŻE W NOCY.





KOMENTARZ

PIOTR MALINOWSKI

Moździerz Rak wraz ze wszystkimi składowymi modułu ogniowego znacznie zwiększą potencjał bojowy pododdziałów zmotoryzowanych. Ich modułowość połączona z automatyzacją, szybkostrzelnością i precyzją rażenia daje duże wsparcie pododdziałom w walce. Jedną z niewątpliwych ich zalet jest mobilność i zdol-

ność do funkcjonowania w sieciocentrycznym środowisku pola walki, którą zapewnia wyposażenie w zintegrowany system łączności, dowodzenia i kierowania ogniem. Jest on oparty na nowoczesnym systemie dowodzenia Topaz polskiej produkcji, a w przyszłości będzie kompatybilny z BMS [Battlefield Management System]. ■

Płk PIOTR MALINOWSKI jest dowódcą
17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej.



gną końca, co nastąpi w kwietniu 2018 roku, rozpocznie się ustalanie norm dla tego typu sprzętu. Określony zostanie na przykład czas zajmowania stanowisk ogniowych i opuszczenia ich po oddaniu ostatniego strzału.

W czasie sprawdzianu na poligonie żołnierzom z kompanii wsparcia towarzyszą specjaliści z Centrum Doktryn i Szkolenia Sił Zbrojnych oraz Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. „Porównujemy założenia teoretyczne ustalone w fazie konstruowania i produkcji moździerza z jego praktycznymi możliwościami na symulowanym polu walki”, wyjaśnia płk Aureliusz Chyleński z Centrum Doktryn i Szkolenia Sił Zbrojnych, zastępca przewodniczącego komisji eksploatacyjno-wojskowej wdrażania nowego sprzętu. W ćwiczeniach uczestniczą także oficerowie z zespołu autorskiego powołanego przez Zarząd Wojsk Rakietowych i Artylerii, którzy opracują poradnik dla kompanii wsparcia z zasadami działania taktycznego plutonów wyposażonych w raki. Mają zostać w nim określone rodzaje ugrupowań bojowych nowego sprzętu czy zasady rozmieszczania poszczególnych jego elementów na polu walki. Wszystko po to, aby jak najefektywniej wykorzystać potencjał raków. „Niespotykaną zaletą nowych moździerzów jest możliwość

strzelania na wprost, co można doskonale wykorzystywać w wypadku samoobrony zagrożonego pododdziału raków w walce na krótkim dystansie”, uzupełnia płk Chyleński.

UŻYTKOWNICY MAJĄ GŁOS

Zespoły eksperckie sprawdzają także wyposażenie nowych wozów, funkcjonalność i sposób rozmieszczenia pod pancernem różnych urządzeń i akcesoriów. Po uwagach członków załóg kilka rzeczy już poprawiono, a część w niedługim czasie zostanie zmieniona. Zastosowano na przykład zunifikowane uchwyty na broń umożliwiające przypięcie każdego rodzaju karabinka. Pierwotnie zamontowane budziły zastrzeżenia, bo nie pasowały do karabinów Beryl w wersji C, tzw. miniberyli.

Na wniosek użytkowników zostaną też przekonstruowane na nowo stanowiska dowódcy działa i celowniczego. Żołnierze twierdzą, że trzeba zmienić rozmieszczenie i mocowanie foteli, co pozwoli zaoszczędzić sporo miejsca wewnątrz wozu. Zwiększyć powinna się także możliwość ich regulacji, żeby poprawić ich ergonomiczność oraz komfort siedzenia podczas długotrwałych działań.

Podwładni kpt. Iwaszkiewicza chętnie współpracują z oficerami komisji i przedstawicielami producenta. Są

REORGANIZACJA PODODDZIAŁU WSPARCIA NASTĄPI PRAWDOPODOB- NIE W KWIETNIU 2018 RO- KU PO ZAKOŃCZENIU BADAŃ EKSPLOATACYJNO- WOJSKOWYCH NOWEGO UZBROJENIA



Żołnierze twierdzą, że trzeba zmienić rozmieszczenie i mocowanie foteli, co pozwoli zaoszczędzić sporo miejsca wewnątrz wozu.

świadomi tego, że jako pierwsi użytkownicy mają spory wpływ na warunki, w jakich będą pracowali przyszli użytkownicy raków. Dowódca kompanii podkreśla, że konstrukcja nowego sprzętu jest rozwojowa. Złaski, że w wymaganiach dotyczących raka nie wpisano pływalności, przez co nie ma wielu ograniczeń w dalszym modernizowaniu. Bardzo ważna jest współpraca wojska z producentem na etapie wdrażania sprzętu, ponieważ do końca 2019 roku do jednostek operacyjnych mają trafić 64 raki oraz 32 artyleryjskie wozy dowodzenia. Łącznie będzie to osiem modułów ogniowych. „To co my wypracujemy na bazie pierwszego modułu ogniowego, zaprocentuje dla kolejnych użytkowników tego sprzętu”, tłumaczy kpt. Iwaszkiewicz.

Może nastąpić pewien kłopot z wdrażaniem raków do służby. Nie dotyczy to artylerzystów z 17 i 12 Brygady Zmechanizowanej, lecz żołnierzy z 15 i 21 Brygady. Chodzi bowiem o platformę, na której zamontowano raki. W Międzyrzeczcu rosomaki są używane od 2005 roku, w Szczecinie od 2006 roku, ale inne brygady nie

mają takiego doświadczenia. I to nie jest tylko kwestia umiejętności kierowców, lecz także eksploatacji czy zabezpieczenia technicznego wozów. W obu brygadach dziś żaden bojowy pododdział nie jest w pełni wyposażony w rosomaki. Tak zatem jak wcześniej pododdziały na rosomakach przy planowaniu ćwiczeń musiały sprawdzać, czy za pododdziałami zmotoryzowanymi nadążą kompanie wsparcia z ciągniętymi przez ciężarówki moździerzami 98 mm, tak teraz w 15 i 21 brygadzie kompania wsparcia na rakach będzie czekała, kiedy do walki włączy się piechota na BWP-ach.

Przezbieranie pododdziałów wsparcia w brygadach nie kończy się na dostarczanych właśnie kompanijnym modułach ogniowych wyposażonych w moździerz i wozy dowodzenia. Docelowo do jednostek mają trafić także pozostałe elementy, czyli artyleryjskie wozy amunicyjne, rozpoznawcze i remontu uzbrojenia. Moździerz, wozy dowodzenia i rozpoznania będą osadzone na podwoziu rosomaków zaś wozy amunicyjne i remontu uzbrojenia na podwoziu Jelcza. ■

14 GRUDNIA
2016 ROKU
MON ZLECIŁO HSW
WYPRODUKOWANIE

96

SAMOBIEŻNYCH
ARMATOHABIC KRAB
KALIBRU 155 MM.

**WARTOŚĆ
KONTRAKTU
4,5**
MLD ZŁOTYCH

W MARCU 2017 ROKU NOWE KRABY NA POLIGONIE
POD ORZYSZEM Z POWODZENIEM PRZESZŁY BADANIA
EKSPLOATACYJNO-WOJSKOWE.

31 SIERNIA 2017 ROKU DO ŻOŁNIERZY
11 MAZURSKIEGO PUŁKU ARTYLERII
W WĘGORZEWIE TRAFIŁ 24-DZIAŁOWY
DYWIZJONOWY MODUŁ
OGNIOWY REGINA.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Przełomowy krab

**To broń przede wszystkim służąca
do walki z artylerią przeciwnika.**

Swoje pozycje na skraju niewielkiej wsi umacniał pluton piechoty zmotoryzowanej. Dowodzący oddziałem porucznik skończył odprawę z podwładnymi, w czasie której uczulił zwiadowców na to, aby cały czas byli w łączności z nim oraz oddalonym o kilka kilometrów na zachód sztabem batalionu. Choć doskonale wiedział, że tego dnia to ludzie z jego plutonu będą kluczowymi rozgrywającymi, dopiero kilka godzin później poznał dokładny plan działania.

Kompania pancerna nieprzyjaciela poruszała się wzdłuż pobliskiej drogi i znalazła ukryty we wsi pluton zmotoryzowany. Dowódca nie dał jednak od razu komendy do szturmu, bo chciał sprawdzić, czy w pobliżu nie ma innych sił. Zanim jednak zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, gdzieś w pobliżu odezwały się działa. To obserwatorzy z plutonu podali do dowódcy batalionu koordynaty czołgów wroga, a obsługi armatohaubic Dana kalibru 152 mm otworzyły do nich ogień. Nie minęło kilka minut, a znów rozległy się armatnie salwy. Tym razem odezwała się artyleria przeciwnika, która w momencie strzału dan namierzyła za pomocą radarów ich pozycje. Wtedy dowódca plutonu uśmiechnął się pod nosem: „Mamy was”, pomyślał. Dany już odjechał w inne miejsce, a na wroga działa spadły pociski

155-milimetrowych armatohaubic Krab ukrytych za pobliskim wzgórzem. Porucznik znowu się uśmiechnął z zadowoleniem, kiedy usłyszał, jak odjeżdżają, jeszcze zanim ich pociski trafiły w cel. Tak działa nowoczesna artyleria pola walki.

WSPIERAJ I ZWALCZAJ

Gdyby trzeba było streścić w dwóch słowach zadania artylerii na nowoczesnym polu walki, najlepiej pasowałyby określenia „wspieraj” i „zwalczaj”. Pierwsze oznacza wsparcie ogniowe, które jest udzielane walczącym pododdziałom zgodnie z procedurą „call for fire”. Drugie natomiast to zwalczanie artylerii przeciwnika w ramach procedury „counter battery fire” albo w skrócie „counter fire”. I choć wydawałoby się, że każda haubica – na podwoziu kołowym, gąsienicowym czy holowana – bez względu na kaliber nadaje się do obu tych zadań, to jedne typy dział są lepsze do zadań wsparcia ogniowego,



H S W

a inne do zwalczania wrogiej artylerii. Kluczem są tutaj mobilność oraz skuteczna ochrona załogi.

„Działa przeznaczone do zwalczania artylerii przeciwnika muszą przede wszystkim błyskawicznie zająć pozycje ogniowe, oddać salwę, a potem odjechać. Konieczny jest także wysoki stopień ochrony przed wrogiem ostrzałem, aby zapewnić bezpieczeństwo załogom”, wyjaśnia płk Waldemar Janiak, szef Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Dlatego do zwalczania wrogiej artylerii zdecydowanie lepiej nadają się armatohaubice na podwoziu gąsienicowym. Taki system trakcji bowiem wcale nie jest im potrzebny do pokonywania trudnego terenu. Oczywiście gąsienice przydają się też do tego, ale przede wszystkim mają dźwigać spory pancerz, który ma ochronić załogę przed wybuchem wrogich pocisków w pobliżu pojazdu. Dlaczego tylko w pobliżu? Nie ma takiego działa, które przetrwałoby nieuszkodzone po trafieniu jakimkolwiek ładunkiem, nawet odłamkowo-burzącym, z armaty kalibru od 105 do 155 mm.

Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zaczęliśmy poważnie myśleć o wstąpieniu do sojuszu północnoatlantyckiego, role artylerii wsparcia i zwalczającej były w polskiej armii jasno określone. Najważniejsze miały być systemy rakietowe BM-21 i RM-70 (na ciężarówkach), poradzieckie 152-milimetrowe lufowe holowane haubicarmaty wz. 37/85 oraz haubice Dana (kołowe podwozie tatra w systemie 8x8). Do walki z artylerią nieprzyjaciela były natomiast przeznaczone 122-milimetrowe armatohaubice na podwoziu gąsienicowym 2S1 Goździk. Największą bolączką tego pakietu była zbyt niska wydajność bojowa. Żaden z wymienionych środków ogniowych nie dysponował bowiem zasięgiem większym niż 20 km.

BOLESNA LEKCJA

Tymczasem zasięg amerykańskiej 155-milimetrowej armatohaubicy M109, opracowanej pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku, wynosił około 30 km. Poza tym dział w ciągu minuty było w stanie wystrzelić maksymalnie cztery pociski, a podczas długotrwałego ostrzału jeden na minutę. To był wówczas wzorzec nowoczesnej artylerii, do którego miało dążyć całe NATO.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zapadły więc w polskim Ministerstwie Obrony Narodowej i Sztapie Generalnym Wojska Polskiego decyzje o wymianie goździków na konstrukcje kalibru 155 mm. Początkowo planowano kupić aż 20 dywizjonów nowych armatohaubic samobieżnych (AHS), czyli około 360 dział. Koszt tego programu wynosił jak na tamte czasy astronomiczną kwotę ponad 2 mld dolarów!

Po początkowych przymiarkach, aby AHS opracować wspólnie ze Słowakami, w 1995 roku zapadły decyzje, że kupimy licencję amerykańskiego M109, brytyjskiego AS-90 Braveheart lub niemieckiego PzH, a będzie je produkować rodzima Huta Stalowa Wola. Przetarg ogłoszono w 1997 roku, a rozstrzygnięto dwa lata później. Zwyciężyli Brytyjczycy. Pierwsze dział miało wejść do służby w 2003 roku. W 2002 roku wstrzymano jednak finansowanie projektu. Do projektu kraba (bo taki kryptonim otrzymała AHS) wrócono w 2008 roku i ponownie zlecono HSW zbudowanie modułu ogniowego Regina. I gdy w 2011 roku wydawało się, że wkrótce uda się działą prowadzić do służby, w podwoziach wykryto mikropęknięcia i na trzy lata wszystko znów utknęło w miejscu. Dopiero w 2014 roku rozwiązano problem, kiedy kupiono od koreańskiej firmy Samsung Techwin licencję na produkcję podwozi od koreańskich armatohaubic K9. Potem wszystko poszło już jak z płatka.

Kilka miesięcy badań oraz testów prototypu i 14 grudnia 2016 roku MON zleciło HSW wyprodukowanie 96 samobieżnych armatohaubic Krab kalibru 155 mm. Kontrakt na ich dostawę to rekordowa umowa w historii naszej zbrojeniówki po 1989 roku – jego wartość wyniosła 4,5 mld zł. W marcu 2017 roku nowe kraby na poligonie pod Orzyszem z powodzeniem przeszły badania eksploatacyjno-wojskowe, a 31 sierpnia 2017 roku do żołnierzy 11 Mazurskiego Pułku Artylerii w Węgorzewie trafił 24-działowy dywizjonowy moduł ogniowy Regina.

Artylerzyści podkreślają, że jest to wydarzenie ważne dla całej polskiej armii. Dzięki tym haubicom nasze siły zbrojne zyskały bowiem nowe możliwości działania. „To już nie jest oddziaływanie na 20 km, ale na dwa razy większą odległość. Kraby umożliwiają więc programowanie działań taktycznych w zupełnie inny sposób niż do tej pory”, podkreśla płk Waldemar Janiak, dodając, że rola takich systemów ogniowych jak kraby jest tym większa, im bardziej nasz potencjalny przeciwnik ma rozwinięte zdolności antydostępowe.

Jeszcze 20 lat temu, kiedy ruszał projekt kraba, przyjmowało się, że lotnictwo sojuszu zdobywa przewagę w powietrzu, nie tylko pokonując latającą konkurencję, lecz także samemu torując sobie drogę przez systemy przeciwlotnicze przeciwnika. Współczesny wyścig zbrojeń każe w tę teorię mocno wątpić. Rosja i Chiny podjęły wiele starań i poświęciły dużo środków, aby zrównoważyć przewagę natowskiego lotnictwa właśnie przez rozwój swoich systemów radiolokacyjnych i systemów obrony przeciwlotniczej. Aby je zwalczać i skutecznie unieszkodliwić, niezbędna jest więc artyleria o zasięgu 40 km, a wkrótce i 70 km (takie są kierunki prac nad nową amunicją do AHS kalibru 155 mm). ■

TADEUSZ WRÓBEL

Metoda na kryla

**Żołnierze wojsk lądowych potrzebują nie tylko samobieżnych haubic
Krab na gąsienicach, lecz także lżejszych zestawów na kołach.**

Konceptcja stworzenia w Polsce samobieżnego kołowego systemu artyleryjskiego kalibru 155 mm pojawiła się w pierwszej dekadzie XXI wieku. W Hucie Stalowa Wola prace rozpoczęły się w 2011 roku, ale dopiero dwa lata później wybrano partnera do zbudowania konstrukcji działła. Izraelski Elbit bardziej niż francuski Nexter był otwarty na współpracę z polskim przemysłem obronnym i transfer technologii. Zastosowana wcześniej w systemie Atmos, który może być zintegrowany z podwoziami sześciokołowym lub ośmiokołowym, izraelska armata ma długość 52 kalibrów, czyli taką samą jak ta w krabie. Na dostawę specjalnego podwozia wybrano zaś krajowego producenta, spółkę Jelcz-Komponenty. Trójosiowe podwozie 663.32 oficjalnie zaprezentowano w lipcu 2014 roku. W odróżnieniu od innych pojazdów Jelcza przedział silnikowy umiejscowiono przed opancerzoną kabiną, przewidzianą dla pięcioosobowej obsługi działła. Przyjęto takie rozwiązanie ze względu na równowagę, bo w tyle pojazdu zamontowano działło. Jako napęd kołowej armatohauby wybrano sześciocylindrowy silnik wysokoprężny MTU 6R106 TD21 o maksymalnej mocy 240 kW i pojemności 7,2 l.

W 2013 roku powstało też konsorcjum utworzone przez Hucę Stalowa Wola, WB Electronics, Wojskowe Zakłady Łączności Nr 2 i Wojskową Akademię Techniczną, które uzyskało dofinansowanie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju na opracowanie zautomatyzowanego systemu dowodzenia i kierowania ogniem dla dywizyjnego modułu ogniowego lekkich armatohaubic Kryl.

BEZSPRZECZNE ATUTY

Ze względu na plany użycia kryla w działaniach poza granicami Polski masa i wymiary samobieżnego działła musiały umożliwiać jego przetransportowanie samolotami transportowymi C-130 Hercules. Zmieniła się jednak sytuacja bezpieczeństwa w Europie Środkowej i priorytetem stała się obrona własnego terytorium. Pojawiły się nawet

wątpliwości, czy kryl jest nadal potrzebny polskiemu wojsku. Rozwiązują je wojskowi specjaliści z Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. „Krabby będą przeznaczone głównie do walki z artylerią przeciwnika. Opancerzone działa zapewniają załogom ochronę przed odłamkami wybuchających w pobliżu pocisków kalibru 152 mm i 155 mm. Kryl nie ma tak mocnego pancerza jak krab, ale jest o wiele bardziej mobilny. Zostanie zatem wykorzystany do wsparcia ogniowego pododdziałów wyposażonych m.in. w kołowe podwozia, walczących w specyficznych warunkach”, mówi płk Waldemar Janiak, szef Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii. „Samobieżność i szybkostrzelność oraz system nawigacji inercyjnej wspieranej przez odbiornik GPS, a także system kierowania ogniem gwarantują nam wykonanie zadania ogniowego w czasie dużo krótszym niż zrobiłyby to działa holowane. Kryl opuści stanowisko ogniowe natychmiast po strzale i nawet gdy zostanie wykryty, to zdąży oddalić się na bezpieczną odległość, tak aby być poza zasięgiem rażenia ognia przeciwnika wykonywanego w ramach »counter fire«”, dodaje płk Janiak.

„Nagłośniona medialnie ekspedycyjność nie była jedynym i najważniejszym powodem, dla którego uruchomiono program lekkiej samobieżnej armatohauby kalibru 155 mm na podwoziu kołowym. Naszej artylerii potrzebny jest sprzęt dla dywizjonów w brygadach mających kołowe transportery opancerzone rosomak”, twierdzi ppłk Wojciech Dalka, starszy specjalista w Oddziale Gestorstwa i Rozwoju w Zarządzie Wojsk Rakietowych i Artylerii. „Pododdziały rosomaków są bardzo manewrowe, a środki wspierające je ogniem powinny mieć trakcję o porównywalnych parametrach taktyczno-technicznych. Niekoniecznie chodzi o koła, a bardziej o to, żeby mogły się przemieszczać z prędkością zbliżoną do tej, którą rozwijają KTO. Dlatego wprowadzamy do 12 i 17 Brygady Zmechanizowanej moździerze samobieżne Rak oraz wozy dowodzenia na podwoziu



KRYL OPUŚCI STANOWISKO OGNIOWE NATYCHMIAST PO WYKONANIU ZADANIA OGNIOWEGO, I NAWET GDY ZOSTANIE WYKRYTY, TO ZDAŻY ODDALIĆ SIĘ NA BEZPIECZNĄ ODLEGŁOŚĆ, TAK ABY BYĆ POZA ZASIĘGIEM RAŻENIA OGNIU PRZECIWNIKA.

PONAD

2

RAZY TAŃSZY
NIŻ KRAB

ATUTAMI MASZyny
SĄ TRAKCJA KOŁOWA
I MASA NIECO
PONAD

20
TON

kołowego transportera opancerzonego”, podkreśla ppłk Dalka.

Atutem kryla są trakcja kołowa i masa wynosząca nieco ponad 20 t. „Musimy być przygotowani do działań w terenie lesisto-jeziornym, górzystym i zurbanizowanym. Ciężkie wozy nie wjadą wszędzie, powinniśmy więc mieć środki ogniowe lepsze niż kraby”, stwierdza ppłk Dalka.

Niezwykle istotna jest też mniejsza ilość potrzebnego paliwa niż w przypadku pojazdów gasienicowych. „Dlatego przy przetrzucie jednostek krabów z zachodu na wschód kraju – wyjaśnia ppłk Dalka – niezbędny byłby transport operacyjny z użyciem kolei lub znacznej liczby ciągników siodłowych z przyczepami niskopodwoziowymi”.

Poza parametrami taktyczno-technicznymi ważny jest też aspekt ekonomiczny. „Kryl będzie ponaddwukrotnie tańszy niż krab”, mówi Bartłomiej Zając, członek zarządu, dyrektor rozwoju HSW.

OPCJE DO ROZWAŻENIA

Trzeba jednak przyznać, że masa pojazdu nie jest już najistotniejsza. Wymóg transportu drogą powietrzną spowodował bowiem, że prototyp kryla powstał na podwoziu sześciokołowym. Teraz można rozważać wersję nieco cięższą. Warto byłoby się też zastanowić nad szybkostrzelnością. Można ją zwiększyć dzięki zastosowaniu automatycznego systemu ładowania, wiązałoby się to jednak ze wzrostem masy działa.

Opracowana w Szwecji samobieżna haubica kalibru 155 mm Archer na podwoziu sześciokołowym waży 30 t. Podobną masę ma wersja ośmiokołowa francuskiego caesara, zbudowana na podwoziu czeskiej ciężarówki Tatra T815-7. Nowe podwozie pozwoliło zwiększyć liczbę zabieranych pocisków z 18 do 30. Haubica

Archer wyróżnia się spośród innych konstrukcji na kołach tym, że mechanizm ładowania znajduje się w przestrzeni zamkniętej, nie jest więc narażony na kurz, błoto, wilgoć, uszkodzenia mechaniczne w wyniku np. ostrzału.

Caesar z automatycznym systemem ładowania potrzebuje minuty na zajęcie stanowiska ogniowego. O czasie decyduje nawigacja inercyjna, wspierana przez GPS i system kierowania ogniem. Armatohaubica z systemem automatycznego ładowania wystrzeliwuje sześć pocisków w ciągu dwóch minut, a przy ładowaniu pół-automatycznym potrzebuje niecałych trzech minut. Do obsługi caesara 8x8 wystarczy dwóch, trzech żołnierzy, podczas gdy do caesara 6x6 potrzeba aż pięciu.

Na razie nie ma decyzji, czy zmienić podwozie kryla i wyposażyć go w system automatycznego ładowania. „Będzie to tematem analiz, które powinny zmierzać do optymalizacji rozwiązania poprzez uwzględnienie uwarunkowań taktycznych, technicznych i ekonomicznych. Na razie oczekujemy badań zakładowych działa w obecnej konfiguracji, a potem badań kwalifikacyjnych”, wyjaśnia ppłk Dalka. Ich wyniki będą podstawą do wydania zaleceń, czy są potrzebne zmiany w konstrukcji kryla. „Powinno dojść do unifikacji armat kraba i kryla, przynajmniej jeśli chodzi o lufę, bo teraz to są dwie różne konstrukcje”, stwierdza dyrektor Zając. ■



ARMIA

/ WOJSKA SPECJALNE

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ZOSTANĄ NAJLEPSI

**Cywile chcą ukończyć kurs Jata.
O każde miejsce w Ośrodku Szkolenia
Wojsk Specjalnych walczyło osiem osób.**



Uczestnicy poprzedniego kursu Jata uczyli się przez sześć miesięcy. Na początku mieli szkolenie podstawowe, a potem zaawansowane – typowe dla specjalistów. Elewi wykonywali zadania m.in. z medycyny polowej, topografii i łączności.

K

ondycyjnie są lepiej przygotowani niż ich poprzednicy z ubiegłego roku, mają też silną motywację, by osiągnąć wymarzony cel – tak o cywilach ubiegających się o szkolenie na kursie Jata w Ośrodku Szkolenia Wojsk Specjalnych w Lublińcu mówią

instruktorzy. Zaznaczają jednak, że na hurra-optimizm jest za wcześnie. Nadal największą trudnością dla kandydatów są testy sprawnościowe: dla ponad połowy chętnych egzamin kończy się już na hali sportowej.

O naborze na drugi kurs Jata – gdzie szkołą się cywile chcący zostać komandosami – zdecydował w lipcu 2017 roku szef resortu obrony narodowej. Podobnie jak rok temu, kandydaci na specjalsów musieli najpierw zarejestrować się na stronie internetowej Ośrodka Szkolenia Wojsk Specjalnych, a następnie do końca września złożyć wniosek do dyrektora Departamentu Kadr MON za pośrednictwem wojskowych komend uzupełnień. Zainteresowanie ofertą szkolenia w Lublińcu było, podobnie jak w zeszłym roku, bardzo duże: w ciągu krótkiego czasu zarejestrowało się 308 osób. Komplet wymaganych dokumentów do WKU złożyło już mniej, bo około 250 kandydatów. Tylu chętnych zaproszono na egzaminy wstępne, które odbywały się w czterech turach na przełomie października i listopada.

NAJPIERW TRZEBA SIĘ SPOCIĆ

„Wojskiem interesowałem się od wielu lat, dlatego służba będzie spełnieniem moich marzeń”, opowiada tuż przed rozpoczęciem egzaminu sprawnościowego Wiktor. Jest jedną z 59 osób, które tego dnia powalczą o miejsce na kursie Jata. Ma 26 lat, niedawno skończył studia, ale nie chce pracować w zdobytym zawodzie. „Jestem specjalistą w dziedzinie go-

spodarowania nieruchomościami, ale to nie moja droga. W moim życiu musi się coś dziać. Dlatego tu jestem”. Pochodzi z Mazur, ale mieszka w Gdańsku. O kursie Jata dowiedział się rok temu. Wtedy też złożył dokumenty, ale w czasie przygotowań do egzaminów nabawił się kontuzji barku i musiał się wycofać. „Przez rok regularnie przygotowywałem się do sprawdzianu, ale tu jest duża konkurencja”.

Zanim instruktorzy ocenią siłę mięśni, szybkość i zwinność kandydatów, muszą sprawdzić ich dokumenty. Zainteresowany powinien okazać dowód osobisty, zaświadczenie od lekarza o braku przeciwwskazań do wysiłku fizycznego oraz poświadczenie o niekaralności. Opcjonalnie przedstawia się prawo jazdy i np. certyfikaty ukończenia kursów, szkoleń, dyplomy magisterskie czy licencjackie studiów wyższych – słowem wszystko, dzięki czemu można uzyskać dodatkowe punkty podczas rekrutacji. „Czasami już na tym etapie pojawiają się kłopoty. Ktoś pokazał nieaktualne zaświadczenie o niekaralności, ponieważ został przekroczony trzydziestodniowy okres jego ważności. Niektórzy nie mieli zgody od lekarza. Takich delikwentów musimy odesłać. Na szczęście problemy ze skompletowaniem dokumentów nie zdominowały tegorocznej rekrutacji”, mówi Filip, były dowódca zespołu bojowego JWK, a obecnie mentor Ośrodka Szkolenia WS.

Zanim kandydaci usłyszą pierwszy gwizdek w hali, wszyscy stają na zbiórce. Dowiadują się o zasadach przeprowadzenia egzaminu i obserwują, w jaki sposób należy wykonać każdą z konkurencji: skłony tułowia w przód, czyli brzuszki, bieg wahadłowy 10 x10 m (kobiety – bieg zygzakiem) oraz podciąganie na drążku wysokim (kobiety – ugięcia ramion na ławeczce). Ci, którzy je zaliczą, muszą się zmierzyć z biegiem na 3 tys. m (kobiety 1000 m), a następnie wszyscy kandydaci jadą na basen, by przepłynąć w ramach zaliczenia 50 m stylem dowolnym.

Nie wszyscy, którzy rozpoczną kurs, zostaną komandosami. Postępy w szkoleniu będą cały czas monitorowane.

DLA KOBIET NAJTRUDNIEJSZE OKAZAŁY SIĘ UGIĘCIA RAMION NA ŁAWECZCE, CZYLI POMPKI. W TEJ KONKURENCJI ODPADŁO OSIEM Z NICH

Instruktorzy dzielą kandydatów na kilka mniejszych grup. „Kryteria egzaminu sprawnościowego są identyczne jak rok temu. I mimo że ciągle zdarzają się osoby nieprzygotowane do ćwiczeń, to mam wrażenie, że i tak poziom jest wyższy niż podczas pierwszego naboru. Kandydaci mają lepszą kondycję i są bardziej zmotywani. Pojawiło się kilka osób, które do sprawdzianu podchodziły rok temu, ale nie wszyscy korzystają z drugiej szansy”, mówi „Mixu”, instruktor WF-u z jednostki w Lublińcu.

Wśród 59 osób, które tego dnia spotykają się w Jednostce Wojskowej Komandosów, jest dziesięć kobiet. Przed rozpoczęciem testów wydają się niepewne, lekko wystraszone. „Nie wiem, czy dam sobie radę, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zdać ten egzamin”, mówi 24-letnia Kornelia z Lublińca. Do sprawdzianu przygotowywała się od sześciu miesięcy, regularnie trenowała, trzymała dietę. Jak mówi, przyszła tu, by udowodnić sobie i mężczyznom, że kobieta ma siłę i daje radę. To jednak nie wszystko. „Skończyłam studia i wychowywałam syna, który dziś ma już trzy lata. Teraz czas, by zrobić coś dla siebie. Chciałabym służyć w Jednostce Wojskowej Komandosów, czyli jednej z najlepszych w Polsce”.

Podzieleni na kilka grup kandydaci ustawiają się przy instruktorach odpowiedzialnych za poprowadzenie sprawdzianu z poszczególnych konkurencji. „Brzuski

robimy przez dwie minuty. Liczy się liczba prawidłowo wykonanych powtórzeń”, mówi instruktor do swojej grupy. Pierwsza osoba kładzie się na materacu i na sygnał trenera rozpoczyna próbę. Przy trzydziestym skłonie traci siłę. „Dalej, dasz radę! Ale nie odrywaj bioder od materaca”, pokrzykuje instruktor. Sprawdzian kończy się na 40 powtórzeniach. To o 30 za mało, by zaliczyć tę konkurencję. „Szybciej! Chcecie dostać się do wojsk specjalnych czy do baletu?”, słychać z drugiego końca hali sportowej. Tam kandydaci muszą się wykazać zwinnością i szybkością, by w jak najkrótszym czasie dziesięć razy przebiec 10 m.

Na tle grupy bardzo dobrze wypadł Kamil, 25-latek z Warszawy. Do egzaminu był przygotowany bardzo dobrze, wiedział jednak, co go czeka, bo w zeszłym roku zabrakło mu trochę szczęścia. Odpadł na brzuskach. „Wtedy nie byłem pewny decyzji o służbie wojskowej, ale jak tylko przekroczyłem bramę Jednostki Wojskowej Komandosów i zobaczyłem służących tu żołnierzy, poczułem, że to jest moje miejsce. Zacząłem dużo czytać o wojskach specjalnych. Jestem przekonany: zostanę jednym z nich”, mówi pewnie. W trzech konkurencjach – biegu, podciąganiu na drążku i brzuskach – zdobył maksymalną liczbę punktów. Dziesiątki zabrakło mu jedynie w biegu 10 x 10 m. „Nie jestem do końca zadowolony z wyniku, ale mam nadzieję, że znajdę się w najlepszej trzydziestce”.





Podczas rozmowy kwalifikacyjnej komisja sprawdza ogólną wiedzę na temat wojsk specjalnych, motywację do podjęcia służby zawodowej oraz postawę patriotyczną.

Dla kobiet najtrudniejsze okazały się ugięcia ramion na ławeczce, czyli pompki. W tej konkurencji odpadło osiem z nich. Większość mężczyzn miała zaś problemy z przebiegnięciem w odpowiednim czasie 3 tys. m.

CIEKAWY ŻYCIORYSY

Szczęście dopisało Eli z Warszawy, która do ośrodka zdawała po raz drugi. „W ubiegłym roku zbagatelizowałam egzaminy. Wydawało mi się, że skoro jestem sprawna, to bez problemu sobie poradzę. Odpadłam w pierwszej konkurencji”, wspomina. Jest magistrem socjologii, po porzuceniu korporacji przez rok pracowała w Pakistanie. Gdy wróciła do Polski, założyła firmę, która specjalizuje się w pracach na wysokościach. Skąd u niej pomysł na włożenie munduru? „Chyba zawsze interesowałam się wojskiem. Szybko się przekonałam, że jednostki specjalne to wyjątkowa część naszej armii i to właśnie tu chcę służyć. Marzy mi się GROM”, przyznaje nieśmiało.

Zmagania kobiet bacznie obserwuje Kasia, żołnierz JWK. „To dla mnie wyjątkowa chwila. Rok temu sama starałam się o przyjęcie na kurs Jata, a teraz już trzy miesiące jestem żołnierzem lublinieckiej jednostki. Stanowić dowód na to, że marzenia naprawdę się spełniają”, przyznaje. „Wśród kandydatów widzę też takie osoby, które do egzaminu przystępują po raz drugi”, mówi z uśmiechem i dodaje:

NIE WSZYSCY KURSANCY ZOSTANĄ KOMANDOSAMI. OSOBY, KTÓRE ODPADNĄ W TRAKCIE LUB NIE ZDADZĄ EGZAMINÓW KOŃCOWYCH, WRÓCĄ DO REZERWY

„Szczególnie kibicuję dziewczynom, bo wiem, że muszą włożyć bardzo dużo pracy w przygotowanie do egzaminu. Są też bardziej wrażliwe, więc decyzja o służbie i sama służba na pewno dużo więcej je kosztują”. Zanim zdecydowała się na wojsko, była nauczycielem akademickim, prowadziła zajęcia z wychowania fizycznego i była instruktorem pływania. Kurs nie był dla niej łatwy, ale jak przyznaje, nigdy nie żałowała decyzji o włożeniu munduru.

Tego dnia tylko 19 osób pozytywnie zaliczyło testy sprawnościowe. Szczęśliwcy nazajutrz spotykają się jeszcze z komisją kwalifikacyjną, w której składzie zasiadają m.in. zastępca komendanta Ośrodka Szkolenia WS, starszy podoficer JWK oraz współpracujący z placówką konsultanci.

Podczas rozmowy komisja weryfikuje dodatkowe uprawnienia kandydatów, różnego rodzaju kursy i szkolenia. Sprawdzana jest też ogólna wiedza cywilów na temat wojsk specjalnych, motywacja do podjęcia służby zawodowej, postawa patriotyczna, a także oceniane są umiejętności z autoprezentacji i komunikacji. Dodatkowe punkty można otrzymać za prawo jazdy (różnych kategorii), uprawnienia ratownika wodnego, medycznego czy górskiego, potwierdzoną certyfikatami znajomość języków obcych, wykształcenie wyższe niż wymagane (minimum to gimnazjum).

„Zaskoczył mnie poziom wykształcenia i wiedzy kandydatów. Mimo że wymagane jest wykształcenie gimnazjalne, to mamy wielu absolwentów wyższych uczelni. Ludzi o szerokich horyzontach i zróżnicowanych kwalifikacjach”, przyznaje kpt. Łukasz Rosiński, zastępca komendanta Ośrodka. „Zgłosił się do nas oficer marynarki handlowej, który ma doskonałe kwalifikacje i stabilizację finansową, a mimo to chce zostać u nas szeregowym. Mamy też pilota, który bez problemu znalazłby zatrudnienie w cywilu. A oni chcą do wojska. Są też osoby, które w ubiegłym roku przeszły operacje, usunęły wadę wzroku albo zrobiły korektę przegrody nosowej. To są bardzo zdeterminowani ludzie”, dodaje Filip, mentor OSWS-u.

Pozytywnie kandydatów ocenia także konsultant Ośrodka prof. Barbara Wiśniewska-Paź, socjolog z Uniwersytetu Wrocławskiego. Jej zdaniem widać progres, jeśli chodzi o wiedzę kandydatów na temat celów OSWS-u, wojsk specjalnych, kursu Jata oraz tego, jak będzie wyglądał egzamin, a decyzje o zarejestrowaniu się i złożeniu dokumentów są przez nich bardziej przemyślane. Duży wpływ na to mają, zdaniem profesor, z pewnością prowadzone przez Ośrodek strony internetowe, które pełnią funkcję informacyjną, edukacyjną i komunikacyjną. „Tegorocznicy kandydaci są młodszy niż ich poprzednicy. Wśród osób, które przeszły do drugiego etapu, najstarszy ma 38 lat, najmłodszy 19. Dominują osoby urodzone w latach dziewięćdziesiątych, w tym duży procent kandydatów jest z najmłodszego rocznika – 1998. Wszyscy mają wykształcenie średnie, ukończyli liceum lub technikum”, mówi prof. Barbara Wiśniewska-Paź.

Wykładowca podkreśla także, że ponad połowa kandydatów, którzy przystąpili do drugiego etapu egzaminów (rozmowy kwalifikacyjnej), ukończyła jeden lub dwa kierunki studiów lub jest w trakcie ich kończenia. Są to stu-

denci lub absolwenci m.in. Akademii Sztuki Wojennej, Akademii Wojsk Lądowych, Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych oraz Akademii Górniczo-Hutniczej, Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, Katowicach i Poznaniu, Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Warszawskiej, Politechniki Opolskiej czy Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Większość z nich pracuje. „Na uwagę zasługują także liczne uprawnienia i kursy zdobyte przez kandydatów, nawet tych z najmłodszych roczników. Mamy na przykład technika dostępu linowego, trenerów i instruktorów narciarstwa, ratownictwa wodnego, ludzi po kursach nurkowych, spadochronowych, wspinaczkowych, strzelectwa sportowego, grafików komputerowych. Część z nich ma w tych dziedzinach nie tylko certyfikaty, lecz także bogate doświadczenie praktyczne”, dodaje profesor.

PRZYSZLI ELEWI

Ponieważ kandydaci muszą mieć ukończone przynajmniej gimnazjum, za świadectwa gimnazjalne komisja przyznała punkty. Później skierowała osoby, które przeszły wszystkie etapy rekrutacji, do wojskowej komisji lekarskiej i wojskowej poradni psychologicznej. Ostateczna lista przyjętych będzie znana za kilka tygodni. Dopiero po ocenie medycznej zostanie ustalona najlepsza trzdziestka, która 1 lutego 2018 rozpocznie kurs Jata.

Nauka w Ośrodku będzie trwać sześć miesięcy. Program szkolenia pozostanie taki sam jak rok temu. Elewi podczas nauki będą mieć status służby kandydackiej i zostaną skoszarowani na terenie JWK, a po miesiącu złożą przysięgę wojskową. Kurs Jata będzie miał trzy etapy: część adaptacyjną, szkolenie podstawowe oraz specjalistyczne – typowe dla wojsk specjalnych. Zajęcia poprowadzą kadra Ośrodka oraz instruktorzy JWK. Kursanci zostaną wyposażeni w sprzęt używany przez komandosów (np. karabinek HK 416, pistolet HK USP), wezmą też udział w szkoleniach poligonowych.

Nie wszyscy, którzy rozpoczną kurs, zostaną komandosami. Postępy w szkoleniu będą cały czas monitorowane. Osoby, które odpadną w trakcie lub nie zdadzą egzaminów końcowych, wrócą do rezerwy. Ci zaś, którzy ukończą szkolenie, zostaną powołani do służby w wojskach specjalnych. Początkowo żołnierze po kursie trafią na stanowiska zabezpieczające, a następnie, po ukończeniu selekcji oraz kursu bazowego, będą mogli ubiegać się o przyjęcie do zespołów bojowych. Swoich sił w selekcji do Jednostki Wojskowej Agat (więcej na ten temat na str. 52–55) spróbowało już kilku absolwentów kursu Jata. Kilku z nich pozytywnie zdało egzamin w górach i w przyszłości będzie mogło zająć stanowiska bojowe w zespołach szturmowych JWA. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Mocna czwórka

Pierwsi podoficerowie wojsk obrony terytorialnej opuścili mury wrocławskiej uczelni.

WAkademii Wojsk Lądowych przed rokiem do egzaminu przystąpiło 375 osób. Roczne studium oficerskie obrony terytorialnej było adresowane do cywilów, którzy mieli już wyższe wykształcenie. Zakwalifikowało się wówczas 118 osób, ale kurs ukończyło 113 słuchaczy, w tym 33 kobiety. Dlaczego się zgłosili? Gdy rozmawiałam z nimi rok temu, jedni mówili, że przyciągnęła ich gwarancja służby po kursie w regionie zamieszkania, drudzy widzieli w wojskach obrony terytorialnej szansę rozwoju zawodowego, niemal wszyscy zaś dostrzegali zagrożenia płynące z wschodniej granicy.

ROK ZMIAN

Gdy zaczęły powstawać wojska obrony terytorialnej, Maciej Halama, absolwent studiów niestacjonarnych ówczesnej Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych, pomyślał, że to dobra okazja, aby wziąć udział w czymś wyjątkowym. Od dawna wiedział, że wcześniej czy później zostanie żołnierzem. Uznał, że WOT będą lepszym rozwiązaniem niż regularna armia. Dziś ocenia, że dobrze wybrał. Także Olga Kwiatkowska i jej chłopak Łukasz (oboje po Akademii Wychowania Fizycznego) postanowi-

li, że włożą mundur. Ona mogła podjąć pracę jako nauczycielka wychowania fizycznego, ale nie pociągała jej perspektywa zajęć w szkole. Na pytanie komisji egzaminacyjnej, dlaczego chce zostać żołnierzem, odpowiedziała, że zamierza wykorzystać w praktyce wiedzę zdobytą w Akademii Obrony Narodowej, gdzie wcześniej studiowała bezpieczeństwo narodowe. Dziś mówi, że służba w WOT jest tym, co pragnie robić w życiu. Łukasz twierdził, że po prostu chce się sprawdzić. W 2016 roku oboje przewidywali, że trafią „gdzieś na wschodnią granicę, aby szkolić szeregowych z obrony terytorialnej”.

Gdy pytam Olę, co się zmieniło w jej życiu przez ostatni rok, wyciąga rękę – na serdecznym palcu błyszczy pierścionek zaręczynowy. Podczas szkolenia Olga i Łukasz byli w jednym plutonie, wspierali się, ale nie afiszowali z tym, że są parą. Łukasz nie wyręczał Olgi w czasie 20-kilometrowych marszy kondycyjnych, nie pomagał dźwigać 20-kilogramowego plecaka. „W plutonie panowała opinia, że wszyscy są żołnierzami i mają wykonywać tę samą robotę”, wyjaśnia Olga.

Podobnie uważa Justyna Tajer-Bawół, która ma 160 cm wzrostu i waży 55 kg, więc wszystkie mundury są na nią za duże. Na poligonach dziewczyny musiały pokazać, że

KU CHWALE OJCZYZNY!

TE SŁOWA POWTÓRZONE
113 RAZY NIOSŁY SIĘ PRZEZ
PLAC APELOWY AKADEMII
WOJSK LĄDOWYCH
WE WROCŁAWIU



Kursanci studium oficerskiego obrony terytorialnej
podczas szkolenia



Gen. broni Michał Sikora, I zastępca szefa Sztabu Generalnego
Wojska Polskiego, na uroczystej promocji dotykał szablą lewego
ramienia każdego z absolwentów.

„Kładliśmy nacisk
na połączenie teorii
z praktyką.
W ośrodku zurbanizowanym w Wędrzynie przygotowaliśmy pododdziały do walki w mieście. Dziś jest to ważna umiejętność”, podkreśla płk Lech Plezia.

nie są gorsze od chłopaków. Czasami okazywało się zaś, że są silniejsze psychicznie niż postawni koledzy. „Decyduje głowa, a nie mięśnie”, uważa Justyna. W Akademii zdobyła nie tylko stopień podporucznika, ale też znalazła miłość swojego życia.

Marcin Bawół, obecnie jej mąż, służył w stopniu kaprała w Straży Granicznej, uznał jednak, że WOT otwierają przed nim ciekawszą ścieżkę kariery i dają szybszą możliwość zdobycia stopnia oficerskiego niż formacja, w której służył. Justyna Tajer skończyła studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim, pracowała także w wojsku jako stewardesa, latała z VIP-ami na śmigłowcach Mi-8 i samolotach C-295. Jeden z przełożonych doradził jej, aby zeszła na ziemię i włożyła mundur. Postanowiła zdawać na wrocławską uczelnię na roczne studium kształcące podporuczników wojsk obrony terytorialnej. Poznała Marcina. Zaręczyli się w lutym, a ślub odbył się w maju.

„Z cywilów zrobiliśmy żołnierzy”, ocenia płk Lech Plezia, zastępca dyrektora Instytutu

Dowodzenia AWL, który brał udział w opracowaniu programu kształcenia i szkolenia dla kandydatów na podporuczników WOT-u. Kpt. Rafał Szymczyk, dowódca kompanii szkolnej, który planował i organizował zajęcia dla podchorążych, opowiada, że naukę rozpoczęli od klasycznego szkolenia wojskowego: podstaw taktyki, szkolenia ogniowego, musztry i WF. Kolejne miesiące wypełniły im wykłady z 44 przedmiotów teoretycznych – zdobywali wiedzę m.in. z podstaw dowodzenia, geopolityki i geostrategii, systemu obrony państwa i bezpieczeństwa wewnętrznego, a także wybranych aspektów historii Polski.

PATRIOTYCZNE SZKOLENIE

„Podczas szkolenia duży nacisk kładliśmy na zagadnienia związane z obroną terytorialną. Poświęcono temu 11 przedmiotów, takich jak taktyka WOT-u, przeszukiwanie terenu, rozpoznanie, zabezpieczenie inżynieryjne i zarządzanie w sytuacjach kryzysowych”, wylicza płk Plezia. Standardowy program szkolenia dla przyszłych



JEDNYCH SŁUCHACZY DO AKADEMII PRZYCIĄ- GNĘŁA GWARANCJA SŁUŻBY PO KURSIE W REGIONIE ZAMIESZ- KANIA, DRUDZY WI- DZIELI W WOJSKACH OT SZANSĘ ROZWOJU ZAWODOWEGO, NIE- MAL WSZYSCY ZAŚ DO- STRZEGALI ZAGROŻE- NIA PŁYNĄCE Z ZA- WSCHODNIEJ GRANICY

podporuczników został też rozszerzony o zagadnienia poświęcone wychowaniu patriotycznemu.

Wiedzę teoretyczną sprawdzali w praktyce na poligonach w Wędrzynie i Biedrusku oraz w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie i Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu. Wtedy po raz pierwszy strzelali z karabinu maszynowego UKM-2000, ręcznego granatnika przeciwpancernego RPG-7 oraz brali udział w zajęciach z kierowania ogniem. Szkolili ich m.in. instruktorzy z mobilnych zespołów szkoleniowych WOT-u. „Kładliśmy nacisk na połączenie teorii z praktyką. W ośrodku zurbanizowanym w Wędrzynie przygotowywaliśmy pododdziały do walki w mieście. Dziś jest to ważna umiejętność”, podkreśla płk Lech Plezia.

Podczas egzaminu na dowódcę plutonu musieli dowiedzieć, że potrafią podejmować decyzje, planować działania taktyczne i kierować ogniem pododdziału. Na zakończenie szkolenia czekał ich ten najważniejszy egzamin – na oficera. Należało wykazać się wiedzą teoretyczną i praktyczną z czterech działów: taktyki, teorii i praktyki strzelania, regulaminów oraz zagadnień humanistycznych dotyczących m.in. działalności wychowawczej w wojsku i przywództwa w dowodzeniu. Sprawdzian zdali na czwórkę: średnia z egzaminu na dowódcę plutonu wyniosła 3,88 pkt., na oficera – 4,06. „Są dobrze przygotowani do służby”, uważa kpt. Rafał Szymczyk. Podkreśla, że teraz stoi przed nimi wielkie wyzwanie: mają przyciągnąć do WOT-u młodzież, a także zachęcać i motywować cywilów do służby w wojsku.

Kiedy z nimi rozmawiam, odnoszę wrażenie, że gdy jako dowódcy staną przed plutonem, odnajdą w sobie charyzmę, aby przekazać podwładnym wiedzę, jaką zdobyli w Akademii. „Rok spędzony tutaj sprawił, że jestem dobrze przygotowany do tego, aby być dowódcą. Chcę być autorytetem dla moich podwładnych, tak jak autorytetami byli dla mnie nasi wykładowcy, chcę uczyć wojskowej sztuki”, mówi ppor. Karol Michalski. Opowiada, że wojsko było jego marzeniem od dzieciństwa. Nie objęła go już obowiązkowa służba wojskowa, dlatego najpierw postanowił zdobyć wykształcenie (skończył prawo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim), potem, gdy zaczęły powstawać WOT, uznał, że to odpowiedni czas, aby podjąć wymarzone wyzwanie. Podobne plany ma ppor. Paweł Małkowski, który skończył studium z pierw-

szą lokatą. Zanim trafił do Wrocławia, przeszedł szkolenie w narodowych siłach rezerwowych i skończył szkołę podchorążych, został więc pomocnikiem dowódcy plutonu. „Chcemy wzbudzać w cywilach chęć do obrony ojczyzny”, planuje Paweł. Justyna Tajer-Bawół obawia się, że w plutonie, którym będzie dowodzić, mogą się znaleźć żołnierze z większym doświadczeniem niż ona. Marcin ją uspokaja: „Jesteśmy dobrze wyszkoleni. Jeżeli mamy się czegoś obawiać, to tzw. białej taktyki, czyli roboty papierkowej”. Olga Kwiatkowska przyznaje, że szkole-

nie w Akademii wymagało wysiłku i zaangażowania, uważa jednak, że było warto. „Wojsko nauczyło mnie pewnego dystansu i trzeźwego myślenia. Jestem gotowa na nowe wyzwania, dam z siebie wszystko”, zapewnia.

SŁUŻBA W MAŁEJ OJCZYŹNIE

10 listopada 2017 roku absolwenci rocznego studium WOT-u złożyli ślubowanie i zostali podporucznikami. „Pamiętajcie słowa ślubowania oficerskiego, że dobro Rzeczypospolitej Polskiej jest naszym prawem najwyższym. Te słowa powinny być waszym drogowskazem w służbie, której zasadniczym celem jest dbanie o wysoki poziom bezpieczeństwa naszej ojczyzny”, żegnał ich gen. bryg. Dariusz Skorupka, komendant Akademii Wojsk Lądowych.

Od 11 grudnia wiedzę, którą tam zdobyli, wykorzystują w przydzielonych jednostkach. Ppor. Paweł Małkowski trafi do 6 Brygady Mazowieckiej. Będzie służył w Pomiechówku, czyli 20 km od Legionowa, z którego pochodzi. Ppor. Olga Kwiatkowska dostała przydział do Radomia, ale służbę rozpocznie prawdopodobnie w Grójcu. Ppor. Justyna Tajer-Bawół i ppor. Marcin Bawół zgłoszą się do Lublina. Będą w tej samej jednostce w Dęblinie, ale na różnych stanowiskach: ona rozpocznie służbę jako dowódca plutonu, on trafi do łączności. Stwierdzili, że to lepiej dla ich małżeństwa, że nie będą pracować razem. „Zgodnie z ideą WOT-u trafiać do swojej małej ojczyzny, czyli do Chełma. Tam się urodziłem, wychowałem i teraz tam będę służył jako żołnierz WOT-u”, mówi ppor. Karol Michalski. Ppor. Maciej Halama pochodzi z Brzegu Opolskiego, ale trafił do Rzeszowa, bo to brygada położona najbliżej jego domu, a WOT działa tam pełną parą. Tymczasem w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu roczne szkolenie wojsk obrony terytorialnej rozpoczęło już 80 przyszłych podporuczników. ■

PIOTR RASZEWSKI

Rebelia w Rederii

Planiści z czterech państw szukali najlepszego scenariusza operacji wymuszania pokoju.

W Rederii wybuchł konflikt zbrojny. Kraj został podzielony na części północną i południową. Rada Bezpieczeństwa ONZ podjęła rezolucję wyznaczającą linię demarkacyjną, a w rejon ogarniętego konfliktem państwa zostały wysłane wojska międzynarodowe Skolkan, m.in. Wielonarodowa Brygada. Siły zbrojne miały nadzorować to terytorium i podjąć starania dyplomatyczne, by doprowadzić do stabilizacji. Gdy żołnierze przemieścili się w rejon granicy, strona północna naruszyła linię demarkacyjną i opanowała sąsiednie terytorium.

Nagła zmiana okoliczności spowodowała, że jednostki podległe brygadzie musiały zaplanować akcję bojową związaną z prowadzeniem operacji wymuszania pokoju. Wszystko po to, by najpierw odtworzyć wyznaczony przebieg linii rozdzielenia wojsk, a następnie przejąć kontrolę i ustabilizować sytuację. Do akcji wkroczyli więc sztabowcy, którzy mieli ponownie zaplanować działania, by wydać nowe rozkazy, umożliwiające wykonanie zmodyfikowanego zadania.

PRZEPUSTKA DO NATO

To główne założenia scenariusza tegorocznych ćwiczeń dowódczo-sztabowych „Maple Arch '17”, które mają już osiemnastoletnią tradycję. Organizowane są w różnych miejscach i od początku uczestniczą w nich żołnierze z Polski, Litwy, Ukrainy i Kanady. W tym roku w Ośrodku Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Nowej Dębie ćwiczyło około 460 wojskowych z czterech państw. Od pierwszej edycji współorganizatorem była armia kanadyjska. „Od początku najważniejsze było dla nas zapewnienie uczestnikom możliwości trenowania metod komunikacji i wspólnego planowania zadań w standardzie NATO”, podkreśla

ppłk Stephen Hale, dowódca kanadyjskiego kontyngentu. W tym roku kraj ten zrezygnował z roli współorganizatora na rzecz funkcji mentorskiej i doradczej, szczególnie dla planistów ukraińskich. „Gdy po raz pierwszy przeprowadziliśmy ćwiczenia »Maple Arch«, żadne z trzech państw nie było jeszcze członkiem NATO. Poszczególne kraje sukcesywnie jednak dołączały do sojuszu. Teraz głównym naszym celem jest wspieranie rozwoju sił zbrojnych Ukrainy, tak by spełniały one natowskie standardy”, dodaje ppłk Hale, jeden z 15 oficerów z 5 Dywizji Kanadyjskiej, którzy pojawili się w Nowej Dębie.

Tegoroczna edycja „Maple Arch” była zatem szczególnie dla Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady. Jednostka z Lublina odpowiadała za organizację przedsięwzięcia, przygotowała strukturę kierownictwa ćwiczeń oraz dowództwo szczebla nadzrędnego wojska HICON. „Istotą tego typu manewrów dowódczo-sztabowych jest przede wszystkim sprawdzenie w międzynarodowym środowisku obiegu informacji i procedur planowania zadań, które są podobne, ale nie tożsame z narodowymi. Głównym celem »Maple Arch« było jednak sprawdzenie kompatybilności Wielonarodowej Brygady z jej afiliowanymi pododdziałami oraz planowanie działań połączonych z użyciem wszystkich rodzajów wojsk”, wyjaśnia płk dypl. Zenon Brzuszek, dowódca Wielonarodowej Brygady i jednocześnie oficer prowadzący tegoroczne manewry.

Głównymi ćwiczącymi podczas „Maple Arch” były: 5 Batalion Strzelców Podhalańskich z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich oraz 1 Batalion Powietrznodesantowy z 80 Brygady Wojsk Aeromobilnych z Ukrainy. Te pododdziały zorganizowały na poligonie w Nowej Dębie pełne stanowiska dowodzenia. Pozostałe zaś, czyli litewski Batalion Ułanów im. Wielkiej



Głównym celem „Maple Arch” było sprawdzenie kompatybilności Wielonarodowej Brygady z jej afiliowanymi pododdziałami oraz planowanie działań połączonych z użyciem wszystkich rodzajów wojsk.





MANEWRY, KTÓRYCH POMYSŁODAWCĄ JEST ARMIA KANADYJSKA, SĄ ORGANIZOWANE CYKLICZNIE OD 18 LAT

Księżnej Biruty, 14 Dywizjon Artylerii Samobieżnej, 21 Dywizjon Artylerii Przeciwlotniczej, batalion dowodzenia Wielonarodowej Brygady, 21 Batalion Logistyczny oraz 16 Batalion Saperów, wystawiały grupy operacyjne składające się z etatowych dowódców i oficerów. „Scenariusz ćwiczeń zakładał przeprowadzenie operacji wymuszania pokoju i był zbliżony do realnych działań w ramach wstępnej fazy misji pokojowej w Kosowie czy w Serbii i Chorwacji. Chodziło o to, by zaangażować jak najwięcej sił i wymusić na ćwiczących koordynację działań różnych rodzajów broni. Było to spore wyzwanie, bo oprócz działań typowo pokojowych należało zaplanować poszczególne elementy działań bojowych”, podkreślił płk dypl. Zenon Brzuszek.

ELASTYCZNOŚĆ DZIAŁANIA

Zwiększone spektrum działań to efekt rozszerzenia mandatu LITPOLUKRBRIG. W październiku ministrowie obrony trzech założycielskich krajów podpisali porozumienie,

dzięki któremu Wielonarodowa Brygada może wykonywać operacje nie tylko wsparcia pokoju, lecz także jego wymuszania. Powodzenie tego zadania w dużej mierze zależy od poprawnego planowania działań i podejmowania decyzji. W tym procesie bierze udział każda sekcja sztabu, tak by osiągnąć maksymalny efekt. „Z tych powodów są to dla nas bardzo ważne ćwiczenia. System działania w ramach NATO ukraińskie wojsko dopiero przyswaja. Dzięki »Maple Arch« możemy przeanalizować wszelkie procedury i rozwiązania stosowane w różnych armiach świata i wystąpić jako jeden z elementów międzynarodowej operacji”, przyznaje mjr Oleh Apostol, dowódca 1 Batalionu Powietrznodesantowego.

Ukraiński batalion razem z pozostałymi pododdziałami miał 24 godziny na działanie. Celem było zmuszenie jednej ze stron konfliktu do wycofania się z zajętego bezprawnie terytorium. „Zadanie było bardzo dynamiczne, ale zmusiło nas do precyzyjnego planowania i przestrzegania prawa. Szczególny nacisk poło-

Ministrowie obrony trzech założycielskich krajów Wielonarodowej Brygady podpisali w październiku 2017 roku porozumienie, dzięki któremu może ona wykonywać także operacje wymuszania pokoju.



PIOTR RASZEWSKI

żyliśmy na to, by uniknąć przypadkowych ofiar wśród cywilów oraz innych błędów, takich jak ostrzał własnych wojsk, czyli »friendly fire«, podkreśla ppłk Marcin Dusza, dowódca 5 Batalionu Strzelców Podhalańskich. „W trakcie prowadzenia działań bojowych ludność jest zwykle ewakuowana lub sama opuszcza rejon walk. Teraz mieszkańcy pozostali w domach. Żołnierze działali zaś w zróżnicowanym etnicznie rejonie. Nie było zatem sprecyzowanej granicy między przeciwnikiem a siłami własnymi, co wymusiło bardzo dokładne, legalizowane przez radcę prawnego, użycie artylerii”, dodaje z kolei ppłk Dariusz Słota, dowódca 14 Dywizjonu Artylerii Samobieżnej.

Trudnością było też szybkie przejście z dynamicznej akcji bojowej do działań niekinetycznych. Gdy jednostki odtworzyły przebieg linii rozdzielenia stron konfliktu, żołnierze mieli się zająć uspokojeniem sytuacji w rejonie. „Z zadań typowo bojowych musieliśmy od razu przejść do klasycznych działań pokojowych, polegających na dozorowaniu i wspieraniu ludności lokalnej. Zgodnie z prawem międzynarodowym prowadziliśmy działania niekinetyczne za pośrednictwem naszych sekcji współpracy cywilno-wojskowej, nawiązywaliśmy kontakt z lud-

nością lokalną, władzami i wspieraliśmy je, by ludzie żyjący w rejonie operacji mogli wrócić do normalnego funkcjonowania”, podkreśla ppłk Dariusz Czekaj, szef HICON.

POMOC Z SIECI

Efekty planowania oraz prowadzenia operacji były weryfikowane przez system symulacji pola walki JCATS. W Wojsku Polskim jest on wykorzystywany w Centrum Wsparcia Mobilnych Systemów Dowodzenia, którego żołnierze pomogli przygotować i przeprowadzić ćwiczenia „Maple Arch”. „Nie po raz pierwszy Wielonarodowa Brygada korzystała z tego systemu. Umożliwia on bowiem oddanie całego spektrum działań na polu walki”, wyjaśnił ppłk Robert Radomski, szef zespołu symulacji. „System błyskawicznie weryfikuje podjęte decyzje. Spotkaliśmy się chociażby z taką sytuacją: droga marszu przebiegała przez kilka mostów, tymczasem okazało się, że jedna z przepraw, co nie zostało wcześniej poprawnie ocenione, miała zbyt niską nośność. Zablokowano całą kolumnę, a dowódca batalionu musiał podjąć decyzję o wyznaczeniu drogi obejścia i uzyskać zgodę dowódcy brygady na zmianę trasy marszu”, wspomina płk dypl. Zenon Brzuszek.

„To jeden z wielu przykładów, kiedy mogliśmy sprawdzić, czy odpowiednio funkcjonuje nasz obieg informacji i system meldunkowy”, dodaje dowódca LITPOLUKRBRIG. Z kolei ppłk Marcin Dusza podkreśla: „Mieliśmy również możliwość analizowania, jak taka operacja wyglądałaby w praktyce, a przede wszystkim mogliśmy szybko oszacować straty i zweryfikować decyzje, szczególnie te złe”. Nietrafnych było jednak mało, bo ćwiczące pododdziały w pełni wykonały postawione przed nimi zadania.

„W takich misjach chodzi przede wszystkim o szybkie przywrócenie bezpieczeństwa i wiary ludności w to, że siły międzynarodowe mogą sprawnie zaprowadzić spokój. Nam się udało to zrobić, co oznacza, że możemy cierpliwie czekać na wyznaczone nam zadania”, ocenia płk dypl. Zenon Brzuszek.

Jeśli rozkazy nie nadejdą, żołnierze Wielonarodowej Brygady skupią się na realizacji planów szkoleniowych, w których ważną rolę będą odgrywały przyszłoroczne manewry „Maple Arch”, zwłaszcza że Kanadyjczycy wciąż deklarują swój udział. „Chcemy nadal pracować w wielonarodowym środowisku, a te ćwiczenia stwarzają taką okazję. Do tej pory głównym ich celem było sprawdzenie działania na poziomie brygady. Będziemy jednak starali się je nieco zmodyfikować”, przyznaje ppłk Stephen Hale. Niewykluczone, że do międzynarodowego grona dołączą żołnierze z Czarnogóry i Gruzji. Wojskowi z tych państw byli w Nowej Dębie i obserwowali pracę planistów z Polski, Litwy i Ukrainy. ■

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ZWYCIĘSTWO MASZ W GŁOWIE

Gdy mięśnie nóg już nie pozwalają iść dalej,
sił do walki trzeba szukać w sobie – tylko w ten sposób
można przejść selekcję do jednostki specjalnej.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Cały tydzień przed selekcją w Bieszczadach była piękna pogoda, ale już w poniedziałek rano rozpadało się na dobre, temperatura drastycznie spadła do zaledwie kilku stopni powyżej zera, wiatr przeszywał do szpiku kości. „Idealna pogoda, by zacząć selekcję”, usłyszeliśmy od instruktorów, którzy przyjechali w Bieszczady z 34 kandydatami na żołnierzy Jednostki Wojskowej Agat.

POKORA

Pięciodniową selekcję do Agatu obserwujemy kolejny raz i, jak zwykle, gdy widzimy kandydatów po raz pierwszy, uderza nas ich pewność siebie. Kiedy podpytujemy, jak długo przygotowywali się do selekcji, z szelmowskimi minami odpowiadają: „całe życie”. „Chodziliście po górach? Ćwiczyliście poruszanie się z mapą? Macie sprawdzony sprzęt?”, pytamy. Śmiechy trochę cichną, ale humory wciąż dopisują.

Selekcja zaczyna się od sprawdzenia plecaka. Każdy z kandydatów musi go rozpakować i na wezwanie instruktora pokazać wymienioną rzecz: od śpiwora, przez mapnik, po bieliznę. Co trzeba mieć ze sobą?

Wykaz niezbędnych przedmiotów znajduje się na stronie internetowej JW Agat. Co ważne, w plecaku nie może znaleźć się nic spoza tej listy. Niektórzy myślą, że uda się coś przemycić. I choć spryt w Bieszczadach jest ważny, to cwaniakowanie się nie opłaca. Jeden z chłopaków schował w plecaku paczkę z lekami przeciwbólowymi. Instruktor znalazł je, a właściciel musiał oddać numer i jechać do domu. Mało tego, o próbie oszustwa zostanie poinformowany jego przełożony. „Nie tolerujemy braku pokory, a on nawet nie próbował wyjść z tej sytuacji z twarzą i chociaż przeprosić za oszustwo”, mówi „Nowy”, szef selekcji, oficer Agatu.

Sprawdzanie plecaków to stałe zadanie na selekcji. Po pierwsze, robi się to kilkadziesiąt razy, wydając najdrobniejszą rzecz. Po drugie, to, jak szybko plecak zostanie rozpakowany, a potem spakowany, ma wielkie znaczenie, bo gdy jeden z uczestników nadal szuka skarpetek, jego koledzy zaczynają robić pompki. Będą pompować aż do chwili, gdy się nie ogarnie i nie zasunie ostatniego suwaka w plecaku.

POMPKI

Bieg po górach na dystansie 15 km z ponad 20-kilogramowym plecakiem to pierwsze zadanie dla kandydatów. Gdy startują, jest już ciemno, deszcz pada non stop, a ścieżki w górach są jeszcze bardziej śliskie i niebez-

pieczne niż zwykle. Na wykonanie zadania uczestnicy mają dwie godziny. „To chyba sporo czasu jak na 15 km?”, pytamy instruktorów. „To pierwszy sprawdzian ich wytrzymałości. Dystans nie jest zbyt długi, lecz wystarczająco wymagający, by sprawdzić, czy nikt się nie pomylił, wybierając się na selekcję. Po co marnować czas na kogoś, kto nie przygotował się do walki o miejsce w Agacie?”, odpowiada jeden z instruktorów jednostki. Okazuje się, że na metę dobiegają 33 osoby. Jednego z kandydatów dopadła kontuzja i zrezygnował z dalszej walki.

Jest już późna noc, gdy na mecie pojawia się ostatni z chłopaków. Byliśmy pewni, że teraz przyszedł czas na krótki odpoczynek. Jednak nie. Najpierw kilkadziesiąt pompek. Instruktorzy liczą je bardzo powoli, chodząc między kandydatami i sprawdzając, czy nie oszukują:

„Co ty robisz »Trzynastka«”? Podnieś dupę do góry! Myślisz, że nie widzę, jak ściemniasz?”, krzyczy „Roco”, jeden z instruktorów. Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt pompek. Dziesięć ostatnich wykonują z okrzykiem: „Będę się wyrabia! Będę słuchał instruktora!”. Po wieczornych ćwiczeniach wreszcie czas

na sen. Ale by rozłożyć karimaty, kandydaci muszą znaleźć odpowiednie miejsce. Instruktorzy wyjaśniają im, że znajduje się ono 12 km dalej...

MAPY

Gdy spotykamy ich następnego dnia, na twarzach mają coraz mniej uśmiechu i tej pewności siebie, z którą ruszyli w Bieszczady. Są tuż po śniadaniu. W tym roku po raz pierwszy kandydaci nie mają ze sobą wojskowych „esek”, czyli racji żywnościowych. Każdy ma swoje jedzenie, ściśle określone przez instruktorów Agatu. Jest to puszka konserwy mięsnej, tabliczka gorzkiej czekolady oraz paczka chrupkiego pieczywa i woda – tyle musi wystarczyć na jeden dzień.

Po śniadaniu znowu sprawdzanie plecaka. Tym razem trwa naprawdę długo. Instruktorzy wydali polecenie, by kandydaci się rozebrali. Zostają wyłącznie w bieliźnie. My mamy na sobie puchowe kurtki, a i tak jest nam zimno, bo wieje i pada. Sprawdzanie plecaków przedłuża się w nieskończoność, a kandydaci już nie drżą, lecz zwyczajnie trzęsą się z zimna. Żaden z nich się nie skarży. Instruktorzy wydają kolejne polecenia: pompki, przysiady, pompki, przysiady. Najtrudniejsze na zimnie jest stanie bez ruchu.

Z ulgą i bardzo szybko się ubierają i biorą do ręki mapy z układem UTM – czyli takie, na których zaznaczony



jest obraz powierzchni ziemi, znajduje się na niej również siatka, która dzieli obszar na kwadraty o wymiarach 1x1 km. Do jej czytania niezbędna jest linijka. Okazuje się, że niewielu kandydatów miało taką mapę wcześniej w ręku. Popołniają podstawowe błędy. Jeden z nich kładzie ją na ścieżce. „Co ty robisz? Chcesz ją zniszczyć w pierwszej godzinie? Przecież bez mapy dalej nie pójdziesz”, krzyczy „Kris”, jeden z instruktorów. Okazuje się, że problemem jest też wskazanie miejsca, w którym się znajdują. Instruktorzy są coraz bardziej zdziwieni i źli. „Jak mamy iść dalej? Nie przygotowaliście się!”, grzmią. Muszą udzielić krótkich instruktaży, wytłumaczyć, jak posługiwać się taką mapą. Podobnie było w zeszłym roku, ale teraz cierpliwości mają mniej. „Przecież na ich miejscu zajrzałbym do internetu, przeczytał chociażby tekst z »Polski Zbrojnej« i wiedziałbym, że pracuje się tu z mapą. I trzeba wiedzieć, jak się to robi!”, mówi Bartek, instruktor.

ZESPÓŁ

Po krótkim przeszkoleniu, podzieleni na grupy wyruszają w góry. W czasie 40-kilometrowego marszu muszą nawigować i wykonywać zadania postawione przez instruktorów. Na przykład przez kilkanaście kilometrów nieść „rannego”, czyli ważący kilkadziesiąt kilogramów pień drzewa, budować miniprzepawy wodne, no i oczywiście robić pompki, przysady czy dźwigać 20-kilogramowy plecak nad głowami. Instruktorzy sprawdzają jeszcze jedną rzecz – umiejętność pracy w zespole. „Jak wiadomo, nie szukamy indywidualistów, ludzi, którzy nie potrafią pracować w grupie. Służba w wojskach specjalnych to jest w 99% praca z innymi. Musisz być koleżeński, musisz wiedzieć, ile znaczy zespół, musisz stać za kolegami murem, bronić ich i chronić”, wyjaśnia „Nowy”.

Podczas wykonywania zadania instruktor wyznaczył jednego z kandydatów na lidera grupy, czyli kogoś, kto bierze odpowiedzialność za wszystkich, rozdziela pracę, motywuje, pilnuje, by jak najlepiej i jak najszybciej się ze wszystkim uporali. „Niestety pomylił on rolę lidera z rolą pana kierownika. Wydał polecenia i zza drzew obserwował, jak inni sobie z nimi radzą. Musiałem usunąć go z selekcji. Nie ma opcji, by taka osoba odnalazła się na przykład w zespole bojowym. Nawet gdy dowodzisz, masz być ze swoimi ludźmi, a nie gdzieś z boku”, mówi „Nowy”.

Dzień w górach kończyła przeprawa przez rzekę. Kandydaci musieli przejść kilkadziesiąt metrów w sięgającej do pasa lodowatej wodzie. Zadanie może fizycznie nie należało do najtrudniejszych, ale sprawdzano, jakie decyzje podejmują zmęczeni już ludzie. Na

NIKT TUTAJ NIE SZUKA INDYWIDUALI- STÓW. SŁUŻBA W WOJSKACH SPECJALNYCH TO W 99% PRACA Z INNYMI

przykład jeden z nich postanowił wejść do wody w butach trekkingowych. „Przecież mogłeś iść w skarpetkach! Jak ty teraz chcesz to wysuszyć? Jak chcesz w nich jutro chodzić po górach?”, pouczają instruktorzy. Zdają sobie sprawę z tego, że chłopaki są już zmęczone – dostali niezły wycisk i coraz trudniej jest podejmować dobre decyzje. „Ale właśnie takich ludzi chcemy mieć w wojskach specjalnych – którzy potrafią działać, gdy są skrajnie zmęczeni”, mówi Bartek i dodaje, że zmęczeni to dopiero będą.

Kolejny poranek nadchodzi zbyt szybko. Kandydaci spalili zaledwie kilka godzin. Następne zadanie to zdobycie czterech punktów gdzieś w Bieszczadach. O tym, gdzie znajdują się kolejne miejsca, dowiadują się na trasie. Ten marsz wykonują solo. „Wyobraź sobie, że masz za sobą kilka dni intensywnego wysiłku, kilka godzin snu w środku lasu, przemoczone buty, a temperatura wynosi zaledwie kilka stopni powyżej zera. Trudno wówczas podejmować decyzje, reagować na to, co się dzieje i nawigować”, „Nowy” wyjaśnia, na czym polega trudność zadania. Rzeczywiście to jest ten etap selekcji, kiedy kursanci podejmują ważne decyzje: czy iść dłuższą i łatwiejszą trasą, czy krótszą, ale trudniejszą? Tak czy inaczej w ciągu dziesięciu godzin mają odnaleźć wyznaczone punkty.

Najszybszy kandydat był na miejscu już po ośmiu godzinach. Niestety jeden zgubił się i nie dotarł na czas, tym samym nie ukończył selekcji. „Szacujemy, że ci, którzy stracili orientację i chodzili z punktu do punktu, przeszli ponad 40 km”, mówi „Nowy”. Na mecie czekali na nich medycy, którzy sprawdzali, jak się



MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

Niewielu kandydatów miało wcześniej w ręku mapę z układem UTM. Zaznaczony jest na niej obraz powierzchni ziemi, znajduje się również siatka, która dzieli obszar na kwadraty o wymiarach 1x1 km. Do jej czytania niezbędna jest linijka.

czują. „Opatrujemy im stopy, które czasami są w strasznym stanie. Wychodzą: brak zasypki, brak kremu, mokre buty i dziesiątki kilometrów marszów i biegu. Apeluję do ludzi, którzy będą chcieli podejść do selekcji w przyszłości: weźcie ze sobą puder do stóp!”, mówi jeden z medyków. Niektórzy z kandydatów narzekają na zgagę, mówią o tym, że kilka razy wymiotowali, prawdopodobnie to efekt picia wody ze strumieni. „Nie możemy im dać żadnych innych leków niż witamina C”, mówi medyk. Jeśli potrzebowaliby innych środków, musieliby automatycznie odpaść z selekcji.

MARATON

Niektórzy z kandydatów zasypiają od razu, inni długo szukają wolnego miejsca w obozowisku. Po niecałych dwóch godzinach pobudka. Ruszają w góry, tym razem na nocny maraton, który jest ostatecznym sprawdzianem. Niestety nie wszyscy są w stanie natychmiast stawić się na zbiórce – w ciemnościach, przy takim zmęczeniu ciężko spakować plecak. Instruktorzy nie mają litości. Karne pompki robią wszyscy aż do momentu, gdy koledzy nie pojawiają się w szeregu. Ćwiczących bołą ręce, nogi, niektórzy mają już zdartą skórę ze stóp i ledwo stoją. „Czy ktoś chce zrezygnować?”, pyta kierownik selekcji. „Nie!”, niesie się po górach.

Instruktor wyjaśnia, na czym polega ostatnie zadanie: przed nimi maraton. Będą iść lub biec w pojedynkę. Mają kilka godzin na pokonanie kilkudziesięciu kilometrów. „Nocny maraton to zadanie, które wykonuje się już niemal automatycznie. Kandydaci wyłączają myślenie, bo są już zbyt zmęczeni, by cokolwiek planować. Po prostu mają pokonać dystans w wyznaczonym czasie”, mówi Grzesiek. Kilka godzin później na metę docierają 22 osoby. Są skrajnie wyczerpane, obolałe lub odwodnione. Kiedy medycy opatrują ich stopy, musimy odwrócić wzrok, bo widok jest nie do zniesienia. Chwilę później, kuśtykając, ustawiają się na ostatniej zbiórce. W Jednostce Wojskowej Agat wita ich jej dowódca płk dypl. Sławomir Drumowicz. „To była 22. selekcja do jednostki Agat. Wiem, że daliście z siebie wszystko i powinniście być dumni”, mówi na zakończenie dowódca.

Tuż po uroczystym zakończeniu selekcji pytamy przyszłych żołnierzy Agatu, jakie błędy popełnili. „Nie wypuściłbym mapy z ręki”, przyznaje jeden z nich. „Trzeba było częściej jeździć w góry, pochodzić po nich”, mówi ktoś inny. Wreszcie po kilku dniach spędzonych w Bieszczadach odbierają swoje bagaże i włączają telefony komórkowe. Wszyscy dzwonią do tych, którzy trzymali za nich kciuki. Rozlega się: „Mamo!”, „Kochanie!”, „Stary!”, „Przeszedłem selekcję!”. ■



„To była 22. selekcja do jednostki Agat. Wiem, że daliście z siebie wszystko i powinniście być dumni”, mówi płk dypl. Sławomir Drumowicz, dowódca Jednostki Wojskowej Agat.

DOWODZENIE Z SZYKIEM

Z Robertem Głębem
**o specyfice służby w Dowództwie Garnizonu
Warszawa i zmianach w tej instytucji
rozmawia Anna Dąbrowska.**

Przyszły rok będzie dla DGW pełen wyzwań... Każdy rok jest wymagający dla Dowództwa Garnizonu Warszawa... Podlegają mi jednostki różnej wielkości, ale także o zróżnicowanym charakterze. Przyszły rok dla żołnierzy Dowództwa, brygady, pułków i oddziałów zabezpieczenia jak zwykle będzie wypełniony intensywnym szkoleniem oraz wykonywaniem zadań we wszystkich obszarach odpowiedzialności. Jednostki dowodzenia i łączności oraz pododdziały ochrony do maksimum wykorzystają czas szkolenia poligonowego. Jest to niezbędne, aby należycie przygotować się do realizacji zadań związanych z utworzeniem i sprawnym funkcjonowaniem kluczowych stanowisk oraz systemów dowodzenia i łączności, nie tylko w czasie pokoju. Jestem pewien, że bez zakłóceń wykonamy zadania ochronne wobec wszystkich instytucji. Przeszkolimy także żołnierzy rezerwy – średnio w roku dotyczy to od 2 do 3 tys. osób. ➔





WIZYTÓWKA

GEN. BRYG.
ROBERT GŁĘB

Od marca 2016 roku jest dowódcą Garnizonu Warszawa. Zawodową służbę wojskową rozpoczął w 1988 roku w 3 Brygadzie Rakietowej Obrony Powietrznej Kraju. Absolwent studiów operacyjno-strategicznych w Akademii Połączonych Dowództw i Sztabów w Shrivenham w Wielkiej Brytanii oraz studiów obronnych na King's College London, które ukończył z wyróżnieniem. W 2012 roku skierowany do służby w strukturach NATO na stanowisku szefa Zarządu Szkolenia w Dowództwie Komponentu Sił Powietrznych NATO w Ramstein. ■

ROBERT SIEMASZKO/CO MON

Miałam też na myśli przypadającą w przyszłym roku setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

Nie mam żadnych wątpliwości, że faktycznie rok 2018 będzie szczególny. Setna rocznica odzyskania niepodległości oraz stulecie powstania wielu państwowych instytucji to pewnie wiele dodatkowych zadań. Mamy świadomość oczekiwań i naturalnej w nadchodzącym roku chęci wyjątkowego podkreślenia tej wspaniałej rocznicy.

Mówiliśmy o jednostkach podległych DGW, ja naliczyłam ich kilka...

Dowództwu są podporządkowane jednostki dowodzenia i łączności: 15 Brygada Wsparcia Dowodzenia w Sieradzu, 10 Pułk Dowodzenia we Wrocławiu, a także 24 Polowa Techniczna Baza Wojsk Łączności w Opolu. W mojej dyspozycji są także Pułk Ochrony i jednostki logistyczne, czyli trzy oddziały zabezpieczenia w Warszawie, które zaopatrują około 15 tys. osób z ponad 300 jednostek i komórek organizacyjnych pozostających na ich gospodarczych przydziałach, rozmieszczonych w kraju i za granicą. Pełnią one także funkcję administratorów nieruchomości wojskowych. Warszawski 10 Pułk Samochodowy natomiast zapewnia codzienny transport najważniejszych osób, a także materiałów służących do zabezpieczenia logistycznego tysięcy żołnierzy i pracowników w stolicy. Odpowiadam także za funkcjonowanie Ośrodka Reprezentacyjnego MON w Helenowie, Wojskowego Ośrodka Szkoleniowo-Kondycyjnego w Mrągowie, 19 orkiestr wojskowych, Drukarni Wydawnictw Specjalnych oraz Klubu DGW.

Ostatnio głośno było o Klubie. Pisano, że ratuje warszawskie teatry.

To prawda. Kiedyś Teatr Kwadrat, a teraz Teatr Żydowski znalazły tymczasową siedzibę w budynku Klubu. Z Teatrem Żydowskim łączy nas dobra współpraca, a aktorzy angażują się w wiele przedsięwzięć Klubu. Ciekawe projekty udało się zorganizować również we współpracy z ambasadami Niemiec oraz Armenii w Warszawie. Bardzo mnie to cieszy, bo kiedy obejmując stanowisko dowódcy Garnizonu Warszawa, zobaczyłem piękny, wyremontowany budynek, martwiłem się, czy uda

Przyglądając się funkcjonowaniu Batalionu Reprezentacyjnego WP, dostrześliśmy konieczność wprowadzenia drobnych modyfikacji w jego strukturze

się wypełnić go kulturalnym życiem. Okazuje się jednak, że kierownik Klubu wraz z niewielkim zespołem zaangażowanych i ambitnych osób jest w stanie zrobić wiele dla popularyzowania kultury, również tej przez duże K. Warto też wspomnieć o dobrej współpracy z zespołami teatralnymi, tańca ludowego i wokalnymi, które dzięki nowej jakości, dobrej energii, młodości wzbogacają naszą ofertę kulturalną. Z ich udziałem Klub stał się ważnym miejscem na mapie kulturalnej stolicy.

Jednostki podległe DGW umożliwiają też szkolenie innym...

Tak, pod warunkiem że dostrzega się oczywistą zależność... Jeśli organizujemy wspólnie najistotniejsze zadania szkoleniowe, wszyscy doskonalimy swoje umiejętności. Żołnierze brygady, pułku dowodzenia czy bazy odpowiadają za przygotowanie i sprawne funkcjonowanie stanowisk kierowania i dowodzenia, zapewniając możliwość wymiany informacji. Przygotowanie specjalistów łączności i informatyki nie jest łatwe, a możliwe tylko wtedy, gdy wszyscy rozumiemy, jak ważne jest organizowanie szkoleń i ćwiczeń wieloszczeblowych, podczas których precyzo-

wanie oczekiwań i wymiana doświadczeń to najlepsza z możliwych platform wzajemnego przygotowania się do wykonywania zadań.

Mówiąc o szkoleniu i wspieraniu innych, warto wspomnieć o Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie.

To doskonała baza dla żołnierzy wymagających specjalistycznych szkoleń: pilotów, operatorów wojsk specjalnych, pływających. Zgłosiliśmy Ośrodek także do programu profilaktycznego tworzonego z myślą o weteranach misji poza granicami kraju. Organizujemy tam dla nich turnusy readaptacyjno-kondycyjne, pomagające w powrocie do zdrowia.

Spośród wszystkich jednostek podległych Dowództwu Garnizonu Warszawa z pewnością najbardziej rozpoznawalny jest Batalion Reprezentacyjny Wojska Polskiego. Czy to prawda, że czekają go zmiany?

Dziwne, że do tej pory tak mało rozmawialiśmy o Batalionie. Tak, to jednostka szczególna, a jej żołnierze są znani i rozpoznawani w kraju i na świecie. Wykonują bardzo szczytne zadania. Warta przy Grobie Nieznanego Żołnierza i Pałacu Prezydenckim, uczestniczenie w najważniejszych uroczystościach z udziałem władz państwowych czy asystowanie podczas uroczystości o charakterze religijnym to tylko najważniejsze przykłady. Niemniej jednak, przyglądając się jej funkcjonowaniu, dostrzegaliśmy konieczność przeprowadzenia drobnych modyfikacji w strukturze organizacyjnej. Nie mogłem dalej akceptować sytuacji, w której oficerowie skierowani do służby w Batalionie nie mieli porównywalnych z kolegami z innych jednostek szans na rozwój i awans.

Czy zatem jednostka się rozbuduje? Na jakim etapie jest proces jej przekształcania?

Oczekiwanie są zupełnie jasne. Stworzenie żołnierzom jak najlepszych warunków do służby, podnoszenia kwalifikacji i rozwoju bez odchodzenia z miejsca, w którym chcą służyć. Nowa jednostka nie będzie znacząco większa pod względem liczebnym. Zmiana proporcji między liczbą oficerów starszych i młodszych ma zagwarantować ich stabilny rozwój. Zaproponowana przeze mnie koncepcja zyskała wstępną akceptację. Zanim projekt decyzji o utworzeniu jednostki zostanie przedstawiony, musimy uzgodnić wszystkie detale z dyrektorami departamentów MON i komórkami Sztabu Generalnego WP. Mamy już większość opinii, ale te brakujące są najtrudniejsze do skompletowania, ponieważ dotyczą najistotniejszych elementów funkcjonowania, wymagają więc dopracowania wielu szczegółów. Teraz

nie mogę jeszcze podać konkretnej daty utworzenia nowej jednostki. Plany dotyczą przyszłego roku.

Skoro mówimy o działalności reprezentacyjnej DGW, to czy jest Pan orędownikiem zmian w ceremoniale wojskowym?

Tak. Taką korektę wymusza chociażby powstanie nowego rodzaju sił zbrojnych, czyli wojsk obrony terytorialnej. Chciałbym także, aby do prac nad tym dokumentem, oprócz przedstawicieli wojska, zostali włączeni przedstawiciele urzędów centralnych, i żeby dzięki wprowadzonym zmianom powstał dokument, który będzie wyznaczał konkretne ramy i zakresy odpowiedzialności osób organizujących uroczystości z udziałem przedstawicieli władz oraz wojskowej asysty honorowej. Zależy mi bardzo na tym, by ceremoniał był znany nie tylko żołnierzom, lecz także był kamieniem węgielnym podczas planowania i organizacji uroczystości z udziałem wojska. Prace w tej sprawie ruszyły już w resorcie.

Czy zmiany czekają także jednostki DGW zajmujące się logistyką?

Nie. Ale jeżeli już, to niewielkie, wynikające z racjonalizacji wykorzystania ich potencjału przy zmieniających się uwarunkowaniach. Trzy oddziały zabezpieczenia podległe DGW zaopatrują w niezbędny sprzęt, umundurowanie i środki ponad 300 instytucji wojskowych. Są też jednostkami gospodarczymi dla żołnierzy pełniących służbę poza granicami kraju. Wyposażamy m.in. w mundury wszystkich skierowanych do służby w kontyngentach wojskowych, strukturach natowskich czy też instytucjach Unii Europejskiej. To zadania wymagające od Pionu Logistyki DGW, ale przede wszystkim personelu oddziałów ogromnej wiedzy i doświadczenia. Dlatego nie planuję żadnych radykalnych zmian.

Chyba żadnemu z pozostałych dowództw nie podlegają jednostki o tak różnym charakterze: łączności, logistyczne, ochrony, reprezentacyjne, kulturalne?

Na pewno DGW to specyficzna instytucja. Obawiam się, że nie wszyscy żołnierze Wojska Polskiego mają pełną świadomość, czym tak naprawdę jest DGW i jaką rolę odgrywa w strukturach obronnych państwa oraz systemie kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi. Nie chcę jednak podkreślać naszej wyjątkowości. Prawdą jest, że jesteśmy utożsamiani z organizacją uroczystości, ich ceremonialnym zabezpieczeniem, a w mediach mnóstwo jest informacji o Batalionie Reprezentacyjnym WP i prawie wcale o pozostałych jednostkach. Nie chcę jednak walczyć z tym w sumie miłym stereotypowym postrzeganiem Dowództwa. ■

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJ O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

KRZYSZTOF WILEWSKI

MACHINY

pod specjalnym nadzorem

Mimo że nigdy nie powinni stawać na pierwszej linii frontu, to gdy przyjdzie czas „W”, od nich będzie zależeć los niejednej potyczki, starcia czy też bitwy.

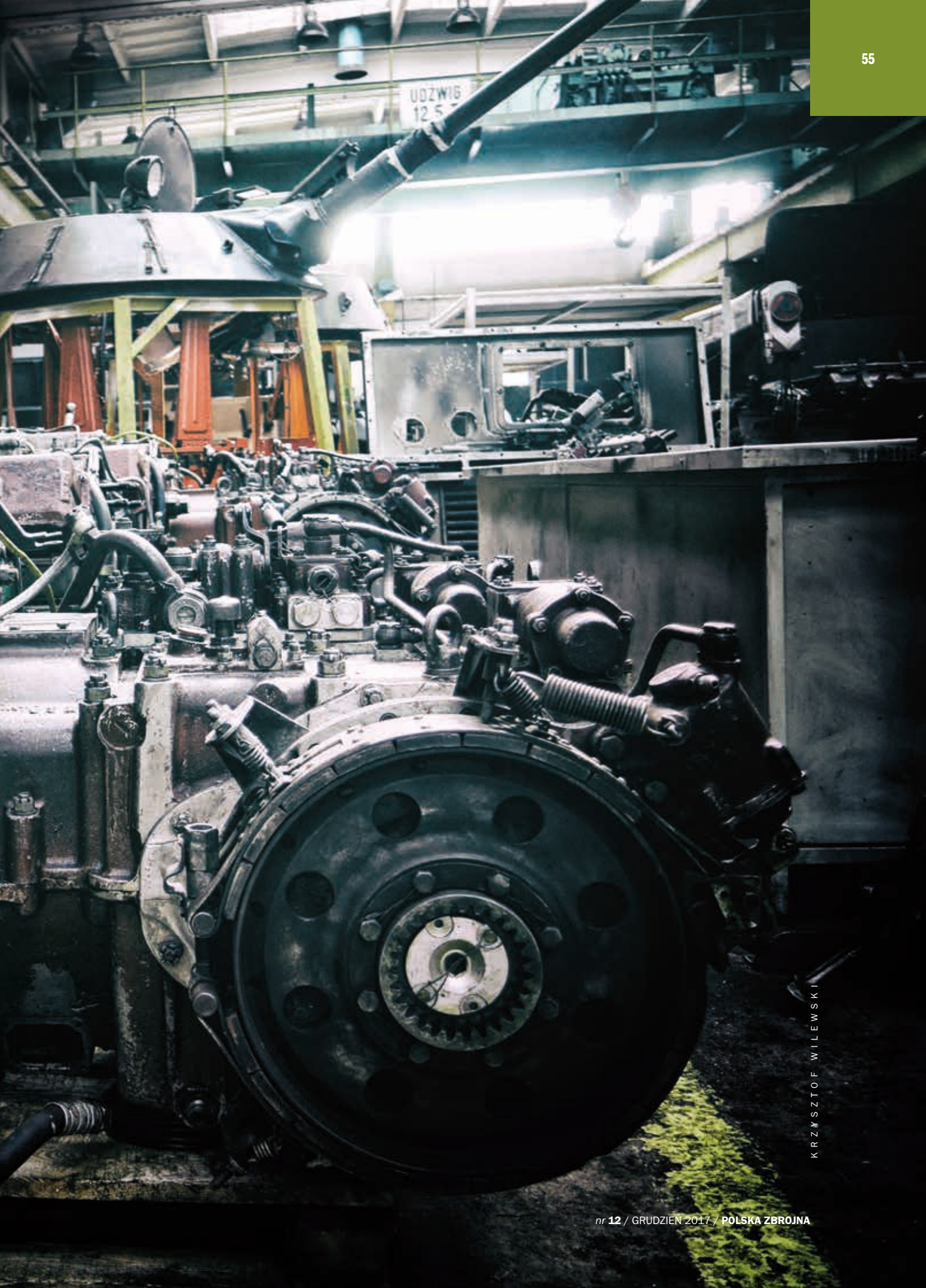
W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia nieduży, liczący zaledwie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, Kołobrzeg (dziś około 50 tys.) był jednym z najbardziej zmilitaryzowanych miast w północnej Polsce. Stacjonowało tutaj aż osiem jednostek 8 Dywizji Zmechanizowanej – nie tylko dwa pułki zmechanizowane, 28 pz oraz 32 pz, lecz także 4 Pułk Artylerii, 5 Batalion Rozpoznawczy, 98 Dywizjon Przeciwpancerny, 8 Batalion Medyczny, 47 Dywizjon Artylerii Rakietowej oraz 8 Batalion Remontowy.

Dziś polskiego wojska w Kołobrzegu już praktycznie nie widać. Większość jednostek tutaj stacjonujących albo została zlikwidowana od razu (najwięcej w ramach reformy Sił Zbrojnych RP z 1994 roku), albo przeniesiona do innych miast, gdzie z czasem zostały wchłonięte przez inne związki taktyczne i również rozwiązane. Jediną jednostką, która stacjonuje w Kołobrzegu do dziś, jest 8 Batalion Remontowy.

PRIORYTETOWE ZADANIA

Powstały w 1967 roku z połączenia aż trzech jednostek technicznych 8 Drezdeńskiej





KRZYSZTOF WILEWSKI



Warsztat W-15 został wyposażony w 16 stanowisk remontowych, z czego 12 ma podświetlane i podgrzewane kanały rewizyjne. W hali zamontowano wyciąg spalin, dwie niezależne suwnice o udźwigu po 12,5 t każda.

KRZYSZTOF WILEWSKI (2)



Dywizji Zmotoryzowanej batalion bardzo długo, bo przez 13 lat, funkcjonował jako struktura wielogarnizonowa. Dopiero w 1980 roku Sztab Generalny zaordynował jej scalenie w jednym garnizonie, a wybór padł właśnie na Kołobrzeg.

8 Batalion Remontowy składa się obecnie z: kompanii remontu pojazdów gąsienicowych, kompanii remontu pojazdów kołowych, kompanii remontu uzbrojenia, kompanii remontowej (nazywanej również kompanią sprzętu rodzajów wojsk), kompanii ewakuacyjnej, plutonu robót specjalnych, plutonu dowodzenia, plutonu logistycznego oraz zespołu zabezpieczenia medycznego.

Dowódca 8 brem, ppłk Paweł Prządka, podkreśla, że struktura batalionu niewiele się zmieniła przez 50 lat istnienia jednostki (pół wieku świętowała w maju), gdyż zasadnicze zadania na czas pokoju i wojny pozostały takie same.

„Naszym najważniejszym zadaniem jest zabezpieczenie techniczne oddziałów i podod-

SERCEM BATALIONU JEST HALA REMONTOWA POJAZDÓW GĄSIENICOWYCH W-15

ziałów wojsk operacyjnych w trakcie prowadzenia przez nich działań, a także wykonywanie na bieżąco napraw oraz obsługa sprzętu wojskowego z rejonu odpowiedzialności 8 Batalionu Remontowego, zarówno w warunkach stacjonarnych, jak i w formie napraw serwisowych”, wyjaśnia ppłk Prządka.



8 BATALION REMONTOWY W KOŁOBRZEGU

Powstał na mocy zarządzenia szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego nr 038/Org. z 14 marca 1967 roku, z trzech jednostek technicznych: 3 Ruchomego Warsztatu Naprawy Samochodów w Koszalinie (JW 2117 Koszalin), 2 Ruchomego Warsztatu Naprawy Sprzętu Artyleryjskiego w Kołobrzegu (JW 5200 Kołobrzeg) oraz 1 Ruchomego Warsztatu Naprawy Czołgów w Gryficach (JW 3716 Gryfice). Ruchomy Warsztat Naprawy Samochodów przemianowano na kompanię remontu pojazdów kołowych, Ruchomy Warsztat Naprawy Uzbrojenia na kompanię remontu uzbrojenia i – później – elektroniki, a Ruchomy Warsztat Naprawy Czołgów na kom-

panię remontu pojazdów gąsienicowych. Do 1998 roku 8 brem podlegał 8 Dywizji Zmechanizowanej (a później jej sukcesorze, 8 Dywizji Obrony Wybrzeża). 1 lipca 1998 roku wszedł w podporządkowanie 12 Dywizji Zmechanizowanej ze Szczecina. 1 czerwca 2011 batalion został włączony w strukturę 1 Regionalnej Bazy Logistycznej w Wałczu, a dwa lata później, 18 czerwca 2013 roku, stał się częścią 1 Pomorskiej Brygady Logistycznej w Bydgoszczy.

Odnaka rozpoznawcza 8 Batalionu Remontowego ma kształt koła o średnicy 67 mm, w którym po lewej stronie widnieje płat liścia dębu, a po prawej część wieńca koła zębatego. Na środku umieszczono znak gryfa szczecińskiego i klucz – znak pododdziału remontowego. W dolnej części odnaki w miniaturce wieńca koła zębatego wpisano numer batalionu. Odnaka jest wykonana z grubego czarnego materiału, umieszczone symbole są wyhaftowane w kolorze pomarańczowym. ■



Co to oznacza w praktyce? Mówiąc kolokwialnie, ogrom pracy. Specjaliści z 8 Batalionu Remontowego (dokładnie tak samo jak żołnierze i pracownicy wojska z pozostałych pięciu batalionów remontowych naszej armii, co kadra z Kołobrzegu mocno akcentuje na każdym kroku), zajmują się każdym rodzajem uzbrojenia, jaki znajduje się w wyposażeniu oddziałów 12 Dywizji Zmechanizowanej (bo taka jest podległość terytorialna 8 brem).

Do Kołobrzegu trafia zatem wszystko, co mają w wyposażeniu m.in. 12 Brygada Zmechanizowana ze Szczecina, 2 Brygada Zmechanizowana ze Złocieńca, 7 Brygada Obrony Wybrzeża ze Słupska, 8 Pułk Przeciwlotniczy, począwszy od broni osobistej, karabinów i pistoletów, przez pojazdy różnego typu: osobowe, terenowe, ciężarowe, rozpoznawcze BRDM-2, aż po armaty i moździerze oraz wozy strictly bojowe, jak BWP-1, czołgi T-72 i PT-91 Twardy, a nawet kołowe transportery opancerzone Rosomak.

„Lekko nie jest”, komentuje taką wyliczankę ppłk Prządka z uśmiechem. „Ale dokładnie po to nas stworzono. Do zajmowania się na co dzień sprzętem i uzbrojeniem, czyli okresowymi przeglądami, serwisami,

odtworzeniem zasobów dzięki remontom, aż po działanie na polu walki, jako odwoły techniczne, których najważniejszym zadaniem jest jak najszybciej zwrócić żołnierzom liniowym uszkodzony lub zepsuty moździerz, pojazd czy czołg”, dodaje.

REMONTOWA INFRASTRUKTURA

Ppłk Paweł Prządka podkreśla, że choć 8 Batalion Remontowy mieści się w koszarach zbudowanych jeszcze przed wojną na potrzeby niemieckich pułków zmechanizowanych i zmotoryzowanych (dlatego nie ma tutaj, bardzo powszechnych w innych poniemieckich obiektach, stajni, lecz są typowe budynki dla sztabu i żołnierzy), to zdecydowanie nie jest jednostką zabytkową.

W ostatnich latach dokonano tu sporych inwestycji w stacjonarną infrastrukturę warsztatową, oraz zakupiono dużo nowoczesnych, specjalistycznych narzędzi, w tym urządzeń diagnostycznych, pozwalających mechanikom i elektromechanikom szybciej i precyzyjniej znajdować usterki i je eliminować. Sercem batalionu jest hala remontowa pojazdów gąsienicowych W-15. Obiekt został wyposażony w 16 stanowisk remontowych, z czego 12 ma



podświetlane i podgrzewane kanały re-wizyjne. W hali zamontowano wyciąg spalin, dwie niezależne suwnice o udźwigu po 12,5 t każda, które umożliwiają demontaż wież z czołgów PT-91 Twardy i T-72, armato-haubic 2S1 Goździk kalibru 122 mm, bojowych wozów piechoty BWP-1, a także kołowych transporterów opancerzonych Rosomak.

W hali W-15 znajdują się też warsztaty pomocnicze, wspomagające proces naprawczy, w tym warsztat aparatury paliwowej, silnikownia (wyposażona w dwa stanowiska diagnostyczne), warsztat elektryczny, warsztat mechaniczny, warsztat remontu sprzętu obrony przed bronią masowego rażenia – w którym serwisuje się i naprawia m.in. urządzenia filtrowentylacyjne i przyrządy rozpoznania skażeń, warsztat remontu sprzętu łączności – gdzie są wykonywane naprawy bieżące i obsługi wyższego

KRZYSZTOF WILEWSKI



**W 2003 ROKU
NA BAZIE KOŁO-
BRZESKIEGO
BATALIONU
ZOSTAŁ
UTWORZONY
PODODDZIAŁ
REMONTOWY
DO I ZMIANY
MISJI STABI-
LIZACYJNEJ
W IRAKU**



TRZY PYTANIA DO

Pawła Prządk

W tym roku dowodzona przez Pana jednostka obchodzi 50-lecie istnienia. Jak bardzo zmienił się 8 Batalion Remontowy przez owe pięć dekad?

Batalion został stworzony do praw i remontu sprzętu pancerneho, artyleryjskiego oraz pojazdów terenowych i ciężarowych, i tym zasad-

niczo zajmujemy się do dziś. Owszem, przez ostatnie lata kilka razy zmieniano się nasze podporządkowanie, najpierw 8 Dywizji Zmechanizowanej, potem 8 Dywizji Obrony Wybrzeża, a następnie 12 Dywizji Zmechanizowanej ze Szczecina, ale zawsze, nawet teraz, jako część 1 Brygady Logistycznej z Bydgoszczy, działaliśmy i działamy po pro-

stu na korzyść związków taktycznych z naszego rejonu odpowiedzialności.

To co się zmieniło w 8 Batalionie Remontowym?

Zdecydowanie jest inna infrastruktura. Choć zasadniczo nadal mieścimy się w tych samych koszarach co 50 lat temu, to nie są to już

rzędu systemów łączności pokładowej wozów bojowych, wozów dowodzenia, radiostacji małej mocy oraz innego sprzętu łączności.

W ostatnich latach W-15 został gruntownie unowocześniony, przede wszystkim pod kontem energooszczędności. Cały budynek ocieplono, wymieniono stolarkę oraz bramy garażowe.

„Dla kogoś to tylko był remont fasady, ale dla mechaników w nim pracujących to było znaczące zwiększenie komfortu i wygody codziennej pracy”, przekonuje ppłk Prządka, dodając, że W-15 został niedawno rozbudowany o lakiernię oraz myjnię. Oba obiekty są bardzo nowoczesne.

„Nasza myjnia jest zbudowana zgodnie z najwyższymi standardami w tej dziedzinie. Pracuje w obiegu zamkniętym, czyli woda użyta do mycia różnego typu pojazdów jest oczyszczana, odolejana i wraca do ponownego wykorzystania. W obiegu jest jej 7,5 tys. l”, wyjaśnia st. szer. Adrian Kraiński, szefujący myjni.

Podobnie nowoczesna, zbudowana z zastosowaniem rozwiązań zapewniających wysoki poziom ochrony środowiska, jest batalionowa lakiernia.

„Nie powstydziliby się jej żaden profesjonalny warsztat samochodowy. Mamy tutaj pełną automatyzację procesu suszenia gorącym powietrzem, bardzo nowoczesne lampy bezcieniowe oraz cały osprzęt i wyposażenie, dzięki któremu możemy malować pojazdy nawet najnowszymi, bardzo rzadkimi lakierami”, komentuje st. chor. sztab. Leszek Łabędź, dowód-

ca plutonu remontowego w kompanii remontowej pojazdów kołowych. Dodaje też, że w warsztacie malowane są nie tylko pojazdy i czołgi, lecz także wszystko to, co wymaga polakierowania, czyli również broń i hełmy.

Obok W-15 drugim najważniejszym obiektem warsztatowym 8 brem jest hala remontowa pojazdów kołowych W-8. Została wyposażona w dziewięć stanowisk remontowych, z których siedem ma podgrzewane kanały rewizyjne, a także w suwnicę o udźwigu 3,5 t. W hali są serwisowane, naprawiane oraz obsługiwane wszystkie pojazdy kołowe, które trafiają do batalionu, poczynając od KTO Rosomak, aż po samochody osobowe używane przez sztaby jednostek wojskowych. Obok W-8 mieści się nowoczesna akumulatorownia (obiekt powstał kilka lat temu), która zapewnia pełną automatyzację serwisu oraz obsługi ogniw kwasowych i żelowych.

GOTOWI NA KAŻDY CZAS

Swoją profesjonalizm kadra 8 brem pokazuje nie tylko w kraju, lecz także na zagranicznych misjach. Tych było przez 50 lat sporo, a wśród nich ta jedna – najważniejsza. W sierpniu 2003 roku na bazie kołobrzesckiego batalionu został utworzony pododdział remontowy do I zmiany misji stabilizacyjnej Polskiego Kontyngentu Wojskowego w składzie Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe na potrzeby operacji „Iracka wolność”.

zwykle, ponemieckie obiekty, jakich mieliśmy i mamy w naszej armii bardzo wiele, szczególnie na zachodzie i północy kraju. Dzięki sporym inwestycjom dysponujemy dziś, w mojej ocenie, jednym z najnowocześniejszych zapleczem warsztatowym spośród wszystkich samodzielnych batalionów remontowych w naszej armii. Budynki warsztatowe W-15 i W-8 zostały niedawno ocieplone, wymieniono w nich stolarkę oraz bramy garażowe. Poza tym doszły zupełnie nowe obiekty, jak lakiernia, myjnia i akumulatorownia. Mamy więc poczucie ogromnego komfortu pracy.

Nie ma Pan problemu z kadrą, z jej niedoborem? W wojsku wynagrodzenia nie są imponujące, a na mechaników i elektromechaników pracodawcy czekają z otwartymi rękoma.

To prawda, że ciągle pojawiają się oferty zatrudnienia dla mechaników i elektromechaników. Ale nasze doświadczenia jednoznacznie pokazują, że nie stanowią oni konkurencji dla wojska. Dlaczego? Każdy, kto posmakował choć raz takiej pracy, wie doskonale, na czym polega różnica. Oczywiście nie ma u nas leżenia do góry brzuchem, bo zadania trzeba wykonać w terminie. Ale pracuje się w jasno określonych go-

dzinach. Nadgodziny są bardzo rzadko, właściwie tylko w przypadku ćwiczeń poligonowych, ale w nich biorą udział żołnierze. Gwarantujemy przyzwoite wynagrodzenie bez konieczności siedzenia po nocach. Zapewniamy urlopy i wypoczynki – bez kręcenia nosem, że będą straty. Dlatego zawsze mamy w kadrach plik CV kandydatów czekających na to, aż zwolni się jakieś stanowisko. I co ważne, dotyczy to nie tylko cywilów, lecz także żołnierzy, którzy chcą służyć w naszej jednostce.

Ppłk PAWEŁ PRZĄDKA jest dowódcą 8 Batalionu Remontowego.

ANNA DĄBROWSKA

Sprężenie kontrolowane

Wojskowy Instytut Medyczny jest jednym z pierwszych na świecie ośrodków badających zastosowanie medycyny hiperbarycznej w terapii pacjentów z urazami pola walki.

W szpitalu na Szaserów powstał pierwszy w polskim wojsku ośrodek medycyny hiperbarycznej. Oddział WIM-u od listopada tego roku przyjmuje pacjentów ubezpieczonych w NFZ, a już od lipca korzystali z niego żołnierze. „Trafił do nas m.in. saper ranny w wybuchu, do którego doszło podczas spawania pontonu przeprawowego. Miał rozległe rany i poparzenia. Leczyliśmy też żołnierzy brytyjskich sił specjalnych ćwiczących w Polsce, którzy w wybuchu granatu hukowego doznali poparzeń kończyn, twarzy oraz urazu akustycznego uszu. Prowadziliśmy także w komorze testy tolerancji ciśnieniowej dla nurków wojskowych”, wylicza dr n. med. Jacek Siewiera, kierownik Oddziału Klinicznego Medycyny Hiperbarycznej Wojskowego Instytutu Medycznego.

„Powstały w WIM-ie oddział stanie się centralnym elementem systemu zabezpieczenia nurkowania w wojsku, będzie elementem systemu ratowania życia nurków z chorobą dekompresyjną”, zaznacza gen. dyw. prof. n. med. Grzegorz Gielerak, dyrektor WIM-u.

JAK W MORSKICH GŁĘBINACH

„Medycyna hiperbaryczna to nowoczesna gałąź nauki z pogranicza inżynierii medycznej, intensywnej terapii oraz medycyny podwodnej”, mówi dr n. med. Jacek Siewiera.

„Oddział będzie czerpać z 50 lat doświadczeń Zakładu Medycyny Morskiej i Hiperbarycznej WIM w Gdyni. Zakład ten przez lata stanowił jedyne zaplecze naukowe i kadrowe dla wojska w dziedzinie medycyny morskiej, hiperbarycznej i tropikalnej”, podkreśla gen. Grzegorz Gielerak.



Jak tłumaczy dr Siewiera, tlenoterapia hiperbaryczna to metoda leczenia polegająca na podawaniu mieszanin gazowych zawierających wysokie stężenie tlenu, nawet do 100%, pacjentom przebywającym w specjalnych, szczelnych pomieszczeniach – komorach hiperbarycznych, w warunkach zwiększonego ciśnienia.

Konstrukcja komór została opracowana na podstawie doświadczeń zebranych w dziedzinie medycyny podwodnej. Pierwotnie urządzenia te stosowano do leczenia choroby dekompresyjnej nurków. „Jeśli nurek zbyt szybko się wynurzy, gaz rozpuszczony w jego krwi (np. azot, jeżeli oddychał sprężonym powietrzem) utworzy w organizmie pęcherzyki, które zagrażają zdrowiu, a nawet życiu”, wyjaśnia dr Siewiera. W takim wypadku pomaga pobyt w komorze hiperbarycznej, gdzie pod wpływem zwiększonego ciśnienia pęcherzyki gazu zmniejszają się i w końcu rozpuszczają we krwi.

„Komora hiperbaryczna, stanowiąca serce nowego oddziału WIM-u, to jedno z największych, wielomiejscowych urządzeń tego typu w Polsce”, podkreśla gen. Gielerak. Do pomieszczenia w kształcie kapsuły może wejść do 16 osób. Komora zbudowana jest ze specjalnie łączonych stalowych obryczy grubości ponad 20 cm, a instalacja podtrzymująca nadciśnienie zajmuje kilka pomieszczeń i rozciąga się wewnątrz i na zewnątrz szpitala.

Jako jedna z nielicznych w Europie komora w WIM-ie ma możliwości działania w warunkach wysokiego ciśnienia – do 10 atmosfer, odpowiadającego temu, jakie panuje na głębokości 100 m pod wodą, choć do wykorzystania tych ciśnień w celach leczniczych konieczne są jeszcze dalsze inwestycje. „Zwykle podczas terapii osiągamy

KOMORA HIPERBARYCZNA W WIM TO JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH WIELO- MIEJSCOWYCH KOMÓR W POLSCE

MOŻLIWOŚCI KOMORY

- liczba pacjentów wraz z personelem medycznym – do 18 osób
- maksymalne ciśnienie – do 10 ATA, co odpowiada głębokości 100 m pod wodą
- na bieżąco wykorzystywane ciśnienie terapeutyczne – do 3 ATA, co odpowiada głębokości 20 m pod wodą
- komora wyposażona jest w sprzęt służący do podtrzymywania życia



ciśnienie 2,5 atmosfery bezwzględnej, czyli takie, jakie jest na głębokości 15 m”, podaje dr Siewiera.

CZWARTY POZIOM

Dziś, jak podkreśla dr Siewiera, medycyna hiperbaryczna i podwodna to dwie różne dziedziny. W obu przypadkach wprowadzie organizm człowieka jest ekspozycja na działanie wysokiego ciśnienia, ale cel jest inny.

Medycyna podwodna wiąże się z przebywaniem i wykonywaniem zadań pod wodą, oddychaniem mieszaninami gazowymi i z ewentualnymi problemami z tym związanymi. Hiperbaria to z kolei leczenie pacjentów z różnymi chorobami z użyciem nadciśnienia odpowiadającego temu, jakie panuje w głębinach morskich.

Jak opowiadał podczas otwarcia oddziału prof. dr hab. n. med. Romuald Olszański, kierownik Zakładu Medycyny Morskiej i Hiperbarycznej WIM, w wojsku służy kilka tysięcy nurków: saperów, operatorów wojsk specjalnych, lotników, marynarzy. Na szczęście wypadki nurkowe zdarzają się w armii rzadko, jednak zgodnie z natowskimi normami muszą być, jak każda inna operacja militarna, objęte systemem zabezpieczenia medycznego na czterech poziomach.

Pierwszej pomocy udzielają żołnierzom ratownicy medyczni, którzy mogą np. podać po-

szkodowanemu tlen. „Na drugim poziomie nurkowanie zabezpiecza 18 mobilnych komór dekompresyjnych, tzw. sercówek. Można je transportować np. na okręt i w razie choroby dekompresyjnej nurek od razu jest w jednej z nich umieszczany”, mówił prof. Olszański.

Dr Siewiera tłumaczy, że jeśli objawy choroby dekompresyjnej są lekkie, dekompresja terapeutyczna w sercówce jest skuteczna. Nie wystarczy jednak do leczenia ciężkich stanów, które wymagają tomografii komputerowej, rezonansu magnetycznego, bloku operacyjnego i jednoczesnego pobytu w komorze. Jak dodaje, w sercówkach takie leczenie jest niemożliwe, bo m.in. nie mają one wpięcia do respiratora i nie można prowadzić w nich monitorowania czynności życiowych.

Dotychczas żaden wojskowy ośrodek nie dysponował komorą hiperbaryczną do takiej terapii i w razie wypadku żołnierze-nurkowie trafiali do któregoś z cywilnych szpitali na Pomorzu. „Nowa komora hiperbaryczna na Szaserów ma możliwość wprowadzenia do niej stanowiska intensywnej terapii i kompleksowego leczenia nurków w jednym miejscu”, podkreśla dr Siewiera.

RANY I PTSD

Hiperbaria w WIM-ie będzie służyć nie tylko do leczenia choroby dekompresyjnej, ale też do terapii wielu innych schorzeń u żołnierzy



„To jedyna dziedzina medycyny, w której zespół terapeutyczny jest poddawany tym samym, niejednokrotnie skrajnym warunkom fizycznym, co ciało chorego”, zaznacza dr Siewiera.

POD CIŚNIENIEM

BEZPIECZEŃSTWO LECZENIA W KOMORZE WYMAGA ŚCISŁEGO PRZESTRZEGANIA ZASAD.



ROBERT SIEMASZKO/CO MON

Duże ciśnienie oraz podwyższona zawartość tlenu w komorze grożą zapłonem, dlatego zabronione jest wnoszenie do środka przedmiotów mogących wywoływać iskrę lub ogień, m.in. telefonów komórkowych, zegarków czy ubrań ze sztucznych materiałów. Ponadto od chwili wzrostu ciśnienia wewnątrz komory wszystkie osoby znajdujące się w środku są odizolowane, a jej nagłe opuszczenie nie jest możliwe, bo zagrażałoby chorobą dekompresyjną.

Podczas kompresji, czyli sprężenia i wypełnienia komory powietrzem, może wzrosnąć w niej temperatura nawet powyżej 50°C, a powietrze staje się gęste. Z kolei w czasie dekompresji i zmniejszania ciśnienia temperatura się obniża i zgodnie z prawami fizyki może spaść nawet poniżej 0°C, dlatego proces ten odbywa się stopniowo, w kontrolowanych warunkach. W komorze razem z chorymi cały czas przebywa lekarz lub pielęgniarka. ■

i cywilów. „Wykorzystanie wyższego ciśnienia pozbawia tlen fizjologicznych barier przenikania przez tkanki i może on się dostać do obszarów źle ukrwionych, np. ran czy ognisk udarowych”, tłumaczył podczas otwarcia oddziału dr hab. n. med. Jacek Kot, kierownik Krajowego Ośrodka Medycyny Hiperbarycznej w Gdańsku i prezes European Underwater and Baromedical Society (EUBS).

Tlenoterapia hiperbaryczna wspiera reakcje obronne organizmu, działa przeciwwzapalnie i zwiększa skuteczność antybiotykoterapii. „Jest skuteczna m.in. w leczeniu trudno gojących się, zakażonych ran, częstych u żołnierzy rannych na misjach lub podczas ćwiczeń na poligonie, którzy przebywali w nie do końca jałowych warunkach”, wylicza dr Siewiera. Pomaga też w leczeniu zakażeń kości po amputacjach spowodowanych eksplozją, np. improvizowanego urządzenia wybuchowego. Dzięki leczeniu w komorze można uniknąć dalszego zakażenia i kolejnych amputacji. Hiperbarią leczy się też m.in. poparzenia, urazy wielonarządowe czy akustyczne.

WIM jest dziś również jednym z pierwszych na świecie ośrodków badających nowe zastosowanie medycyny hiperbarycznej, czyli terapię pacjentów ze stresem pola walki, w tym weteranów leczonych w Klinice Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii WIM. „Jeszcze dziesięć lat temu uważano, że PTSD to forma nerwicy, dziś wiemy, m.in. po badaniach w programie

»Afgan«, że osoby z tą chorobą mają m.in. mikrouszkodzenia mózgu, których skutki w pierwszej kolejności można ograniczać, a w dalszej perspektywie skutecznie, także przyczynowo, a nie – jak dotychczas – tylko objawowo, leczyć”, wyjaśnia gen. Gielerak.

Pierwsze badania kliniczne dotyczące leczenia PTSD za pomocą hiperbarii prowadziły wojskowe szpitale i ośrodki w USA. Przed kilkunastoma miesiącami opublikowano ich wyniki, informując o pierwszych pozytywnych skutkach takiej terapii. „Aby potwierdzić, że ta metoda jest skuteczna, potrzebne są dalsze badania, w które się włączyliśmy”, dodaje dr Siewiera.

W WIM-ie już rozpoczęły się pierwsze badania eksperymentalne. „Sprężaliśmy pacjentów z PTSD, rekrutujemy do testów kolejne osoby i spodziewamy się, że badania oparte na diagnostyce czynnościowego rezonansu magnetycznego pokażą nam, czy pod wpływem tlenu dochodzi do zwiększonej aktywności mózgowej”, wyjaśnia lekarz.

Oddział hiperbarii w WIM-ie to inwestycja warta 8 mln zł sfinansowana ze środków Ministerstwa Obrony Narodowej. „To dobrze wydane pieniądze, bo dzięki ulokowaniu oddziału w wieloprofilowym, centralnym szpitalu MON, stanie się on nie tylko ośrodkiem leczniczym dla żołnierzy i cywilów, lecz także centrum kształcenia wojskowych medyków z zakresu hiperbarii oraz ośrodkiem naukowo-badawczym”, podkreśla gen. Gielerak. ■

ST. SIERŻ. RYSZARD SZCZODROWSKI



Data i miejsce urodzenia:

19 kwietnia 1972 roku w Przechlewie,
województwo pomorskie.

Tradycje

wojskowe:

dziadek służył
w 18 Pułku
Ułanów
w Grudziądzu.

W wojsku służy od:

30 października
1991 roku.

Zajmowane

stanowisko:

technik w batalionie
czołgów 2 Brygady
Zmechanizowanej
w Złocieńcu.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO:

od najmłodszych lat fascynowała mnie technika
wojskowa.

EDUKACJA WOJSKOWA:

Szkoła Młodszych Specjalistów w Ostródzie, Szkoła Podoficerska
w Pile i kilka innych wojskowych kursów.

MISJE I ĆWICZENIA:

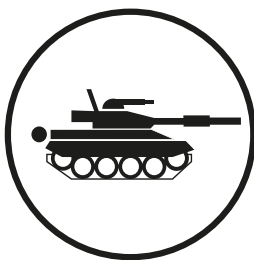
w misjach nie brałem udziału, ale uczestniczyłem w wielu
ćwiczeniach krajowych i kilku zagranicznych, np. w Niemczech
w „Crystal Eagle '13” czy „Concert Grand '13” oraz ostatnio
w ćwiczeniach taktycznych „Ryś '17” i „Dragon '17”.

NAJLEPSZA BRON:

to przede wszystkim dobre wykształcenie, zgranie, umiejętność
współpracy w zespole i zaufanie podczas działania, niezależnie
od posiadanego środka ogniowego pola walki.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

jako technik pododdziału uprościłbym procedurę zaopatrywania
w części zamienne.



NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:
POWOŁANIE DO SŁUŻBY
ZAWODOWEJ I AWANS NA KOLEJNY
STOPIEŃ WOJSKOWY

HOBBY:



wędkarstwo



literatura



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. ARCH. 2 BZ

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

URLOP ZA WARUNKI SZKODLIWE

W Niezbedniku w numerze czerwcowym „Polski Zbrojnej” jest mowa o tym, że żołnierze wykonujący zadania w warunkach uciążliwych mają przyznany dodatek szkodliwy. Otrzymuję taki dodatek (mnożnik 0.12), ale nie wiadomo mi nic na temat dodatkowego urlopu wypoczynkowego. Czy taki urlop mi się należy i jaka jest podstawa prawna?

Podstawy prawne: rozporządzenie ministra obrony narodowej zmieniające rozporządzenie w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych z 17 maja 2016 roku (DzU z 2016 poz. 751) – § 1 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych z 27 sierpnia 2014 roku (DzU z 2014 poz. 1503 z późn. zm.) – § 7 ust. 2.

→ Prawo do urlopu dodatkowego powinno zostać ustalone z urzędu. Kwestia dodatkowego urlopu wypoczynkowego za warunki szkodliwe występujące w środowisku służby żołnierza zawodowego reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej.

Na mocy § 1 pkt. 1 wymienionego rozporządzenia uległ zmianie § 7 ust. 2 rozporządzenia z 27 sierpnia 2014 roku. Zgodnie z nim żołnierzowi zawodowemu udziela się urlopu w wymiarze uzależnionym od tego, do jakiego stopnia szkodliwości dla zdrowia zostanie zaliczone zajmowane przez niego stanowisko służbowe. Klasyfikacji dokonuje dyrektor departamentu Ministerstwa Obrony Narodowej właściwego ds. bezpieczeństwa i higieny pracy, na wniosek odpowiednio: sekretarza stanu w MON-ie, podsekretarza stanu w MON-ie, szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych, dowódcy operacyjnego RSZ, szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, szefa Służby Wywiadu Wojskowego, szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego, dyrektora Narodowego Centrum

Kryptologii, komendanta głównego Żandarmerii Wojskowej, dowódcy Garnizonu Warszawa, rektora-komendanta uczelni wojskowej albo właściwego dyrektora lub szefa komórki organizacyjnej Ministerstwa Obrony Narodowej, zgłoszony w porozumieniu z dyrektorem departamentu Ministerstwa Obrony Narodowej właściwego ds. zdrowia oraz na wniosek dyrektora tego departamentu. Jeżeli właściwa komisja określi, że na danym stanowisku służbowym występują czynniki negatywne, które mogą szkodzić zdrowiu, podejmuje ona decyzję o zakwalifikowaniu takiego stanowiska do takiego, którego zajmowanie wiąże się nierozdzielnie z prawem do urlopu dodatkowego. Warto także podkreślić, że prawo do dodatkowego urlopu wypoczynkowego jest prawem niezbywalnym, a organ z urzędu powinien ustalić, czy i w jakim wymiarze będzie on przysługiwał. Zainteresowany żołnierz pełniący służbę w warunkach szkodliwych powinien złożyć wniosek o zaliczenie jego stanowiska do takiego, które będzie uprawniać do otrzymania dodatkowego urlopu wypoczynkowego. Brak wszczęcia stosownej procedury może stać się powodem odmowy udzielenia tego urlopu. Zaznaczyć należy, że organ nie może odmówić przeprowadzenia postępowania w powyższym zakresie. Rodzaje stanowisk służbowych, na których pełnienie zawodowej służby wojskowej jest szkodliwe dla zdrowia, enumeratywnie wymienione zostały w § 7 ust. 1 rozporządzenia.

ROBERT KŁOSIŃSKI

MAŁŻEŃSTWO W WOJSKU

Jesteśmy wraz z małżonką żołnierzami zawodowymi, pełnimy służbę w tej samej jednostce wojskowej w okolicach Warszawy. Ze względu na braki obsady w nowo formowanych jednostkach do naszej jednostki przychodzą imienne listy osób, które mają się stawić na rozmowę kadrową do Departamentu Kadr MON. Czy możliwe, że ja zostanę w jednej jednostce, a żona będzie skierowana na drugi koniec Polski?

→ Ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, jak również przepisy wykonawcze do ustawy, tj. rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie trybu wyznaczania żołnierzy zawodowych na stanowiska służbowe i zwalniania z tych stanowisk, nie przewidują regulacji, na które można by powołać się w sprawie obowiązku wyznaczenia żołnierzy zawodowych (małżeństwa) na stanowiska w tej samej jednostce wojskowej. Oznacza to, że decyzja w tym zakresie pozostaje w gestii organu kadrowego.

Należy jednak wskazać na treść § 27 cytowanego rozporządzenia, z którego wynika, że żołnierzy zawodowych pozostających w związku małżeńskim z innym żołnierzem zawodowym wyznacza się na stanowiska służbowe, w miarę możliwości, w tym samym garnizonie lub w miejscowościach pobliskich (w rozumieniu przepisów ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej). Dopelnieniem powyższej regulacji prawnej jest dyspozycja § 18 ust. 1 rozporządzenia. Przepis ten umożliwia przed wyznaczeniem na stanowisko służbowe lub mianowaniem na wyższy stopień wojskowy udział zainteresowanego żołnierza w indywidualnej rozmowie kadrowej, podczas której mogą zostać przedstawione przesłanki osobiste, mogące w sposób istotny wpłynąć na decyzję właściwego organu w zakresie wyznaczenia na stanowisko służbowe żołnierzy zawodowych (małżeństwa) w tej samej jednostce wojskowej.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych z 11 września 2003 roku (DzU nr 179 poz. 1750), tekst jednolity z 16 września 2016 roku (DzU z 2016 poz. 1726) – art. 46; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie trybu wyznaczania żołnierzy zawodowych na stanowiska służbowe i zwalniania z tych stanowisk z 9 września 2014 roku (DzU z 2014 poz. 1292 z późn. zm.) – § 18 i 27.

KATEGORIA N?

Czemu hiperbilirubinemia, spowodowana wyłącznie zespołem Gilberta, jest czynnikiem dyskwalifikującym do podjęcia zawodowej służby wojskowej? Z oceny lekarzy wynika jasno, iż choroba ta nie wymaga specjalistycznego leczenia i przebiega bezobjawowo.

→ Zgodzić się należy, że od kandydata na żołnierza zawodowego wymaga się całkowitej sprawności zdrowotnej, gdyż służba ta ma swoją specyfikę. Zajęcia służbowe odbywają się w trudnych warunkach atmosferycznych i terenowych.

Towarzyszące okresowo hiperbilirubinemii objawy stanowią przyczynę ustalonej przez ustawodawcę kwalifikacji orzeczniczej – kategoria N. Dotyczy to jednak wyłącznie kandydatów do zawodowej służby wojskowej w jednostkach desantowo-szturmowych oraz kandydatów, których służba przebiega w styczności z czynnikami szkodliwymi, które mogłyby wpłynąć na rozwój tego schorzenia.

Reasumując, hiperbilirubinemia może być czynnikiem dyskwalifikującym kandydata jako niezdolnego do zawodowej służby w jednostkach desantowo-szturmowych oraz służby w zasięgu działania promieniowania mikrofalowego. W pozostałym zakresie komisja lekarska powinna w sposób jasny uzasadnić, dlaczego uznała kandydata na żołnierza zawodowego niezdolnego do pełnienia służby w ogóle.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 3 czerwca 2015 roku (DzU z 2015 poz. 761), § 11 rozporządzenia, vide załącznik nr 1 § 44 pkt 10 tabeli; ustawa z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego” (DzU z 2013 poz. 267 oraz z 2014 poz. 183 i 1195 z późn. zm.) – art. 107 § 1 i 3. Orzecznictwo: wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 20 stycznia 2017 roku sygn. akt. II SA/Wa 1752/16 (wyrok prawomocny).

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

★

Polska Zbrojna

MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY
O POLSKIEJ ARMII

★



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

Oferujemy 12 wydań
miesięcznika „Polska Zbrojna”
w promocyjnej cenie 65 zł.
Warunkiem wysyłki egzemplarzy
jest złożenie zamówienia na adres
prenumerata@zbrojni.pl
oraz wpłata 65 zł
do 30 stycznia 2018 roku na nasze konto:
23 1130 1017 0020 1217 3820 0002
Wojskowy Instytut Wydawniczy
Al. Jerozolimskie 97
00-909 Warszawa

★

PAULINA GLIŃSKA

SPECJALIŚCI OD SPRAW TRUDNYCH

**W pierwszej połowie 2017
roku do Biura Skarg
i Wniosków MON wpłynęło
mniej spraw niż
w analogicznym okresie
ubiegłego roku.**

Dziesięć lat już działa Biuro Skarg i Wniosków Ministerstwa Obrony Narodowej. Mogą się do niego zgłaszać ze swoimi problemami i żołnierze, i cywile. Na udzielenie odpowiedzi pracownicy tej komórki mają 30 dni, a w szczególnie uzasadnionych przypadkach, jeśli jest wymagana konsultacja lub wizyta w jednostce, 60. Można jednak zauważyć pewną tendencję – pojawia się coraz mniej spraw kierowanych do MON-u. W pierwszej połowie 2017 roku do Biura wpłynęło 2841 zgłoszeń, czyli o 1035 mniej niż w analogicznym okresie rok wcześniej.

Najczęściej skargi dotyczą spraw kadrowych i personalnych, w tym wyznaczenia na stanowiska, przeniesień służbowych, opiniowania służbowego. Sporo jest też tych związanych z kwestiami socjalno-bytowymi. Często żołnierze proszą o pomoc w sprawach związanych z zapomogami, waloryzacją rent i emerytur. Niewielki odsetek stanowią natomiast problemy wynikające z niewłaściwych relacji międzyludzkich, w tym mobbingu i molestowania. W 2015 i w 2016 roku było po osiem takich zgłoszeń.

KOMENTARZ

DARIUSZ WIŚNIEWSKI



Żołnierze mają wiele możliwości reagowania, gdy dzieje się źle. Tym bardziej w sytuacjach mobbingu czy molestowania, które są jednymi z niewielu przypadków, kiedy można pominąć drogę służbową. Oprócz naszego Biura jest pełnomocnik MON ds. wojskowej służby kobiet, Rada do spraw Kobiet, Konwent Dziekanów Korpusu Oficerów czy jego odpowiedniki w korpusie podoficerskim i szeregowych zawodowych, na szczeblach jednostek są też mężowie zaufania. Furtek, które można otworzyć w razie problemów, jest więc bardzo dużo, a na pewno znacznie więcej niż w środowisku cywilnym. Jasno są też określone procedury. W czerwcu 2017 roku została wydana de-

cyzja ministra obrony narodowej dotycząca wytycznych w sprawie kształtowania dyscypliny wojskowej w resorcie obrony narodowej w latach 2017–2018. Każdy żołnierz ma prawo zgłosić do przełożonego naruszenie norm współżycia społecznego czy mobbingu. Jeszcze bardziej szczegółowo jest to rozwinięte w regulaminie ogólnym sił zbrojnych, który stanowi, że obowiązkiem każdego żołnierza, w szczególności będącego przełożonym lub starszym stopniem wojskowym, jest przeciwdziałanie mobbingowi. Gdy żołnierz uzna, że był wobec niego stosowany mobbing, może wystąpić z pisemną skargą bez ponoszenia jakichkolwiek konsekwencji. ■

Plk DARIUSZ WIŚNIEWSKI jest dyrektorem Biura Skarg i Wniosków MON.

Ponad 80% spraw, które rozpatruje Biuro, dotyczy wyjaśnienia obowiązujących przepisów. Pracownicy robią to samodzielnie, korzystając z opinii zaczerpniętych z departamentów MON-u lub innych instytucji wojskowych właściwych w danej sprawie. Na podstawie otrzymanych skarg Biuro może też prowadzić działania kontrolno-nadzorujące oraz interwencyjno-wyjaśniające bezpośrednio w jednostkach i instytucjach wojskowych. W 2016 roku pracownicy przeprowadzili 16 nadzorów służbowych i dwie interwencje. Sprawy, które w trakcie wyjaśniania okazują się przestępstwem czy poważnym wykroczeniem, są przekazywane np. Żandarmerii Wojskowej czy prokuraturze.

System skarg w siłach zbrojnych to jednak nie tylko biuro działające na szczeblu MON-u. Trzy osoby zajmujące się takimi sprawami pracują w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, dwie w Dowództwie Wojsk Obrony Terytorialnej. Dodatkowo na niższych szczeblach dowodzenia i kierowania, do szczebla batalionu włącznie, wyznaczeni są imienni pracownicy lub żołnierze. To w sumie ponad 870 osób. ■

KONTAKT

Biuro Skarg i Wniosków MON
Al. Niepodległości 218,
00-911 Warszawa
tel. +48 261 874 124,
+48 228267264
faks: +48 261874490
email: bsiw@mon.gov.pl

Dyrektor Biura Skarg i Wniosków
przyjmuje interesantów w poniedziałki w godzinach 9.00–17.00,
a w pozostałe dni robocze w godzinach 8.30–14.30 ■

Dokument opisujący, w jaki sposób i gdzie w Ministerstwie Obrony Narodowej należy składać m.in. wnioski, petycje można pobrać na stronie internetowej mon.gov.pl



SPRAWY ŻOŁNIERZY

SŁUŻBA WOJSKOWA W 2018 ROKU

**W przyszłym roku służbę
przygotowawczą będzie mogło
przejsć maksymalnie 12 tys.
ochotników.**

SŁUŻBA PRZYGOTOWAWCZA



10 tys.

studentów w ramach pilotażowego programu Legii Akademickiej

Gotowy jest projekt rozporządzenia w sprawie liczby osób, które w 2018 roku będą mogły być powołane do czynnej służby wojskowej. Dokument dotyczy żołnierzy rezerwy, osób przeniesionych do rezerwy niebędących żołnierzami rezerwy (np. tych po kwalifikacji wojskowej) oraz osób niepodlegających obowiązkowi odbycia zasadniczej służby wojskowej lub przeszkolenia wojskowego. Mogą one pełnić jedną z form służby czynnej, w tym służbę okresową, przygotowawczą, terytorialną, a także odbywać ćwiczenia wojskowe, w tym rotacyjne, organizowane dla żołnierzy NSR-u.

W wypadku służby przygotowawczej MON określił stan średnioroczny na poziomie 4 tys. (wyliczany jest on według średniej liczby osób odbywających czynną służbę każdego roku i czasu jej trwania). W praktyce pozwoli to przeszkolić niemal 12 tys. ochotników w trakcie trzech turnusów w ciągu całego roku. Na poziomie do 12 tys. (około 1000 osób stanu średniorocznego) zaplanowany został też udział żołnierzy NSR-u w ćwiczeniach rotacyjnych. Warunkiem wzięcia udziału w ćwiczeniach będzie zawarty kontrakt i nadany przydział kryzysowy danego rezerwisty.

Do armii na obowiązkowe ćwiczenia trafiają też rezerwiści, którzy nie służą w NSR-ze, oraz osoby przeniesione do rezerwy niebędące żołnierzami rezerwy. Tu zakładany jest stan średnioroczny na ogólnym poziomie 1530.

W 2018 roku liczba ta obejmie jednak osoby powołane na ćwiczenia rezerwy (891) oraz wojskowe przeszkolenie studentów (639). Przy założeniu, że średni czas trwania ćwiczeń wyniesie dziesięć dni, będzie mogło wziąć w nich udział około 32 tys. żołnierzy rezerwy. W ramach tego limitu przewidziano też miejsca na podnoszenie kwalifikacji przez szeregowych na kursach podoficerskich i podoficerów na kursach oficerskich. To odpowiednio 100 i 50 osób średniorocznie (czyli w praktyce około 500 oficerów rezerwy i około 240 podoficerów rezerwy).

W ramach pilotażowego programu Legii Akademickiej z kolei praktyczne szkolenie wojskowe mogłoby przejść w 2018 roku około 5 tys. studentów w ramach modułu podstawowego i tyle samo – w ramach modułu podoficerskiego. Projekt rozporządzenia określa też limity okresowej służby wojskowej, pełnionej m.in. w wypadkach uzasadnionych potrzebami obrony państwa, sił zbrojnych lub zarządzania kryzysowego, a także wykonywania zadań przez polskie wojsko poza granicami kraju. Zgodnie z dokumentem w 2018 roku tę formę służby będzie mogło pełnić maksymalnie do 150 żołnierzy rezerwy. W przygotowanym dokumencie zostały uwzględnione także potrzeby wojsk obrony terytorialnej. MON planuje, że taką służbę wojskową będzie mogło odbywać do 17 142 ochotników. PG/PZ

Bonus dla żołnierzy

Wyższe dodatki do wynagrodzeń od 1 listopada dostali specjaliści z Lublińca i Formozy, a także niektórzy piloci.

Na mocy rozporządzenia ministra obrony Narodowej z 19 października 2017 roku od 1 listopada zmieniły się dodatki do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych Jednostki Wojskowej Komandosów i Jednostki Wojskowej Formoza. Do tej pory otrzymywali oni 900 zł dodatku miesięcznie. Od 1 listopada kwota ta wzrosła w zależności od stażu służby oraz stopnia wojskowego. Oficer starszy otrzyma więc od 1650 do 3300 zł, oficer młodszy – od 1350 do 2400 zł, zaś podoficerowie i szeregowi zawodowi mogą liczyć na dodatek w wysokości od 1200 do 2100 zł.

Wyższych dodatków doczekali się także piloci myśliwców F-16, śmigłowców

pokładowych lotnictwa marynarki wojennej oraz ci, którzy wykonują loty o statusie head, czyli z najważniejszymi osobami w kraju na pokładzie. Podwyżka obejmuje nie tylko dowódców, lecz także całe załogi statków powietrznych. W tym wypadku o wysokości dodatku będą decydowały lata służby oraz stopień wojskowy.

Dodatki otrzymali również żołnierze z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, którzy przez co najmniej dziesięć lat służyli m.in. w zespołach bojowych Jednostki Wojskowej GROM i zwalczali terroryzm lub szkolili się w tej dziedzinie. EK/PZ

Podwyżki w planach

W 2018 roku resort obrony chce zwiększyć dodatki wypłacane m.in. żołnierzom GROM-u oraz wojskowym informatykom.

Ministerstwo Obrony Narodowej przygotowało nowelizację rozporządzenia w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych. Przepisy wejdą w życie na początku 2018 roku. Najwięcej wzrośnie dodatek służbowy dla żołnierzy Jednostki Wojskowej GROM – z 450 do 1350 zł. Zmienić się mają również zarobki żołnierzy oddelegowanych do wykonywania zadań w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego. Dziś maksymalna kwota dodatku specjalnego (wypłacanego co miesiąc) wynosi 3750 zł, minimalna – 60 zł. Jeśli przepisy

wejdą w życie, żołnierz wykonujący zadania na rzecz wymienionych służb otrzyma dodatek w wysokości od 60 do 5250 zł.

Więcej zarobią także żołnierze zawodowi – informatycy, którzy od 1 stycznia 2018 roku będą pełnić służbę w Inspektoracie Informatyki (obecnie Inspektoracie Systemów Informacyjnych) oraz w Centrum Projektów Informatycznych (obecnie Resortowym Centrum Zarządzania Projektami Informatycznymi). Zmiany te obejmą około 80 wojskowych, a kwota dodatku będzie zależała od stopnia wojskowego.

Projekt odnosi się również do żołnierzy, którzy służą w patrolach rozbominowania. Teraz pobierają oni dodatek stały oraz, gdy biorą udział w działaniach ratowniczych, czasowy. Po zmianach przysługiwać ma tylko jeden, wyższy dodatek.

Dodatki służbowe otrzymają też szefowie sekcji w Wydziale Techniki Morskiej w Komendzie Portu Wojennego w Gdyni, w Wydziale Techniki Lotniczej w 3 Regionalnej Bazie Logistycznej w Krakowie, a także szefowie zaopatrzenia w bazach lotniczych. Wyniosą one miesięcznie nie więcej niż 375 zł. EK/PZ



ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

TADEUSZ WRÓBEL

ODMŁADZANIE PANCERZA

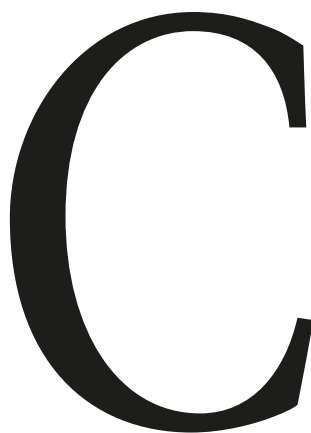
**Włosi wydadzą miliardy euro na zakup
nowych pojazdów pancernych
i modernizację już posiadanych.**



Jedynym użytkownikiem czołgów Ariete jest armia włoska. Najstarsze egzemplarze mają ponad 20 lat, a ich konstrukcja oparta jest na rozwiązaniach technicznych z końca lat osiemdziesiątych XX wieku.



MINISTERO DELLA DIFESA



choć Włochy należą do grona państw NATO, które przeznaczają na obronność znacznie mniej niż ustalone jako minimum 2% PKB, starają się modernizować swoje siły zbrojne. Uruchamiane są kolejne programy zakupów nowego sprzętu wojskowego lub unowocześniania już posiadanego. W 2017 roku został np. zaakceptowany program głębokiej modernizacji czołgu podstawowego Ariete.

GĄSIENICE W ODWROCIE

Już w okresie zimnej wojny we Włoszech rozpoczęto prace nad czołgiem nowej generacji, który miał zastąpić w tamtejszych wojskach lądowych niemieckie leopardy 1. Zadanie to powierzono konsorcjum Fiat-Iveco i OTO Melara. Początkowo armia włoska zamierzała kupić 700 maszyn, ale odprężenie postzimnowojenne w Europie przyniosło zmniejszenie wydatków na obronność, więc zrezygnowano z zakupów nowego uzbrojenia lub redukowano wcześniejsze zamówienia. W wypadku ariete zmniejszono je najpierw do 300 egzemplarzy, a później do 200.

Nowy czołg wszedł do służby w 1995 roku, ale pełna produkcja seryjna rozpoczęła się dwa lata później. Ostatnie egzemplarze przekazano wojskom lądowym w sierpniu 2002 roku. Najstarsze ariete mają więc ponad 20 lat, a ich konstrukcja oparta jest na rozwiązaniach technicznych z końca lat osiemdziesiątych XX wieku.

W niedawno opublikowanym planie wieloletnich zamówień można znaleźć czołg AMV Ariete. Nie będzie to nowa konstrukcja, tylko głęboka modernizacja dotychczas używanych wozów bojowych. W latach 2017–2019 zostaną przeznaczonych 35 mln euro na opracowa-

nie prototypu. Modernizację ariete przeprowadzą razem Iveco i OTO Melara. Na razie nie ma konkretnych informacji na ten temat, ale Włosi na pewno będą chcieli wzmocnić opancerzenie czołgu, wyposażyć go w nowe systemy kierowania ogniem i przystosować do działań w warunkach sieciocentrycznego pola walki. Oczywiście efektem tych zmian będzie wzrost masy pojazdu, tak więc aby był mobilny, potrzebny będzie mocniejszy silnik. Możliwe, że w ariete zostanie też zamontowana nowa armata. Koszt modernizacji jednego czołgu przekroczy 5 mln euro, czyli będzie większy niż cena nowego egzemplarza w latach dziewięćdziesiątych. Włoska armia do 2028 roku dostanie 200 zmodernizowanych wozów Ariete. Można zatem przypuszczać, że nie zwiększy się liczba batalionów czołgów. Teraz funkcjonują cztery, rozdzielone między trzy ciężkie brygady – dwa w pancernej Ariete oraz po jednym w brygadach bersalierów Garibaldi i zmechanizowanej Pinerolo.

Jeszcze nie ma ostatecznej decyzji dotyczącej równie głębokiej modernizacji gąsienicowego bojowego wozu piechoty Dardo, który wszedł do służby w latach dziewięćdziesiątych. Cztery pułki w trzech brygadach – dwa bersalierów w Garibaldi oraz po jednym w pancernej Ariete i zmechanizowanej Granatieri di Sardegna – otrzymały wówczas 200 pojazdów. Włoskie wojska lądowe chciałyby mieć 255 dardo, co oznacza, że nie tylko zdecydowano by się na modernizację już posiadanych bewupów, lecz także wyprodukowano by jeszcze kilkadziesiąt nowych. Prawdopodobnie wykorzystano by je do przebrożenia piątego pułku piechoty. W przyszłości dardo będzie jedynym pojazdem gąsienicowym w jednostkach piechoty zmechanizowanej, bo w najbliższych latach ze służby zostaną wycofane wszystkie licencyjne amery-

Włosi nie chcą diametralnie zmieniać kierunku rozwoju wojsk lądowych obranego po zakończeniu zimnej wojny.



WŁOŚCI ZAMIERZAJĄ W PRZYSZŁOŚCI ZWIĘKSZYĆ LICZBĘ GĄSIENICOWYCH WOZÓW BOJOWYCH **DARDO**

kańskie wozy z rodziny M133, a także ich miejscowe modyfikacje VCC-1 Camillino i VCC-2.

PIECHOTA NA KOŁACH

W 2016 roku zatwierdzono program nowego ciężkiego kołowego wozu bojowego Centauro 2, który ma zastąpić wprowadzony na początku lat dziewięćdziesiątych do jednostek kawalerii pancernej włoskich wojsk lądowych pojazd Centauro 1. Tamtejsza armia w szczytowym momencie miała ich 400, a teraz ma 350, tyle że część nie jest w jednostkach liniowych. Wycofywanie ze służby tych wozów potrwa do 2033 roku. Planuje się natomiast kupno zaledwie 136 sztuk centauro 2 za ponad 0,5 mld euro.

Głównym pojazdem włoskiej piechoty zmechanizowanej w przyszłości będzie kołowy bewup VBM Freccia, opracowany na podwoziu centauro. W wersji bojowej ma on podobne uzbrojenie jak dardo, automatyczną armatę kalibru 25 mm i karabin maszynowy. Pierwsze zamówienie na 253 wozy zostało złożone w 2007 roku. Wybrano pięć wersji: standardową bojową (172), bojową, przeciwczołgową z przeciwpancernymi pociskami kierowanymi Spike-LR (36), dowodzenia (20), samobieżny moździerz (21) i wóz ewakuacji medycznej (4). Do czerwca 2017 roku dostarczono już 249 wozów, w tym 190 w standardowej wersji bojowej, 36 z ppk Spike, 21 samobieżnych moździerzy i tylko dwa wozy dowodzenia. Pierwsze trzy pułki wyposażone w VBM Freccia są w Brygadzie Zmechanizowanej „Pinerolo”. Armia włoska ma też dostać 630 wozów z rodziny Freccia. Te pojazdy będą w dwóch konfiguracjach: E1 – dalekiego rozpoznania z radarem i wyrzutnią minibezzałogowców, oraz E2 – bliskiego rozpoznania. Potrzeba 261 wozów, aby przebroić Brygadę Zmechanizowaną „Aosta”. Następne 120 w wersji rozpoznawczej trafi do pułków ka-

walerii. Całkowite koszty programu VBM Freccia przekroczą 4 mld euro.

Drugi program zatwierdzony w tym roku to przystosowany do działań sieciocentrycznych lekki pojazd wielozadaniowy VTLM 2, określany też jako Lince 2. Włoscy żołnierze mają już do dyspozycji 1850 egzemplarzy podstawowej wersji tego wozu VTLM Lince. Plany wieloletnie zakładają natomiast kupno za miliard euro 2 tys. sztuk w wersji sieciocentrycznej Lince 2 do 2034 roku. Ze względu na zwiększoną ładowność i ochronę balistyczną pojazdy będą cięższe o tonę od pierwszej wersji, zostaną wyposażone w silnik Diesla o mocy 220 KM zamiast 195 KM. Pojazdy wielozadaniowe używane są w wielu jednostkach, zwłaszcza lekkich. Ich najnowsza wersja znajdzie się w siłach operacyjnych obok zmodernizowanych ariete i dardo oraz nowych kołowych bewupów Freccia.

Armia włoska nadal będzie używała kołowych pojazdów pancernych z rodziny Puma. Kupiono 250 wozów w wersji sześciokołowej na potrzeby pułków piechoty górskiej i spadochronowych. 330 egzemplarzy rozpoznawczych pumy, czterokołowych, rozdysponowano natomiast między pułki kawalerii i 66 Pułk Piechoty Aeromobilnej „Trieste”. Pojazdy w obu wersjach dostały też niektóre jednostki specjalne, m.in. 4 Pułk Spadochronowy Alpini „Monte Cervino”, uważany za odpowiednik amerykańskich rangersów. Oczywiście nie wszystkie wozy są w linii – 25 pum подарowano np. Argentynie, Libii i Dżibuti.

Wszystko wskazuje na to, że Włosi nie zamierzają diametralnie zmieniać kierunku rozwoju wojsk lądowych obranego po zakończeniu zimnej wojny. Co prawda, do wojska trafi trochę więcej gąsienicowych bewupów, ale generalnie liczba pancernych pojazdów bojowych będzie się stopniowo zmniejszała. ■

Huta Stalowa Wola SA nie zwalnia tempa



H S W

Po raz pierwszy od kilku lat Huta Stalowa Wola zanotowała bardzo dobre wyniki sprzedaży. Wzrósł wskaźnik rentowności oraz spodziewany jest dodatni wynik finansowy netto na koniec 2017 roku. „Tegoroczne przychody huty, m.in. dzięki rekordowym zamówieniom artyleryjskim, będą wyjątkowe i sięgną nawet 450 mln zł. Planujemy, że w tym roku rozliczymy wieloletnie zaległości i na zawsze pożegnamy stratę finansową”, podsumowuje Bernard Cichocki, prezes Zarządu HSW.

Huta, podkarpacki producent armatohaubic Krab i moździerz Rak, które armia zakontraktowała za prawie 4,5 mld zł, kupiła ostatnio od miasta blisko 8 ha terenu. Są to trzy działki sąsiadujące bezpośrednio z zakładem, na których, według planów, ma powstać m.in. centrum produkcyjno-serwisowe potrzebne do realizacji projektów „Homar” i „Wisła”. HSW rozpatruje również możliwość budowy wzdłuż kupionych działek toru prób przeznaczonego do badań zdawczo-odbiorczych produkowanego sprzętu. Działki zostały nabyte w drodze przetargu, a transakcja odwraca dotychczasową tendencję do wyprzedaży gruntów przez Hutę.

Szef HSW przyznaje, że w podkarpackim zakładzie trwa pełna mobilizacja, praca na

zmiany, a firma wciąż poszukuje dobrych specjalistów na rynku.

Huta w ekspresowym tempie unowocześnia też produkcję w istniejącej części zakładu. Inwestycje mają przygotować firmę do transferu technologii budowy podwozi krabów od Hanwha Land Systems. W bieżącym roku Spółka rozpoczęła projekt inwestycyjny. Za około 40 mln zł HSW buduje halę produkcyjną, w której zamontowane będą m.in. wielkogabarytowa obrabiarka, automaty spawalnicze oraz nowoczesna komora do badań RTG. Warto przypomnieć, że w firmie trwa opracowywanie i wdrażanie technologii obróbki mechanicznej luf, w tym długich powyżej 4,5 m i kalibru 155 mm.

Mijający rok był szczególnie dla Huty Stalowa Wola, bowiem spółka przekazała bez opóźnień, zgodnie z terminami zawartymi w umowie, I i II kompanijny moduł ogniowy oraz I dywizjonowy moduł ogniowy. Warto przypomnieć, że hitem tegorocznych targów MSPO 2017 w Kielcach bez wątpienia okazał się nowy bojowy pływający wóz piechoty Borsuk, którego prezentacja w formule modelu spotkała się z ogromnym zainteresowaniem zarówno polskich, jak i zagranicznych gości.

Prezes Bernard Cichocki pytany o przyszłość borsuka i innych produktów podkreśla: „Dzięki takim projektom Huta Stalowa Wola podtrzyma i umocni pozycję lidera produkcji artyleryjskiej dla polskiej artylerii oraz centrum produkcji pancernej na potrzeby MON-u. Jestem też przekonany, że Huta Stalowa Wola będzie miała niedługo w swej ofercie nowe innowacyjne produkty, które znajdą odbiorców w Polsce i na świecie. Naszymi atutami są jedna z najlepszych kadr konstruktorów i technologów oraz doświadczenie wdrożeniowe i produkcyjne”.



Hitem tegorocznych targów MSPO 2017 w Kielcach okazał się nowy bojowy pływający wóz piechoty Borsuk, którego prezentacja w formule modelu spotkała się z ogromnym zainteresowaniem zarówno polskich, jak i zagranicznych gości.

LITWA

WOZY Z AMERYKI

Czy litewska armia zdecyduje się na zakup L-ATV ?

Minister obrony Litwy Raimundas Karoblis spotkał się 7 listopada w Helsinkach z sekretarzem obrony USA Jamesem Mattisem. Rozmawiali oni o możliwości zakupu lekkich pojazdów opancerzonych L-ATV produkowanych przez firmę Oshkosh Defense. Litwi-

ni planują kupić ich co najmniej 200. Jeśli Amerykanie wyrażą zgodę, dostawy L-ATV rozpoczęłyby się w 2021 roku. Oprócz tych maszyn Litwini testowali dwa inne pojazdy: LAPV niemieckich zakładów Daimler AG i Eagle firmy General Dynamics European Land Systems.

L-ATV powstał jako następca HMMWV w amerykańskich siłach zbrojnych. W planach jest kupno ponad 49 tys. tych samochodów dla wojsk lądowych i 5,5 tys. dla piechoty morskiej. L-ATV są oferowane z kabinami dla dwóch lub czterech osób. WR

SZWECJA

Patrioty Północy

Sztokholm zamierza kupić w trybie umowy międzyrządowej ze Stanami Zjednoczonymi system obrony powietrznej średniego zasięgu Patriot. O decyzji rządu poinformowała FMV, szwedzka agencja zamówień obronnych. Zgodnie z planami szczegółowa oferta pojawi się wiosną przyszłego roku. Szwedzi chcą kupić baterie z trzema wyrzutniami. Dostawy systemu mają się rozpocząć w 2020 roku, a gotowość bojową powinien on osiągnąć najpóźniej w 2025 r.



Według szacunków FMV, koszty zakupu patriotów wyniosą co najmniej 1,2 mld.

BUNDESWEHR

INDIE

Zakupy marynarzy

O ten kontrakt rywalizowało kilka stoczn.

Stocznia Cochin Shipyard uzyskała zamówienie na budowę ośmiu jednostek zwalczania okrętów podwodnych dla indyjskiej marynarki wojennej. Pierwsza z jednostek ma być dostarczona w ciągu 42 miesięcy. Docelowo tamtejsza marynarka chce mieć około 16 takich okrętów, o wyporności 700 t. Marynarze chcą, by jednostki ZOP osiągały maksymalną prędkość około 25 w. Wymagany zasięg pływania przy prędkości 14 w. określono na 1800 Mm. WRT



Minister obrony Litwy
RAIMUNDAS KAROBLIS

Doszlśmy do wniosku, że L-ATV są najlepszym wyborem jeśli chodzi o stosunek jakości do ceny. Dlatego zdecydowaliśmy się rozpocząć negocjacje.

JAPONIA

DEBIUTANT NA WYSPACH

W bazie lotniczej Misawa 2 listopada wylądował pierwszy zmontowany w Japonii samolot wielozadaniowy F-35A Lightning II. Maszyna przyleciała tam z zakładu Komaki-Minami w Nagoi, należącego

do koncernu Mitsubishi Heavy Industry. Dzięki programowi „Foreign Military Sales” Japonia kupiła 42 maszyny F-35, z których 38 zostanie zmontowanych w kraju. TW



F-35A
LIGHTNING II



U S A F

ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE

Emirowie inwestują w obronność

Podczas pierwszego dnia wystawy lotniczej Dubai Airshow jej gospodarz, Zjednoczone Emiraty Arabskie, podpisał wiele kontraktów w sferze obronnej na sumę przekraczającą 3,5 mld dolarów. Jednym z nich była umowa na modernizację 80 samolotów bojowych F-16E/F do wersji F-16V za 1,6 mld dolarów.

ZEA rozmawiają też z Francuzami o unowocześnieniu maszyn Mirage 2000-9, których siły powietrzne mają 64. Dzięki temu czas użytkowania tych samolotów wydłuży się o dziesięć lat. Inne kontrakty dotyczyły m.in. dostaw bomb lotniczych i amunicji do armat przeciwlotniczych kalibru 35 mm. W

CZARNOGÓRA

NA DOBRY POCZĄTEK

Czarnogóra zamierza zmodernizować swe dwutysięczne siły zbrojne.

Tamtejsza armia ma głównie sprzęt pojugosłowiański. Na początek Czarnogórcy kupią za około 30 mln euro trzy amerykańskie śmigłowce wielozadaniowe Bell 412EPI, które wygrały rywalizację z włoskim AW139 oraz z H145M, oferowanym przez Airbus Helicopter. Umowa na nie ma być podpisana na początku przyszłego roku. Poza tym Czarnogóra zamierza kupić pojazdy pancerne i radary. WT

W sumie nowy sprzęt wojskowy będzie kosztował 110 mln euro.



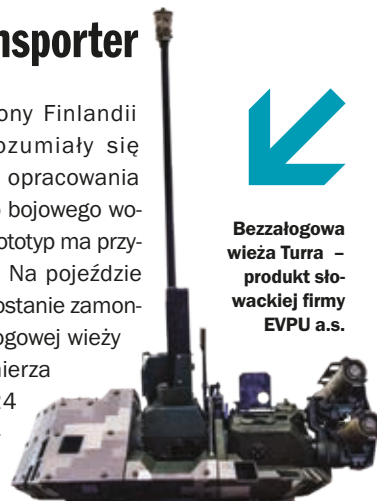
Minister
obrony Rumunii
MIHAI FIFOR

Dzięki zbiorowemu wysiłkowi, poprzez zakup systemu Patriot Rumunia wstępuje do europejskiego i światowego klubu obrony.

FINLANDIA / SŁOWACJA

Wspólny transporter

Ministerstwa obrony Finlandii i Słowacji porozumiały się w sprawie wspólnego opracowania nowej wersji kołowego bojowego wozu piechoty AMV XP. Prototyp ma przygotować firma Patria. Na pojeździe zdolnym do pływania zostanie zamontowana wersja bezzałogowej wieży Turra. Bratysława zamierza w latach 2018–2024 kupić 81 kołowych be-



Bezzałogowa wieża Turra – produkt słowackiej firmy EVPU a.s.

RUMUNIA

ZIELONE ŚWIATŁO DLA PATRIOTÓW

Władze w Bukareszcie wkrótce podpiszą umowę ze Stanami Zjednoczonymi.

Obie izby rumuńskiego parlamentu zaaprobowaly plan zakupu systemu obrony powietrznej Patriot, tym samym władze w Bukareszcie dostały zielone światło na podpisanie międzyrządowej umowy ze Stanami Zjednoczonymi. Pierwsza bateria, która będzie kupiona w tym roku, ma kosztować 764,7 mln dolarów, bez podatku VAT. Rumuński minister obrony Mihai Fifor zapowiedział, że system Patriot osiągnie gotowość operacyjną w 2020 roku.

Według informacji Defense Security Cooperation Agency przekazanej Kongresowi USA Rumunia zwróciła się o zgodę na zakup siedmiu baterii PAC-3+ Modernized Fire Units. W ich skład będzie wchodzić m.in. siedem radarów AN/MPQ-65, siedem stacji kontroli AN/MSQ-132, 13 jednostek Antenna Mast Group, siedem jednostek Electric Power Plants i 28 wyrzutni M903. Rumuni chcą też nabyć 168 pocisków PAC-3 MSE i 56 pocisków MIM-104 GEM/T. DSCA oszacowała wartość transakcji z Rumunią na kwotę 3,9 mld dolarów.

Cztery z kupionych przez Rumunię baterii patriotów otrzymają siły powietrzne, a trzy – wojska lądowe. Poza tym w planach jest zakup systemów przeciwlotniczych krótkiego i bardzo krótkiego zasięgu. WR



Exatel

TELEKOMUNIKACYJNE BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Dajemy klientom pełną kontrolę nad cyberprzestrzenią. Zapewniamy wsparcie na każdym etapie współpracy. Wierzymy, że właściwe zrozumienie potrzeb to podstawa dobrych relacji biznesowych. Dobrze znamy rynek teleinformatyczny.

KIM JESTEŚMY



100% Spółka Skarbu Państwa



Nadzór Ministerstwa Obrony Narodowej



20 lat doświadczenia na rynku telekomunikacyjnym



20 000 km światłowodu, druga co do wielkości sieć w Polsce

W CZYM SIĘ SPECJALIZUJEMY



Usługi telekomunikacyjne



Cyberbezpieczeństwo



Budowa i utrzymanie sieci światłowodowej

DLA KOGO PRACUJEMY



Służby mundurowe



Sektor publiczny



Biznes



Operatorzy telekomunikacyjni





Mózg po tuningu

KRZYSZTOF WILEWSKI

Na polu walki wkrótce mogą się pojawić żołnierze o umysłach wspomaganych elektronicznie.

Koncepcja, aby połączyć umysł człowieka z elektronicznymi podzespołami, pochodzi z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy amerykańscy naukowcy intensywnie pracowali nad metodami skutecznej eksploracji kosmosu. Stwierdzili bowiem, że to właśnie ludzki umysł może stanowić największą barierę na drodze do podboju wszechświata. Elektronika natomiast, która niczym tornado wdarła się do codziennego życia pod postacią telewizorów czy mikrofalówek, dawała wręcz nieograniczone możliwości. Wizja człowieka maszy-

ny szybko stała się inspiracją dla twórców masowej kultury – filmowcy i pisarze stworzyli całe legiony cyborgów.

Tą ideą zainteresowały się też armie na całym świecie, ale przez długi czas prace nad jej rozwinięciem nie przynosiły wymiernych efektów. Okazało się, że największą przeszkodą wcale nie było połączenie elektroniki z mózgiem. Udało się to naukowcom już w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wyzwaniem okazała się dwustronna komunikacja na linii mózg – elektronika. Chodzi bowiem nie tylko o to, żeby przesłać informacje

TO JUŻ NIE JEST WIZJA Z FILMÓW SCIENCE FICTION

Żołnierz nie potrzebuje do komunikacji ze swoimi dowódcami żadnego typu radiostacji, gdyż wystarczy mu do tego niewielki procesor w mózgu, będący jednocześnie magazynem, w którym można przechowywać gągabały potrzebnych do przeróżnych misji bojowych danych, takich jak mapy, zdjęcia satelitarne, instrukcje obsługi, słowniki.

i komendy z mózgu do mikroprocesora, lecz także, aby był on w stanie wysłać czytelny dla umysłu komunikat zwrotny.

PROCESOR POD SKÓRĄ

Jednym z pionierów tak rozumianej cyborgizacji jest prof. Kevin Warwick, cybernetyk i wykładowca brytyjskiego uniwersytetu w Reading. Autor kilkuset artykułów naukowych i książek zasłynął z tego, że w 1998 roku, jako pierwszy na świecie, wszczepił sobie pod skórę mikroprocesor sterowany radiowo i połączył go z układem nerwu przyśrodkowego lewej ręki. Dzięki temu mógł sterować sprzętem wyposażonym w nadajnik RFID (radio-frequency identification), czyli np. zapalać światło lub włączać grzejniki. Później Warwickowi udało się przeprowadzić eksperyment, który polegał na komunikowaniu się jego nadajnika z takim samym, ale umieszczonym w ręce żony. Profesor twierdził, że choć nie mógł sterować ruchem jej ręki, to wyczuwał, jak ona to robi.

Sukcesy Warwicku odbiły się echem na całym świecie i w połowie ubiegłej dekady liczne ośrodki naukowe po-

stanowiły podjąć się skonstruowania cyborga. Wiele wskazuje na to, że mamy już pierwsze efekty tych prac. Na początku listopada 2017 roku naukowcy z University of Southern California poinformowali, że 20 osobom wszczepili implant mózgowy, mający poprawić ich pamięć. Elektrycznymi wstrząsami pobudza on część mózgu, która odgrywa ważną rolę w procesie uczenia się i zapamiętywania, czyli hipokamp. Te bodźce zostały tak zaprogramowane, że częstotliwością i natężeniem odpowiadają sygnałom, które są wysyłane do mózgu z układu nerwowego. Naukowcy z Kalifornii podkreślają jednak, że nie mają zamiaru stworzyć nadludzi. „Naszym celem jest pomoc chorym na Alzheimera czy demencję, aby odzyskali w pełni sprawny umysł”, podkreśla prof. Dong Song.

CYBORG I W MUNDURACH

O ile prace naukowców z University of Southern California były ukierunkowane na zastosowania medyczne, o tyle uruchomiony w 2016 roku przez amerykańską agencję rządową DARPA (Defense Advanced Research Projects Agency) projekt NESD, czyli Neural Engineering System Design, ma przede wszystkim zastosowanie militarne. Tamtejszy rząd przeznaczył aż 65 mln dolarów na opracowanie neurointerfejsu, który będzie konwertował sygnały zero-jedynkowe na elektrochemiczne, czyli język naszych nerwów na impulsy elektromagnetyczne rozumiane przez komputer.

Jak podkreślają naukowcy zaangażowani w ten projekt, połączenie ludzkiego mózgu z mikroprocesorem, tak aby był nie tylko kanałem transmisyjnym do innych urządzeń elektronicznych, lecz także np. magazynem pamięci, może stać się realne już za kilkanaście lat. Całkiem realna jest zatem wizja, że za kilka dekad żołnierze ukryci w ogromnych robotach lub noszący na sobie egzozoskielety pozwalające przenosić ogromne ciężary i biegać trzy razy szybciej, będą tymi urządzeniami sterowali myślami, bez używania pokręteł czy przycisków. Dzięki elektronicznym magazynom pamięci w razie potrzeby będą potrafili sami naprawić niektóre sprzęty, bo instrukcję obsługi czy serwisową przywołają z ukrytej w mózgu kostki pamięci. ■



Targi Kielce
exhibition & congress centre



ufi
Member

■ ■ ■
**ZAPLANUJ
SWÓJ SUKCES
JUŻ DZIŚ I DOŁĄCZ
DO NAS
W 2018!**

XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018

KIELCE

www.mspo.pl

Partner strategiczny

 **PGZ**
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

RAFAŁ
CIASTOŃ

Początki desantu



Spadochron kojarzy się z samolotem i lotnictwem, w rzeczywistości jednak jego historia jest dużo dłuższa niż dzieje statków powietrznych. Zjawisko oporu aerodynamicznego, który wytwarza czasza parasola, mieli wykorzystywać już starożytni chińscy akrobaci, a projekt spadochronu został opracowany przez Leonarda da Vinci. Impulsem do wypróbowania w praktyce takich pomysłów stało się jednak dopiero pojawienie się balonu – pierwsze załogowe loty braci Montgolfier przypadają na rok 1783, w tym samym roku francuski fizyk Louis-Sébastien Lenormand opublikował pracę na temat urządzenia, które nazwał „parachute” (według niektórych źródeł miał je także przetestować). W prace nad spadochronem angażowali się także Joseph Montgolfier i André-Jacques Garnerin. Ten ostatni wraz z żoną i bratanicą wykonywał pod koniec XVIII i w pierwszych dekadach XIX stulecia pokazowe skoki w wielu miastach Europy, m.in. w Warszawie.

Momentem przełomowym w historii spadochronu było jednak wynalezienie samolotu. Miał on teraz odgrywać rolę narzędzia ratunkowego w razie awarii bądź zestrzelenia maszyny. Jako element osobistego wyposażenia pilota spadochrony pierwsi wprowadzili w latach I wojny światowej Niemcy, a wkrótce trafiły one do sił powietrznych pozostałych państw biorących udział w tym konflikcie. W dwudziestolecie międzywojennym pojawił się pomysł stworzenia wojsk spadochronowych. Tym razem prekursorem był Związek Radziecki. W 1931 roku został sformowany Oddział Spadochronowo-Desantowy, przekształcony następnie w 3 Zmotoryzowany Oddział Powietrznodesantowy. W 1935 roku w przeprowadzonych pod Kijowem manewrach z udziałem zagranicznych obserwatorów desantowano niemal 1200 skoczków, którzy opanowali lotnisko, umożliwiając wylądowanie na nim maszyn z kolejnymi 1800 żołnierzami i ciężkim uzbrojeniem. Do 1941 roku ZSRR sformował pięć korpusów powietrznodesantowych, każdy z trzema brygadami w składzie, ale inwazja hitlerowska sprawiła, że musiały one zostać użyte w działaniach defensywnych w charakterze zwykłej piechoty.

Jednym z obserwatorów kijowskich manewrów był nie kto inny jak płk Kurt Student, późniejszy twórca hitlerowskich formacji spadochronowych. Stworzone przez niego jednostki wstąpiły się zdobyciem belgijskich fortyfikacji Eben-Emael w maju 1940 roku, a niemal dokładnie rok później także Krety, gdzie schroniły się wycofujące się z Grecji wojska sojuszników. To okupione wysokimi stratami zwycięstwo okazało się pyrrusowe, do końca II wojny światowej Niemcy nie przeprowadzili już tak spektakularnych działań z udziałem spadochroniarzy. Alianci dokonali w tym czasie kilku operacji powietrznodesantowych, największa była ta przeprowadzona w ramach lądowania w Normandii, najsłynniejsza zaś – „Market Garden”, w której udział wzięły dwie dywizje amerykańskie oraz jedna brytyjska z działającą w jej składzie polską Samodzielną Brygadą Spadochronową.

Jednostki spadochronowe do dziś są w armiach większości państw świata. Wykorzystuje się je w początkowych fazach różnego rodzaju konfliktów lub sytuacji kryzysowych, gdzie zaskoczenie często decyduje o sukcesie całej operacji.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.



STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD

TOMASZ OTŁOWSKI

EKSPANSJA TRZECIEGO RZYMU

**Niedawny parias na bliskowschodnim
teatrze działań staje się głównym graczem
w tej części świata.**



Przeciwniczny
system dalekiego
i średniego zasięgu
S-400 Triumf, ofer-
wany m.in. kilku
krajom Bliskiego
Wschodu, Rosjanie
uważają za jeden
ze swoich najwięk-
szych hitów ekspor-
towych.

ALEXANDER VILF / SPUTNIK / EAST NEWS

Z

godnie z klasyczną szkołą geopolityki Eurazja jest strategiczną osią polityki międzynarodowej, skupiającą uwagę i pobudzającą aktywność wszystkich najważniejszych graczy świata. To o nią toczy się największa rywalizacja. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście tak jest,

kluczem do niej jest region Bliskiego Wschodu, przede wszystkim Lewant. I państwa aspirujące do roli światowych potęg nie mogą go w swych działaniach pominąć. Dzieje się tak głównie z uwagi na strategiczne położenie – na styku Afryki, Europy i Azji, ale też ze względu na znajdujące się tam złoża surowców energetycznych. Nic zatem dziwnego, że również Rosja – po ponad dwóch dekadach niemal zupełnej nieobecności politycznej i ekonomicznej na Bliskim Wschodzie – musiała wrócić do gry w tym regionie. Bez tego dążenie Moskwy do umocnienia pozycji Federacji Rosyjskiej jako mocarstwa globalnego nie miałoby szans na powodzenie.

ZMIANA KIERUNKU OFENSYWY

Obszar bliskowschodni – w szerokim rozumieniu geograficznym – daje Rosji możliwość realizacji wielu strategicznych celów oraz interesów, i to na różnych płaszczyznach działania. Od kiedy Kreml ponownie zaangażował się aktywnie w tej części świata (do czego pretekstem były wydarzenia Arabskiej Wiosny), rola Bliskiego Wschodu w polityce zagranicznej FR systematycznie rośnie. Dzisiaj to już jeden z najważniejszych (obok Europy Wschodniej, Zakaukazia i Azji Centralnej) teatrów działania Moskwy na arenie międzynarodowej. Nie sposób nie zauważyć, że stało się tak w dużej mierze dzięki sprzyjającym okolicznościom, jakie w minionych latach zaistniały w regionie.

Chaos rewolucji i wojen domowych oraz fatalnie prowadzona polityka Zachodu wobec regionu sprawiły, że zaczęły zmieniać się dotychczasowe paradygmaty bezpieczeństwa tej części świata. Zwłaszcza zachowawcze, pozbawione głębszego zamysłu strategicznego, działania Waszyngtonu za prezydentury Baracka Obamy stworzyły dla Rosji przestrzeń do zaistnienia na Bliskim Wschodzie w zupełnie nowej roli. Już nie tylko mocarstwa wspierającego ostatnich regionalnych „pogrobowców zimnej wojny”, jak Muammar al-Kaddafi w Libii czy Baszszar al-Asad w Syrii, ale też gracza poważnie wpływającego na rzeczywistość strategiczną regionu, a nawet w coraz większym stopniu ją współtworzącego.

Po obaleniu prorosyjskiego reżimu w Trypolisie w 2011 roku naturalnym punktem odniesienia dla strategii Rosji wobec Bliskiego Wschodu stała się Syria. Przez długie lata (2011–2015) to właśnie materiałowe i finansowe wspieranie tamtejszego reżimu w walce o przetrwanie w wojnie domowej było głównym i najważniejszym elementem zaangażowania Moskwy.

Przełomem w działaniach na tym obszarze stała się jednak bezpośrednia ingerencja militarna w syryjski konflikt wczesną jesienią 2015 roku. Krok ten – w bezpośrednim aspekcie operacyjnym motywowany dramatycznym pogorszeniem się położenia militarnego sił wiernych Damaskowi – miał jednak także głęboki wymiar strategiczny. Stanowił bowiem początek i pierwszy etap prawdziwej geopolitycznej ofensywy Rosji wobec Bliskiego Wschodu, ale także wobec USA i ich zachodnich sojuszników.

Warto bowiem pamiętać o szerszym kontekście wydarzeń w Lewancie sprzed ponad dwóch lat. Zwłaszcza o gwałtownym pogorszeniu się stosunków Moskwy z Zachodem, które było rezultatem rosyjskiego zaboru Krymu i niemal jawnego wsparcia udzielonego przez ekipę



M O R O S J I

Podczas październikowej wizyty w stolicy Kataru – Dosze, minister obrony Federacji Rosyjskiej gen. Siergiej Szojgu i jego katarski odpowiednik gen. Khalid bin Mohammad Al-Attiyah podpisali obszerny pakiet umów o współpracy i kontraktów handlowych na zakup rosyjskiego uzbrojenia.

Władimira Putina prorosyjskim separatystom na wschodzie Ukrainy. Izolacja i sankcje międzynarodowe nałożone na Moskwę mocno dotknęły tamtejszą gospodarkę, więc aktywizacja w regionie Lewantu dawała jej nadzieję na choćby częściowe wyjście z defensywy. Nie bez znaczenia były też korzyści propagandowe, obliczone przede wszystkim na użytek wewnętrzny, w postaci ukazania Rosji jako mocarstwa o globalnych aspiracjach i możliwościach działania.

W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA

Strategia Federacji Rosyjskiej wobec Bliskiego Wschodu, dotychczas zakładająca stopniowe i długofalowe działania w białych rękawiczkach na rzecz umocnienia swojej roli, w ostatnim czasie uległa gwałtownej zmianie i pewnego rodzaju brutalizacji. Rosjanie zaczęli być coraz bardziej aktywni już nie tylko w Syrii, lecz także w Iraku (formalnie również, aby zwalczać Państwo Islamskie), w Libii, Jemenie i Iranie. Dyplomaci ruszyli także z ofensywą do prawie wszystkich państw Bliskiego Wschodu, działając niemal jawnie przeciwko interesom Amerykanów i ich sojuszników. Można było odnieść wrażenie, iż Rosji wręcz zależy na zwiększeniu chaosu w regionie. I nie jest to wykluczone, bo wbrew pozorom w tym szaleństwie była metoda, prowadząca do osiągnięcia konkretnych celów strategicznych. Bliskowschodnia rozgrywka jest przecież postrzegana w Moskwie jako część szerszej i znacznie poważniejszej geopolitycznej gry prowadzonej

z Zachodem, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi, w skali całego globu.

Rosyjskie operacje na terytorium Bliskiego Wschodu mają zatem co najmniej skomplikować politykę USA oraz głównych graczy europejskich, jeśli nie wręcz całkowicie ją storpedować. Plan władarzy Kremla jest prosty: im gorsza i bardziej skomplikowana jest ogólna sytuacja na Bliskim Wschodzie, tym trudniej będzie Amerykanom i ich sojusznikom ją unormować, tym większe będą nie tylko koszty finansowe i polityczne jakichkolwiek działań stabilizacyjnych, lecz także wyzwania i zagrożenia, choćby w postaci nasilenia się masowych migracji do Europy czy eskalacji islamskiego ekstremizmu. To wszystko daje Moskwie nadzieję, że uwiązany na Bliskim Wschodzie Zachód straci zainteresowanie innymi kierunkami strategicznymi – np. Europą Środkowo-Wschodnią, Zakaukaziem czy Azją Centralną, czyli regionami o żywotnym znaczeniu geopolitycznym dla Rosji.

STRATEGICZNE DŻOKERY

Już w 2015 roku dało się zauważyć, że na Bliskim Wschodzie między Moskwą a Waszyngtonem wytworzył się klarowny schemat podziału wpływów i sojuszy. Rosja wspierała zwłaszcza szytów i inne mniejszości wyznaniowe, blisko współpracując z takimi państwami, jak Iran, Syria i Irak. Z kolei Amerykanie utrzymywali w regionie dotychczasową sieć sojuszy, opartą głównie na arabskich sunnitach z Rady Współpracy Zatoki Perskiej (Gulf



Cooperation Council – GCC), Egiptu i Jordanii. Jednocześnie wspierali sunnickie ruchy rebelianckie w Syrii, a także interweniowali wszędzie tam, gdzie (jak np. w Jemenie) zagrożone były rządy zdominowane przez społeczność sunnicką. Ważną kartą w amerykańskiej talii do gry w regionie niezmiennie pozostawała też wówczas Turcja.

Taki stan panował aż do schyłku 2016 roku, kiedy to okazało się, jak rozległe skutki dla geopolityki Bliskiego Wschodu wywołuje zaangażowanie rosyjskie. To właśnie dzięki niemu doszło do ostatecznego umocnienia pozycji reżimu Al-Asada w Damaszku (mierzonego tysiącami kilometrów kwadratowych terytorium kraju oraz setkami miast i miasteczek, w krótkim czasie odzyskanych przez lojalistów z rąk rebeliantów lub islamistów), dramatycznego resetu w polityce międzynarodowej Ankary (która nagle stała się zagorzałym sojusznikiem Moskwy, znacząco schładzając swe więzi z Zachodem) oraz dalszego zbliżenia Rosji z Iranem i szyickimi władzami Iraku.

Wszystko to sprawiło, że umocniona i bardziej pewna siebie Moskwa mogła pozwolić sobie na coraz więcej, zarówno w wymiarze politycznym, jak i militarnym. Przejawem nowego podejścia do sytuacji w regionie bliskowschodnim było zainicjowanie rozmów pokojowych w Astanie, na które nie zaproszono jako pełnoprawnych uczestników ani przedstawicieli USA, ani żadnego z arabskich sunnickich państw Zatoki wspierających syryjską rebelię. Konferencja pokojowa w kazachskiej stolicy, początkowo bagatelizowana przez Waszyngton i jego regionalnych sojuszników, ostatecznie doprowadziła do daleko idących zmian w sytuacji operacyjnej w konflikcie syryjskim. A uzgodnione w Astanie utworzenie stref deeskalacji na terenie Syrii okazało się elementem, który umożliwił przegrupowanie sił wierznych Damaszkowi i podjęcie przez nie skutecznej ofensywy przeciwko dżihadystom z kalifatu. Latem 2017 roku Kreml mógł pozwolić sobie już nawet na wyartykułowanie pod adresem Amerykanów jawnych gróźb, odnoszących się do operacji powietrznych prowadzonych przez nich nad terytorium Syrii.

Podobne ostrzeżenia, choć wyrażone w mniej ostentacyjny sposób, popłynęły też z Moskwy do Tel Awiwu-Jaffy. Część źródeł

BLISKI WSCHÓD OD LAT NIEZMIEN- NIE POZOSTAJE REGIONEM OGNISKUJĄCYM INTENSYWNE ZAANGAŻOWANIE GLOBALNYCH GRACZY

w regionie twierdzi nawet, że to właśnie Rosjanie ponoszą odpowiedzialność za zdyskredytowanie władz Kataru i skonfliktowanie tego kraju z innymi członkami GCC. Ta misterna operacja propagandowo-medialna znacznie zakłóciła współpracę wspieranej przez Amerykanów koalicji sunnickiej, skutecznie odwracając uwagę jej członków od wydarzeń w Syrii i Lewancie.

LUKRATYWNE KONTRAKTY

Naturalną konsekwencją zwiększającej się systematycznie roli Rosji na całym Bliskim Wschodzie stała się próba wyjścia Moskwy poza wspomniany schemat, ograniczający jej wpływy wyłącznie do społeczności i krajów szyickich. Pozytywnym impulsem do działań w tym kierunku z pewnością okazało się odwrócenie relacji z Turcją, które było jednocześnie jednym z pierwszych etapów nowej dyplomatycznej i strategicznej ofensywy Kremla na Bliskim Wschodzie. Rosjanie podjęli serię działań dyplomatycznych, ekonomicznych i propagandowych, mających otworzyć przed nimi do niedawna jeszcze niedostępne sfery

współpracy z krajami regionu. Po Turcji przyszedł czas na Irak, gdzie dobrym pretekstem stało się zwalczanie kalifatu. Zawarcie wielu branżowych umów dwustronnych, szczególnie dotyczących bezpieczeństwa i współpracy militarnej, otworzyło Rosji dostęp do niebywale chłonnego irackiego rynku uzbrojenia. Kolejny był Egipt, gdzie Rosjanie potwierdzili niedawno – wstępnie zawarty jeszcze w 2015 roku – kontrakt na budowę pierwszej w tym kraju elektrowni atomowej. Później Libia, w której Moskwa jednoznacznie wsparła siły wierne gen. Khalifowi Hifterowi z Tobruku, będącemu w opozycji wobec uznanego przez ONZ i cały Zachód rządu pojednania narodowego z siedzibą w Trypolisie.

Dla potwierdzenia dalszego zbliżenia na linii Ankara–Moskwa, latem 2017 roku obie strony zawarły wiele bilateralnych umów, w tym tę najważniejszą: wstępny kontrakt na zakup przez Turków dwóch rosyjskich baterii systemu OPL typu S-400. Dalsze działania Rosjanie podjęli jesienią tego roku. Na początku października Moskwę odwiedził król Arabii Saudyjskiej Salman ibn Abd al-Aziz as-Saud. Jego kilkudniowy pobyt w stolicy „trzeciego Rzymu”, jak nazywana jest czasem Rosja, zaowocował nie tylko zbliżeniem stanowisk obu mocarstw w wielu kwestiach bliskowschodnich, lecz przede wszystkim zawarciem kilku lukratywnych (głównie dla strony rosyjskiej) kontraktów zbrojeniowych, m.in. na zakup przez Rijad systemów S-400.

BEZIDEOWA ROSJA

Pod koniec października rosyjska delegacja gościła w stolicy Kataru, gdzie także podpisano obszerny pakiet umów o współpracy i kontraktów handlowych na zakup rosyjskiego uzbrojenia, m.in. systemów OPL S-400 i Pancyr-S1. Równolegle Kreml zawarł umowy dotyczące współpracy sektorów energetycznych (wydobycie i transport surowców węglowodorowych) z Kurdyjskim Rządem Regionalnym w Iraku, z Damaszkiem, Ankarą i Teheranem. Kolejne (m.in. z Kairem) mają być w trakcie negocjacji, a ich podpisanie to tylko kwestia czasu.

Tego typu wizyty, umowy i współpraca jeszcze kilka miesięcy temu byłyby po prostu niemożliwe, a w każdym razie mało prawdopodobne. Dzisiaj wyznaczają jednak nowe trendy i standardy rzeczywistości międzynarodowej w regionie bliskowschodnim, w której to Rosja przejawia zdecydowaną największą aktywność i asertywność spośród wszystkich mocarstw globalnych. Co ciekawe, wszystko to dzieje się przy zaskakującej bierności Waszyngtonu i Brukseli, o Paryżu czy Londynie już nie wspominając. Najwidoczniej zachodnie potęgi nie były przygotowane na taki obrót spraw i ponownie dały się zaskoczyć działaniami Moskwy. Z czego wyni-

ka ta rosnąca popularność oraz atrakcyjność Rosji jako partnera politycznego i biznesowego (zwłaszcza w sektorach zbrojeniowym i energetycznym)? Rosjanie nie oferują przecież ani najnowszych technologii, ani najlepszych na rynku warunków kontraktowych. Nie są też znani z wysokiego poziomu kultury biznesu. Nie dysponują również funduszami mogącymi pokryć miliardowe koszty inwestycji w zacofane w większości regiony bliskowschodnie. Kluczem do sukcesu Moskwy jest całkowita bezideowość rosyjskiej strategii.

Rosjanie są przekonani, że na Bliskim Wschodzie są w stanie zaoferować, na zasadach czysto biznesowych, określone korzyści niemal każdemu (oprócz islamskich ekstremistów). Co więcej, są w stanie współpracować praktycznie ze wszystkimi: szyitami, sunnitami, Kurdami, Persami i Arabami. Nie kierują się żadnymi uprzedzeniami lub zaszłościami historycznymi (jak np. Amerykanie wobec Iranu), nie stawiają także żadnych warunków wstępnych ani wymogów ideologiczno-politycznych dla swego zaangażowania i współpracy. Chodzi tu przede wszystkim o konieczność przestrzegania praw człowieka i obywatela (zwłaszcza praw kobiet), standardów demokratycznych i społeczeństwa obywatelskiego. Zrozumiałe zatem, że dla państw bliskowschodnich, z których niemal wszystkie mają mniejsze lub większe problemy w powyższych kwestiach, Rosja z jej bezideową strategią i utylitarystycznym podejściem jawi się jako znacznie atrakcyjniejszy partner niż państwa europejskie (zwłaszcza z UE) czy nawet Stany Zjednoczone, nieustannie podnoszące te problemy w relacjach dwustronnych z krajami regionu. Nie bez znaczenia jest tu zapewne fakt, że i w samej Rosji kwestie przestrzegania praw człowieka i reguł demokracji liberalnej znacząco odbiegają od standardów zachodnich.

W rezultacie takiego obrotu spraw na Bliskim Wschodzie trwa właśnie proces zmiany sojuszy strategicznych i tworzenia się nowego geopolitycznego układu sił. Jego zasadniczym wyznacznikiem staje się większe i zakrojone na szerszą skalę zaangażowanie rosyjskie, z jednoczesnym kurczeniem się wpływów USA i reorientacją polityk wielu głównych regionalnych potęg: Turcji, Arabii Saudyjskiej, Iranu. Rosja – jeszcze do niedawna parias na bliskowschodniej szachownicy – staje się nie tylko głównym graczem w tej części świata, ale też ważnym kreatorem tamtejszej rzeczywistości. Przyszłość pokaże, jakie będą efekty tych zmian dla całego regionu i co wyniknie z rosyjskiego zaangażowania na Bliskim Wschodzie. Już dzisiaj jednak wyraźnie widać, że dzięki niemu Moskwie udało się skutecznie uniknąć międzynarodowej marginalizacji i izolacji, które miały być dla niej karą za agresję na Ukrainę. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Z pól naftowych rozciągających się wokół Kirkuku jest wydobywanych do miliona baryłek ropy dziennie. Złoża te mają istotny wpływ na ekonomię regionu, ale przede wszystkim odciskają piętno na życiu jego mieszkańców.

GORZKA LEKcja DEMOKRACJI

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Kirkuk jest położony 100 km od Irbilu, stolicy irackiego Kurdystanu. Aby do niego dojechać, należy skierować się na obwodnicę Qazi Muhammad, a następnie odbić na prowadzącą na południe autostradę numer dwa. Jeśli ruszy się w tę trasę nocą, po blisko dwóch godzinach jazdy horyzont rozświetli pomarańczowa poświata. Z każdym kolejnym kilometrem ledwo dostrzegalna luna zacznie nabierać na sile, by w końcu rozbłysnąć płomieniem bijącym z dziesiątków szybów naftowych. Chwilę później można poczuć gryzący swąd.

Odwierty stanowią nieodłączny element krajobrazu. Toporne konstrukcje odcinają się od niskiej zabudowy na przedmieściach miasta, od ciągnących się po horyzont równin oraz od poszarpanych, niewysokich skał. Ich nie-pisanym władcą jest Baba Gurgur – co znaczy wieczny ogień – jedno z największych pól naftowych na świecie. To właśnie na tych terenach od tysięcy lat swoją historię tworzyli Asyryjczycy, Żydzi, Kurdowie, Arabowie, wreszcie Turkmeni. Prawdziwą rewolucję przyniósł jednak rok 1927. Po odkryciu złóż liczących miliardy baryłek ropy pojawiły się tu nowoczesne koncerny.

Już w latach pięćdziesiątych XX wieku ze złóż wokół Kirkuku wydobywano od kilkuset tysięcy do miliona baryłek dziennie. Nic zatem dziwnego, że miasto przyciągnęło uwagę nie tylko regionalnych mocarstw. Po obaleniu reżimu Saddama Husajna kontrolę nad polami naftowymi przejął szyicki rząd w Bagdadzie. Latem 2014 roku, w obliczu nacierających bojowników tzw. Państwa Islamskiego, iracka armia jednak uciekła z Kirkuku. Inicjatywę przejęła Peszmerga, która zajęła, a następnie obroniła porzucone miasto. Teraz, kiedy Daesz zostało wyparte z regionu, prawa do Kirkuku i rozciągających się pod nim złóż roszczą sobie nie tylko Kurdowie.

LUPY WOJENNE

Swhan Mahmud Kareem ma nie więcej niż 1,70 m wzrostu. Jego raczej drobne ciało okrywa tradycyjny strój. Surowa tunika i spodnie kontrastują z łagodną twarzą. Mężczyzna ma spojrzenie cierpliwe, spokojne, skoncentrowane na rozmówcy. „Pierwszy raz walczyłem w wieku 14 lat. Ledwo mogłem unieść karabin, ale już wtedy wiedziałem, że muszę walczyć, że nikt inny nam nie pomoże. W czasach Husajna nie mieliśmy żadnych praw, byliśmy dyskryminowani na każdym kroku. Nie było dla nas pracy, nawet nasze dzieci nie mogły nosić kurdyjskich imion. W dokumentach zapisywano, że są Arabami. Nie było mowy o żadnej koegzystencji. Dlatego wypędziliśmy wojska Husajna z miasta. Ludzie z niedowierzaniem wyszli świętować na ulice, ale radość nie trwała długo. Armia Saddama wróciła i odbiła Kirkuk. Dwóch moich





kuzynów zginęło w trakcie walk, jeden w wyniku ostrzału z samolotu. Rodzina jego matki została spalona żywcem w trakcie operacji »Al-Anfal«, w głosie Swhana nie słysząc emocji. Tylko nieustanne pocieranie dłonią o dłoń zdradza, że wciąż przeżywa wydarzenia sprzed lat.

Al-Anfal w języku arabskim oznacza łupy wojenne. Zgodnie z ogłoszonym rozporządzeniem iraccy żołnierze mieli prawo przejmować od Kurdów broń, trzodę oraz kobiety. W ciągu kilku miesięcy z dymem puszczone ponad 4 tys. wiosek i zabito od 50 do 100 tys. Kurdów. Nikt nie zna dokładnej liczby ofiar, ponieważ reżim Saddama starannie zacierał ślady. Z całą pewnością wiadomo jednak, że użyto broni chemicznej kilku typów. Ta pachnąca jabłkami porażała układ oddechowy, a ta o aromacie czosnku powodowała wewnętrzne śmiertelne oparzenia.

„W 2003 roku znowu sięgnąłem po broń, tym razem po stronie Amerykanów. Byłem szczęśliwy po obaleniu reżimu Husajna, chociaż wywołało ono wiele strasznych konsekwencji. Pojawili się Ansar al-Islam, gotowi na śmierć ekstremiści, którzy nie rzucali broni jak iracka armia. Nie brali również jeńców, tylko od razu ściinali głowy”. Była to ostatnia wojna, w której Swhan brał

czynny udział. Po ustabilizowaniu autonomii irackiego Kurdystanu zaangażował się w walkę polityczną.

Zgodnie z powołaną w 2005 roku iracką konstytucją Kirkuk został określony jako terytorium sporne. Jego ostateczną przynależność miało rozstrzygnąć referendum, które rząd zobowiązał się zorganizować do końca 2007 roku. Ostatecznie głosowanie odbyło się dziesięć lat później, w ramach referendum niepodległościowego ogłoszonego przez władze Rządu Regionalnego Kurdystanu. Uznano je za nielegalne i niespełna miesiąc później Bagdad siłą przejął kontrolę nad miastem.

Cieżko jednoznacznie określić demografię Kirkuku. W skład ponadśmiusettyśięcnej społeczności wchodzi Kurdowie, Arabowie, Turkmeni oraz Asyryjczycy. Układ sił zmienia się w zależności od polityki rządu sprawującego władzę nad miastem. Można założyć, że teraz około 45% mieszkańców stanowią Kurdowie, ale wiele dzielnic pozostaje pod silnymi wpływami Turkmenów i Arabów. Nie wszystkim taki stan rzeczy odpowiada i dochodzi do tarć. Zdarzają się strzelaniny, zamachy, czasem ktoś zginie.

„Nie traktujemy tych incydentów osobiście. To niestety normalna rzecz, która zawsze towarzyszy takim pro-



Imam Aziz Muhammed Rachman został siłą wcielony do armii Saddama Husajna. Jak sam mówi, przez udział w dwóch wojnach oraz doświadczeniu przesładowań, odnalazł w sobie Boga. Teraz naucza dzieci, jak żyć w pokoju.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



Siedziba Frontu Turkmeńskiego w Kirkuku została ostrzelana przez bojówki wrożej frakcji.



Baszkan Kasim Kazani w irackim rządzie widzi sojusznika.

cesom. Turkmeni i Arabowie są częścią Kirkuku i po przyłączeniu tego miasta do Kurdystanu w konstytucji będą mieli zapisane takie same prawa jak obywatele kurdyjscy. To będzie demokratyczny kraj. Będą wolni”, mówi Swhan. W tym momencie do pomieszczenia wchodzi jego syn, który w milczeniu rozlewa kolejną porcję soku pomarańczowego. Swhan ma jeszcze trzy córki. Oraz broń i kilka magazynków. Podkreśla, że w każdej chwili jest gotowy wziąć ją do ręki: „Nie chcemy wystrzelić ani jednego naboju i mamy nadzieję, że nie będziemy musieli. Jeżeli sąsiedzi pozwolą nam żyć zgodnie z naszą kulturą, nie będzie takiej potrzeby. Jeśli jednak coś zagrazi mojej rodzinie, zrobię to bez wahania”.

ZMĘCZENI PRZEMOCĄ

Ubrany w moro, kamizelkę i czarną kominiarkę bojownik ręką wskazuje na dziury po kulach. Serie po szybach szły niemal równomiernie, przebijając je na wylot. Dalej cięty rozwieszone w holu flagi i kończyły lot w po-

malowanej błękitną farbą ścianie. W okazałym, dwukondygnacyjnym budynku jest to dominujący kolor. Wyraźnie kontrastuje z wysokim na kilka metrów betonowym murem ustawionym przed frontem i szwędającymi się wszędzie ludźmi z bronią automatyczną, ale nikt nie zgłasza żadnych zastrzeżeń. W końcu takie są barwy Irackiego Frontu Turkmeńskiego.

„Nocą dwa dni temu pod nasz budynek przyjechały samochody, z których nas ostrzelano. Kazałem swoim ludziom położyć się na ziemi i nie odpowiadać ogniem. Gdybym ich nie powstrzymał, mogłoby wydarzyć się coś złego. Jeżeli takie rzeczy będą się powtarzać i ktoś w końcu odpowie ogniem, źle to się skończy. Machanie flagami i śpiewanie w ramach protestu to nie problem. To jest demokracja. Jednak strzelanie do kogo popadnie nie jest w porządku”, mówi niemal płynną angielszczyzną Baszkan Kasim Kazani, przedstawiciel lokalnego ramienia Irackiego Frontu Turkmeńskiego.



CIEŻKO JEDNOZNACZNIE OKREŚLIĆ DEMOGRAFIĘ KIRKUKU.

W JEJ SKŁAD WCHODZĄ KURDOWIE, ARABOWIE, TURKMENI ORAZ ASYRYJCZYCY. UKŁAD SIĘ ZMIENIA SIĘ W ZALEŻNOŚCI OD POLITYKI RZĄDU SPRAWUJĄCEGO WŁADZĘ NAD MIASTEM

Szacuje się, że Turkmeni stanowią około 18% lokalnej populacji. W porównaniu do Kurdów są w zdecydowanej mniejszości, ale ich ambicje sięgają daleko poza Kirkuk. Terytorium, do którego roszczą sobie prawo, rozciąga się od Tuz Churmatu po Mosul. W lipcu 2017 roku przedstawiciele Irackiego Frontu Turkmńskiego zaproponowali powołanie autonomii oraz nadanie Kirkukowi specjalnego statusu, który pozwoliłby ugruntować ich pozycję. Nic nie wskazuje na to, by iracki rząd przymierzał się do realizacji tego pomysłu, ale Bagdad na pewno ma na uwadze fakt, że Turkmeni dysponują siłą mogącą zamieszać w regionie. Kilkanaście tysięcy wyszkolonych przez tureckie siły specjalne bojowników dowiodło już swojej wartości podczas walki z tzw. Państwem Islamskim. Część z nich tworzy brygady wewnątrz Al-Haszd asz-Szabi, zyskującej coraz większe wpływy szyickiej milicji.

„Od lat przelewa się tu krew. Wiele naszej młodzieży zginęło w wojnie z Iranem oraz Kuwejtem. Gdy obalono Saddama Husajna, byliśmy szczęśliwi, że nareszcie będziemy żyć razem, cieszyć się wolnością i pokojem. Jest mi bardzo przykro, ponieważ miejscowe partie nie chcą słuchać ludzi. A oni są już zmęczeni przemocą”. Baszkan Kasim Kazani podkreśla, że mieszkańcy Kirkuku, niezależnie od pochodzenia etnicznego, żyją ze sobą dobrze. Problemem mają być politycy, którzy za pomocą dziesiątek mniejszych partii realizują obce interesy. Miejscowi uważają, że robią to również władze Rządu Regionalnego Kurdystanu. „W irackim Kurdystanie panuje kryzys ekonomiczny. Kurdowie nie są w stanie sprawnie rządzić swoim terytorium, a jeszcze wypychają do tego Kirkuk. Nie mówię, że sytuacja w Bagdadzie jest dobra. Mają tam wiele problemów, ale przynajmniej zapewniają wypłaty”. Baszkan Kasim Kazani zaznacza, że mimo obecnej sytuacji na ulicach Kirkuku nie ma sporów między mieszkańcami. Zapytany jednak o to, czy go zastraszano, stwierdza, że w tym mieście nie żyje się dobrze. Ludzie nie czują się bezpiecznie.

UCZĘ ICH POKOJU

Wokół imama zebrała się pokaźna grupa dzieci, a oko nie starszych niż dziesięcioletnie. On uśmiecha się do nich, słucha, wreszcie zwraca się do każdego z osobna i do wszystkich jednocześnie. W chwili, w której dostrzega obcych, zsuwa z nosa druciane okulary i zadzie-

ra głowę do góry. Zgadza się na rozmowę, nie opuszcza jednak przy tym swoich podopiecznych. Dzieci rozsiadają się wokół i słuchają. Po przepełnionych wyczekiwaniem buziach widać, że nie przepuszczą ani jednego słowa.

„Uczę ich pokoju. Że nie można zabijać i krzywdzić zwierząt. Uczę ich także właściwej interpretacji Koranu, tak by podążali zgodnie z duchem islamu oraz wiedzieli, co jest dobre, a co złe. Im są starsi, tym bardziej staram się pokazać im pięk-

no tej religii. Chcę oddalić ich od przemocy tak daleko, jak to tylko możliwe”.

Jako Kurd, imam Aziz Muhammed Rachman widział wiele przemocy. W wieku 24 lat został siłą wcielony do armii Saddama Husajna. Gdyby odmówił, zostałby zabity, a jego rodzinę spotkałyby jeszcze większe represje. W ciągu 16 lat służby walczył w wojnach iracko-irańskiej oraz iracko-kurdyjskiej. Przyznaje, że pod groźbą śmierci był zmuszony walczyć ze swoimi braćmi. Po odbytej służbie ostatecznie i tak kazano mu opuścić Kirkuk. Za to, że był Kurdem.

Aziz Muhammed Rachman wspomina, jak na początku lat dziewięćdziesiątych przez przebitą oponę jego samochód zablokował jeden pas ruchu. Na nic zdał się status weterana, za swoje „przewinienie” trafił na 15 dni do więzienia. Wkrótce reżim odebrał mu 12-letniego syna. Chłopcu dano mundur, broń i zrobiono z niego żołnierza. Imam się obawiał, że podobny los spotka resztę jego rodziny, że partia Baas upomni się o jego żonę i pozostałe dzieci. Musieli się ukrywać. Po obaleniu Saddama Husajna Aziz Muhammed Rachman odnalazł w sobie powołanie. Został imamem i zaczął nauczać dzieci islamu. Jak sam twierdzi, lata opresji zbliżyły go do Boga.

„Na piątkową modlitwę przychodzi ponad tysiąc osób. W Kirkuku jest około 150 meczetów i kilka chrześcijańskich kościołów. Wspólnota sunnickich muzułmanów jest tutaj największa, ale wszystkich traktujemy jak braci i inni robią to samo. Religia jest po to, by ludzi łączyć. W mojej rodzinie są Turkmeni i Arabowie. Dogadujemy się, żyjemy w zgodzie. Problemy w Kirkuku mają trochę polityczne”.

Dzieci w milczeniu chłoną słowa imama, raz za razem wodząc wzrokiem między swoim nauczycielem a grupą obcych. Wieczorem wrócą do domów wybudowanych w różnych dzielnicach Kirkuku. Kurdowie do kurdyjskich, Turkmeni do turkmeńskich, a Arabowie do arabskich. Tak jak robili to ich rodzice, a wcześniej dziadkowie. ■



**Radosnych Świąt Bożego Narodzenia,
wszelkiej pomyślności
oraz dalszej owocnej współpracy
w nadchodzącym 2018 Roku**



KONGSBERG



ROBERT SENDEK

Nowa era sułtanów

Media trąbią, że Turcja wraca na Bałkany. Jednym ze znaków tego powrotu była październikowa wizyta Recepa Tayyipa Erdoğan w Belgradzie.

Fakt, że do Belgradu wchodziło się przez Bramę Sambijską, do Stambułu zaś przez Bramę Belgradzką, jest znakiem tego poczucia sąsiedzkości, które – choć nasze kraje nie graniczą ze sobą – wynika z przeszłości i biegnie ku przyszłości”, napisał prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan w artykule opublikowanym przez belgradzki dziennik „Politika”. Tekst ukazał się 9 października, w dniu przybycia Erdoğan z oficjalną wizytą do Serbii.

CHLEBEM, SOLĄ I ŚPIEWEM

Tureckiego prezydenta przyjęto w Serbii po królewsku: na lotnisku witał go prezydent Aleksandar Vučić, pojawili się premier Ana Brnabić oraz ministrowie serbskiego rządu. Były honory, poczty sztandarowe i orkiestra. Vučić i Erdoğan nie szczędzili sobie uprzejmości, zwracali się do siebie per „przyjacielu”. Tureckiego prezydenta gorąco witały prawdziwe tłumy, gdy drugiego dnia wraz z Vučićem udał się do miasta Novi Pazar na południu Serbii, zdominowanego przez mniejszość muzułmańską. Powitanie było gorące, zebrani skandowali: „Sułtan Erdoğan”.

Obrazu życzliwego powitania w Serbii tureckiego prezydenta dopełnić może scenka z uroczystej kolacji wydanej dla dyplomatów. Za mikrofon chwycił wówczas serbski minister spraw zagranicznych Ivica Dačić, znany z występów artystycznych. Przed zgromadzonymi dyplomatami zaśpiewał popularną na Bałkanach piosenkę „Osman Ağa”. Po turecku, żeby gościowi było miło. Wprawdzie posypały się złośliwe komentarze, że to nie przystoi, aby szef resortu spraw zagranicznych umizgiwał się do gościa siedzącego za stołem, ale Dačić się tym nie przejął. Najważniejsze bowiem są interesy. A tych jest sporo, bo współpraca oznacza duże korzyści dla obu stron. Serbom zależy przede wszystkim na tureckich inwestycjach, za którymi idzie tworzenie nowych miejsc pracy. Dla Turków kwestie ekonomiczne są ważne, pozwalają bowiem na zdobycie nowych rynków, równie jednak istotne są ambicje polityczne obecnej administracji tureckiej.

NIE TYLKO SERIALE

Półwysep Bałkański, niegdyś posiadłość imperium osmańskiego, którego spadkobiercą jest dzisiejsza Republika Turcji, to region



Tureckiego prezydenta przyjęto w Serbii po królewsku. Na zdjęciu powyżej: prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan z małżonką i prezydent Serbii Aleksandar Vučić.

Gość odwiedził duchownych z meczetu Bajrakli – jedyne w Belgradzie, stolicy Serbii. Został on zbudowany w XVI wieku za panowania imperium osmańskiego.



MIESZKAŃCY NOVEGO PAZARU, NA POŁUDNIU SERBII, OKRZYKNĘLI TU- RECKIEGO PREZY- DENTA SUŁTANEM



o dużej wadze geopolitycznej. Właściwie od zawsze był terenem rywalizacji między Zachodem a Wschodem. Teraz do grona głównych rozgrywających na tym terytorium próbuje wrócić Ankara. Tamtejsze władze mają możliwości, środki i jasną wizję tego, co należy zrobić. Wspierają tureckie inwestycje za granicą, w tym właśnie na Bałkanach, które – choćby ze względu na bliskość geograficzną – wydają się dla firm naturalnym terenem ekspansji. Rozkwit tureckiej gospodarki na nią pozwala, to zaś przekłada się na zwiększenie wpływów politycznych w regionie.

Rośnie również turecka „soft power”. Stało się tak dzięki projektom gospodarczym Ankary, ale nie bez znaczenia były także liczne inicjatywy kulturalne. I nie chodzi tu o seriale, namiętnie oglądane na całych Bałkanach, choć one również pomagają budować pozytywny image Turcji, ale o stypendia, kursy języka, ośrodki kulturalne, a wreszcie pieniądze na renowację zabytków z czasów osmańskich. Stambulski ekonomista oraz komentator polityczny Atilla Yeşilada w wypowiedziach dotyczących tureckiej ofensywy dyplomatycznej na Bałkanach nazywa to powrotem mocarstwa na teren byłych kolonii. Takie ujęcie z pewnością mało komu w regionie będzie się podobać, prawdą jest jednak, że w ostatnim czasie oferta turecka znajduje tam zaskakująco dobre przyjęcie. Nawet w krajach, w których zaszłości historyczne i antytureckie uprzedzenia są silne, jak w Bułgarii, władze poważnie biorą pod uwagę głos Ankary i zbiegają o dobre z nią stosunki.

Październikowa wizyta Erdoğana w Belgradzie oceniana jest w związku z tym jako ważny krok w procesie

powrotu Turcji na Bałkany. Głównym punktem wizyty było podpisanie całego pakietu dwustronnych umów, dotyczących współpracy w wielu gałęziach gospodarki. Mówiono o inwestycjach w infrastrukturę komunikacyjną (ze wskazaniem trasy Belgrad–Sarajewo, której budowę mają współfinansować tureckie banki) oraz otwieraniu nowych zakładów – nie bez powodu wraz z Erdoğanem do Serbii przyjechało ok. 200 przedsiębiorców. Podpisane zostało poszerzone porozumienie dotyczące wolnego handlu między Serbią i Turcją, ogłoszono także deklarację o utworzeniu rady do spraw wzajemnej współpracy.

ŚLADAMI HISTORII

Prezydent Recep Tayyip Erdoğan ma wielu przeciwników i krytyków, zarówno w kraju, jak i za granicą. Oskarża się go o ciągoty autorytarne, tłumienie wolności słowa oraz łamanie praw człowieka. Uważa się także, że pod jego przywództwem Turcja zaczęła odchodzić od świeckości, będącej dotychczas jednym z fundamentów ustroju państwa. Erdoğan często i chętnie odwołuje się do imperialnej przeszłości swego kraju. Swoistym znakiem czasu są hucznie obchodzone jako uroczystości państwowe rocznice dawnych zwycięskich bitew. Szczególne miejsce zajmują świętowane pod koniec maja rocznice zdobycia Konstantynopola, natomiast w sierpniu bardzo uroczysto obchodzono 946. rocznicę bitwy pod Mantzikertem (w 1071 roku), kiedy to wojska tureckie pokonały armię cesarza bizantyjskiego, jego samego zaś schwytały w niewolę. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Nowego Pazaru nadali Erdoğanowi miano sułtana.



PODCZAS WIZYTY ERDOĞANA W BELGRADZIE SERBOWIE POMINĘLI TEMATY KONTROWERSYJNE, MIĘDZY INNymi PROBLEM KOSOWA

Ze względu na osmański sentyment oraz aspiracje polityczne turecki prezydent często jest tak nazywany.

ŻADNYCH KONTROWERSJI

Podczas wizyty Erdoğan w Belgradzie Serbowie pominęli tematy kontrowersyjne, oprócz punktów wspólnych istnieją bowiem także kwestie mocno różniące Belgrad i Ankarę. Jednym z nich jest problem Kosowa. Tak się składa, że Turcja była jednym z pierwszych państw, które uznały niepodległość tej byłej jugosłowiańskiej prowincji. Ma także wspierać plan przyjęcia Kosowa do UNESCO, czemu Serbowie są przeciwni. Dziennikarze przypomnieli także kontrowersyjną wypowiedź Erdoğan z października 2013 roku. Wówczas, jeszcze jako premier, powiedział podczas oficjalnej wizyty w Prisztinie, że Kosowo to jego druga ojczyzna, po czym dodał: „Turcja to Kosowo, a Kosowo to Turcja”. Słowa te tak oburzyły Serbów, że Vučić, który wówczas również był premierem, domagał się od Erdoğan przeprosin.

W ciągu ostatnich lat Turcja faktycznie wyrosła na jednego z najważniejszych partnerów gospodarczych Kosowa. Wyrazem tego są wspólne projekty oraz rosnące zaangażowanie firm tureckich w gospodarkę kraju. Mówi się m.in. o pomocy Ankarę w budowie trasy Prisztina–Skopje oraz inwestycjach w kosowskie górnictwo. Turecka firma Limak–Çalik stała się niedawno właścicielem kosowskiej sieci dystrybucji energii, a nowy terminal na lotnisku w Prisztinie wybudowało francusko-tureckie konsorcjum Limak–Aéroports de Lyon.

ZMYŚLONE SAMOLOTY

Kontakty Prisztiny z Ankarą wykraczają zresztą poza kwestie gospodarcze i obejmują m.in. współpracę wojskową. Jakiś czas temu Turcy przekazali Kosowskim Siłom Bezpieczeństwa (KSB) ok. 20 pojazdów opancerzonych Otokar Cobra, przyjęli także do swych uczelni wojskowych kilkunastu kosowskich oficerów. Oczywiście nie umknęło to uwadze serbskich dziennikarzy, którzy straszą, że Turcja może poprzeć forsowany przez kosowskich polityków plan utworzenia własnej armii w miejsce ist-

niejących obecnie sił reagowania. Wyrazem tych lęków był materiał zamieszczony w połowie lutego na portalu Srbija Danas. Zostały w nim przywołane opinie serbskich speców od bezpieczeństwa, którzy twierdzili, że Turcy planują przekazać władzom Kosowa samoloty bojowe F-16 oraz czołgi, najpewniej za pośrednictwem Albanii.

Rewelacje te odbiły się echem w prasie regionu, zrobawieniem i wyraźną satysfakcją cytowały je potem także media kosowskie. Całą tę historię należy jednak uznać za fake news, ponieważ na razie nie ma mowy o tym, by kosowscy Albańczycy mogli w najbliższym czasie od kogośkolwiek, łącznie z Turcją, otrzymać ciężki sprzęt wojskowy. Zakazują im tego obecny statut KSB oraz międzynarodowe umowy.

BOŚNIA W SPADKU

Naturalnym dla Ankary punktem oparcia w dążeniu do zwiększenia wpływów na Bałkanach jest Bośnia i Hercegowina, już teraz mocno uzależniona od tureckich inwestycji. Wzrostowi wpływów politycznych sprzyja fakt, że część tamtejszej ludności, przynajmniej ta wyznająca islam, żywi względem Turcji prawdziwą sympatię. Nieskrywany podziw okazuje Erdoğanowi Bakir Izetbegović, jeden z członków trzyosobowego prezydium, pełniącego w BiH funkcję głowy państwa. W połowie października powiedział nawet, że jego ojciec, Alija Izetbegović, uważany za twórcę państwowości bośniackiej, w swoistym spadku tuż przed swą śmiercią powierzył Erdoğanowi troskę o Bośnię i Hercegowinę.

W kraju, którego część mieszkańców panowanie tureckie uznaje za ponury okres w historii, takie wypowiedzi nie służą budowaniu wspólnoty. Sam Izetbegović ma z Erdoğanem kontakty osobiste, był na przykład na weselu jego młodszej córki. Niewykluczone zatem, że tymi bliskimi kontaktami można tłumaczyć fakt, iż turecka państwowa telewizja wyprodukowała ostatnio sześcioczęściowy serial, poświęcony życiu i działalności Izetbegovicia starszego, pod wiele mówiącym tytułem „Alija”. Podobno tę produkcję zrealizowano z bezpośrednim poparciem politycznym samego Erdoğan.

Obu wypadków udało się uniknąć, gdyby załogi były dobrze wyszkolone. Tak wskazują raporty US Navy i Government Accountability Office.

MACIEJ HYPŚ

KURS NA REFORMY

Amerykańska marynarka wojenna musi zmienić nie tylko system szkolenia, lecz także cały sposób jej funkcjonowania.

Niszczyciel typu Arleigh Burke USS „Fitzgerald” 17 czerwca 2017 roku zderzył się z filipińskim kontenerowcem. W wyniku wypadku siedmiu marynarzy zginęło, a okręt czeka długo-trwały, kosztowny remont. 21 sierpnia USS „John S. McCain” zderzył się z liberyjskim zbiornikowcem. Zginęło dziesięciu marynarzy.

ZDERZENIE Z NIEKOMPETENCJĄ

Dowódcy obu jednostek, kilku innych oficerów z załogi oraz ich przełożonych straciło stanowiska lub z własnej inicjatywy zrezygnowało z zajmowanych stanowisk. Dotyczy to nawet dowódcy Floty Pacyfiku, który przeszedł w stan spoczynku. Jak wykazują dwa raporty sporządzone niezależnie od siebie przez Government Accountability Office (GAO, amerykański

odpowiednik Najwyższej Izby Kontroli) oraz US Navy, wymiana kadr jednak nie wystarczy, aby zapobiec podobnym wypadkom.

Kiedy oficerowie „Fitzgeralda” o godzinie 1.00 w nocy 17 czerwca, czyli dzień po wyjściu z Yokosuki, stali na mostku, błędnie ocenili odległość do kontenerowca „Crystal”. Dowódca okrętu był wtedy w swojej kajucie. Tuż przed zderzeniem dwa inne statki przeszły blisko „Fitzgeralda”, ale dowodzący nie zmienili kursu, a następnie wzięli światła „Crystala” za jeden ze statków znajdujących się w dalszej odległości. Gdy się zorientowali, że popełnili błąd, było już za późno na unik. Według raportu marynarki, przyczyną kolizji było niewłaściwe manewrowanie okrętem, nienadanie przez syreny okrętowe sygnału o niebezpieczeństwie i niepodjęcie próby skontaktowania się z „Crystalem”.



Według adm. Johna Richardсона, szefa operacji morskich, systemowe zmiany w całej amerykańskiej marynarce wojennej to koszt 400–500 mln dolarów w ciągu pięciu lat.



**NISZCZYCIEL RAKIETO-
WY TYPU ARLEIGH
BURKE USS JOHN S.
MC CAIN ZOSTAŁ ZA-
ŁADOWANY NA CIĘŻKI
TRANSPORTOWIEC
MV TREASURE, ŻEBY
PRZETRANSPORTO-
WAĆ GO DO NAPRAWY**



Kiedy 21 sierpnia o 5.30 nad ranem USS „John S. McCain” zbliżał się do cieśniny Malakka, dowódca i pierwszy oficer znajdowali się na mostku. Dowódca zauważył, że sternik ma problem z jednoczesnym utrzymywaniem kursu i sterowaniem silnikami, więc do tego drugiego zadania wyznaczył dodatkowego marynarza. W ten sposób kapitan nieopatrznie przekazał faktyczne kierowanie okrętem marynarzowi odpowiadającemu za kierowanie pracą silników. Sternik utracił kontrolę nad jednostką, gdy nierównomiernie pracujące śruby napędowe spowodowały zwrot w lewo. Zanim udało się ponownie zsynchronizować pracę obu silników, minęła co najmniej minuta i amerykański okręt przeciął drogę zbiornikowca „Alnic MC”. Załoga ani jednej, ani drugiej jednostki nie podjęła próby kontaktu i nie użyła syren okrętowych.

MAŁO PIENIĘDZY, DUŻO OBOWIĄZKÓW

Jak wskazują raporty GAO i US Navy, udałooby się uniknąć obu wypadków, gdyby załogi były dobrze wyszkolone. Z powodu ciągnących się latami ograniczeń budżetowych, a także rosnącego napięcia międzynarodowego w rejonie Pacyfiku i niedostatecznej liczby okrętów w służbie amerykańska marynarka wojenna ma jednak duże problemy z utrzymaniem należytego poziomu wyszkolenia.

Certyfikaty są wydawane na określony czas i poświadczają, że załoga danego okrętu w wystarczającym stopniu opanowała takie dziedziny, jak żeglowność ogólna, zwalczanie celów przeciwnolotniczych, obronę przeciwrakietową, walkę elektroniczną, walkę z pożarami i inne. Na „Fitzgeraldzie” wszystkie certyfikaty, czyli dziesięć, wyszkolenia załogi były nieaktualne, a na USS „John S.

McCain” te dokumenty wygasły w sześciu dziedzinach. Chociaż obsady obu okrętów przedstawiały poziom wyszkolenia poniżej średniej w całej Flocie Pacyfiku, to jednocześnie podkreślono, że współczynnik przeterminowanych certyfikatów wyszkolenia dla załóg niszczycieli i krążowników stacjonujących w Japonii w latach 2015–2017 wzrósł z 7% do 37%. W dodatku aż 73% miało przeterminowane certyfikaty z żeglarstwa.

Tak złe wyniki są efektem strategii przyjętej przez US Navy, która stara się utrzymywać jak najwięcej okrętów w wysuniętych bazach na całym świecie, dzięki czemu nie muszą one za każdym razem pokonywać oceanu i tym samym mogą szybciej i na dłużej pojawiać się w rejonach operacyjnych. Dłuższy okres przebywania na morzu na misjach bojowych czy operacjach demonstrujących wolność żeglugi (np. na Morzu Południowochińskim) sprawia jednak, że zostaje mniej czasu na szkolenia oraz na naprawy okrętów w portach. W swoim raporcie GAO stwierdziło, że okręty stacjonujące w Japonii nie miały szkoleń w swoich harmonogramach. Poszczególne części treningów upychano po trochu w każdej wolnej chwili, ale to nie wystarczy, żeby utrzymać właściwy poziom gotowości.

Adm. Phil Davidson, stojący na czele Dowództwa Sił Morskich (United States Fleet Forces Command – USFLTFORCOM), stwierdził, że US Navy nie dysponuje wystarczającą liczbą okrętów, żeby zgodnie z życzeniami szefów poszczególnych dowództw bojowych o każdej porze wysyłać je w dowolny rejon świata. I chociaż nowe lotniskowce, okręty podwodne i niszczyciele są w różnych fazach budowy lub projektowania, rosnące koszty nie pozwalają marynarce na zakup ich odpowiedniej liczby.



Adm. Phil Davidson stojący na czele Dowództwa Sił Morskich stwierdził, że US Navy nie dysponuje wystarczającą liczbą okrętów, żeby zgodnie z życzeniami szefów poszczególnych dowództw bojowych o każdej porze wysłać je w dowolny rejon świata.

Dowódcy muszą wybierać między remontami i modernizacją już posiadanych jednostek a zakupem nowych. Sprawę komplikują sytuacja polityczna w USA i problemy z terminowym uchwalaniem budżetu sił zbrojnych, a bez tego środki finansowe można kierować jedynie na projekty już rozpoczęte.

RECEPTA NA SZKOLENIE

Nie wystarczy ukarać winnych dwóch wypadków, by odwrócić tę niekorzystną tendencję. Konieczne są systemowe zmiany w całej amerykańskiej marynarce wojennej. Według adm. Johna Richardсона, szefa operacji morskich, będzie to kosztowało 400–500 mln dolarów w ciągu pięciu lat. Adm. Davidson stwierdził, że zgodnie z wszelkimi regulaminami US Navy załoga każdego okrętu może być poddana 238 inspekcjom, certyfikacjom, ocenom i wizytacjom, z których każda zabiera czas możliwy do wykorzystania na szkolenie. W ocenie admirała wiele z nich jest niepotrzebnych i należałoby je zlikwidować, a te konieczne powinny dostarczać załogom bardziej użytecznych informacji.

Problemy ze szkoleniem marynarzy nie ujawniły się dopiero po wypadkach okrętów. Dlatego już od 2015 roku US Navy wprowadza nowy model optymalizacji zarządzania okrętami, który docelowo ma być wykonywany na zasadzie 36-miesięcznej rotacji. Gdy załoga będzie przechodziła szkolenie i zostanie poddana ocenie,

okręt zostanie przekazany do prac stoczniowych. Całość zakończy ośmiomiesięczna służba w linii w USA lub wysuniętej bazie. W nowym modelu czas przebywania w porcie zwiększy się z 49% do 68%. Ma to zapewnić lepsze wyszkolenie oraz rozwiązać problemy z naprawami okrętów i niedoborem marynarzy. Ze względu na szybkie tempo operacji wprowadzenie tych zmian do 7 Floty, w której służy 20 tys. marynarzy na 50–70 okrętach, jest skomplikowane.

Duża aktywność okrętów prowadziła do towarzyszenia ponadnormatywnych wacht, co skutkowało przemęczeniem dowódców i marynarzy. Na jednostkach podwodnych zostały one zakazane dwa lata temu. Teraz na okrętach nawodnych tydzień służby zostanie ograniczony do maksymalnie stu godzin. Dodatkowo harmonogram wacht będzie dostosowany do rytmu doby – trzy godziny wachty i dziewięć godzin pozostanie, co pozwoli na dłuższy sen załogi.

Marynarka kupi też większą liczbę symulatorów w celu zintensyfikowania treningu oraz zmodernizuje radary, żeby można było efektywniej obserwować pobliskie jednostki pływające. Oprócz tego amerykańskie okręty będą teraz używały automatycznego systemu identyfikacji AIS (odpowiednik lotniczych transponderów), czyli urządzeń przekazujących informacje o pozycji statku do innych jednostek. Dotychczas te przyrządy wyłączano – mimo że były zamontowane – żeby nie ułatwiać śledzenia amerykańskich jednostek okrętom innych państw, na przykład Chinom. Inne środki zaradcze to wprowadzenie standaryzowanych procedur postępowania załogi wachtowej na mostku pod nieobecność kapitana, nowy system raportowania o dużych awariach sprzętu, wzorowany na flocie okrętów podwodnych system anonimowego raportowania o sytuacjach niebezpiecznych oraz obowiązek osobistego obserwowania statków będących w odległości mniejszej niż 2,5 Mm od amerykańskiego okrętu.

W najbliższych latach przekonamy się, czy te środki przyniosą efekty. W ostatecznym rozrachunku papier przyjmie wszystko; można tworzyć wymagania, harmonogramy, plany i strategię, ale na końcu wszystko zależy od poszczególnych marynarzy, którzy sumiennie lub niewłaściwie wykonują swoje obowiązki. ■

MACIEJ HYPŚ jest publicystą portalu Konflikty.pl.



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96

tel.: 261 851 300; faks: 261 851 313

www.itwl.pl

e-mail: poczta@itwl.pl

ZINTEGROWANY SYSTEM INFORMATYCZNY WSPIERAJĄCY ZARZĄDZANIE LOTNICTWEM SIŁ ZBROJNYCH RP



Analiza i ocena stanu bezpieczeństwa lotów

Ocena efektywności szkolenia lotniczego

Zarządzanie ryzykiem w lotnictwie

Monitorowanie działalności profilaktycznej



SI TURAWA umożliwia zintegrowane zarządzanie systemem bezpieczeństwa lotów

TADEUSZ
WRÓBEL

Cień dawnej potęgi

Kilkanaście państw udzieliło wsparcia Argentynie w poszukiwaniach zaginionego okrętu podwodnego ARA „San Juan” z 44 osobami na pokładzie, w tym z pierwszą w Ameryce Południowej kobietą podwodniakiem ppor. Elianą Marią Krawczyk. Ostatni kontakt z jednostką, która wyszła z bazy morskiej Ushuaia w Ziemi Ognistej na południu kraju, był 15 listopada o godzinie 7.30 czasu lokalnego. Wówczas dowódca okrętu kmdr por. Pedro Martín Fernández zameldował o problemach z bateriami. Usłyszał rozkaz przerwania misji i powrotu do bazy Mar del Plata, ale „San Juan” zniknął na południowym Atlantyku. Jeżeli uszkodzona jednostka zdołałaby się utrzymać na powierzchni, to na pokładzie była żywność na 30 dni. Jeśli jednak okręt osiądzie na dnie, tlenu wystarcza marynarzom tylko na siedem dni.

Trudno określić przyczyny tego zdarzenia, gdyż zbudowany w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku „San Juan” przed kilkoma laty przeszedł gruntowny remont. Co więcej, był jednym z dwóch najnowszych okrętów podwodnych w marynarce wojennej Argentyny, która jest cieniem dawnej potęgi, choć na początku lat czterdziestych plasowała się na ósmym miejscu pod względem potencjału na świecie.

Jednak powtarzające się kryzysy finansowe w państwie spowodowały, że flota, tak jak całe argentyńskie siły zbrojne, jest niedoinwestowana. Nie bez wpływu na ten stan była przegrana w 1982 roku wojna z Wielką Brytanią o Falklandy. Od tego czasu Londyn mocno naciska na różne kraje, zwłaszcza z NATO, by nie sprzedawali Argentyńczykom nowoczesnego uzbrojenia.

Z tych powodów załamał się program modernizacji ich floty podwodnej. „San Juan” i jego bliźniak „Santa Cruz”, które zbudowano w Republice Federalnej Niemiec, miały mieć jeszcze czterech „braci” powstałych w argentyńskiej stoczni. Naciskani przez Brytyjczyków Niemcy nie kwapili się do współpracy. Ta sytuacja i brak pieniędzy spowodowały, że rozpoczęto budowę tylko dwóch jednostek, „Santa Fe” i „Santiago del Estero”, jednak do tego czasu jej nie ukończono.

W argentyńskich mediach pojawiały się informacje, że marynarka wojenna ma problemy finansowe, brakuje pieniędzy na zakup części zamiennych, szkolenie personelu i utrzymywanie jednostek pływających. W tej sytuacji brzmi jak kiepski żart zapowiedzi niektórych argentyńskich polityków dotyczące budowy okrętów podwodnych z napędem atomowym. Prawdopodobnie była to reakcja na podobny program realizowany już przez Brazylię.

HISTORIA

/ XX WIEK

PIOTR KORCZYŃSKI

WILKI MORSKIE NA SUCHYM LĄDZIE

Gdzie poszedł Oszek ze swoimi, tam trawa nie
rosła – tak mówiono o marynarzu, któremu
przyszło walczyć w wojskach lądowych.



Msza polowa obok powstańczego transportera opancerzonego, 1921 rok. W tle widać samochód pancerny Ehrhardt E-V/4 noszący nazwę „Górny Ślązak-Alzacja”.



W

kronikach i na zdjęciach z czasów dwóch ostatnich wojen światowych można zobaczyć marynarzy walczących nie na okrętach czy na wybrzeżu morskim, ale w głębi lądu – w okopach lub idących do ataku za nacierającymi czołgami. Takie spieszono wilki morskie, w koszulkach w paski i obwieszono taśmami

amunicji do karabinów maszynowych, były najczęściej Rosjanami z bałtyckiej lub czarnomorskiej floty. Od I wojny światowej, przez rewolucję i wojnę domową, po wielką wojnę ojczyźnianą musieli oni nie tylko walczyć na wodzie, lecz także wspierać wojska lądowe. Zaprawieni w ciężkiej służbie okrętowej, na lądzie często okazali się twardymi przeciwnikami. Podobną rolę odgrywali również marynarze niemieccy, zwłaszcza w ostatniej fazie II wojny światowej. Także w Wojsku Polskim we wrześniu 1939 roku marynarzom przyszło walczyć jak piechocie. Granatowe mundury można było zobaczyć nie tylko w oddziałach broniących polskiego wybrzeża, ale i w głębi kraju – m.in. w Samodzielnej Grupie Operacyjnej

„Polesie” gen. Franciszka Kleeberga walczyli marynarze Flotyli Pińskiej.

WODNIACY-PANCERNIACY

Trafił się w naszym wojsku marynarski oddział wyjątkowy na skalę światową, bo pancerno-motorowy. W tym wypadku określenie „krażowniki szos” nie było przenośnią, żołnierze potrafili bowiem zaskoczyć przeciwnika. A wszystko to za sprawą jednego człowieka, który na wieść o oddelegowaniu do walki na lądzie ostro zaprotestował i zapowiedział: „Ja, oficer marynarki, na piechotę walczyć nie będę!”. Tak się zapałał, że wraz ze swymi ludźmi zbudował wozy pancerne i nimi ruszył do boju.

Upór tego oficera nie powinien dziwić, wszak był Ślązakiem. Przyszły kapitan polskiej marynarki wojennej Robert Oszek urodził się 30 maja 1895 roku w Zaborzu (obecnie to jedna z dzielnic Zabrze) w robotniczej rodzinie. Jego rodzice marzyli, żeby został księdzem. Ten jednak w wieku 15 lat uciekł z domu. W 1910 roku znalazł się w Hamburgu, gdzie spełniły się jego marzenia o wielkiej przygodzie, bo został przyjęty na statek wielorybniczy „Olaf II”. Jako harpunnik pływał na morzach podbiegunowych u brzegów Ziemi Ognistej i Ziemi Baffina. W 1912 roku wstąpił do szkoły

**„JA, OFICER MARYNARKI,
NA PIECHOTĘ WALCZYĆ
NIE BĘDĘ!”, POWIEDZIAŁ
POR. ROBERT OSZEK
I WRAZ ZE SWYMI
LUDŹMI ZBUDOWAŁ
WOZY PANCERNE,
ŻEBY NIMI RUSZYĆ
DO BOJU**



**KANONIERKA
PANCERNY 1**



**KRAŻOWNIK
SMS „BREMEN”**



marynarskiej Kaiserliche Marine (Cesarska Marynarka Wojenna) w Murwik pod Flensburgiem. Kiedy ją ukończył, dostał przydział na krążownik SMS „Bremen”. Kilka lat wcześniej na tym okręcie swą służbę rozpoczął również przyszły admirał i szef Abwehry Wilhelm Canaris. Niewątpliwie por. Canaris był przełożonym Oszka, kiedy „Bremen” wyruszył w 1912 roku w rejs ku brzegom Ameryki. Po dotarciu do Meksyku załoga niemieckiego krążownika wzięła udział w tłumieniu strajków robotników przemysłu naftowego. Wśród zatrzymanych i uwięzionych przez Niemców demonstrantów znalazło się kilku Polaków. Elew Oszek w nocy podkraść się pod celę i wypuścić swych rodaków na wolność. Za tę niesubordynację następnego dnia sam trafił do aresztu i został zdegradowany. Po powrocie do Niemiec służył na okrętach szkolnych – SMS „Hertha” i SMS „Kaiserin Augusta”.

Kiedy wybuchła wielka wojna, marynarz Oszek został członkiem załogi krążownika pancernego SMS „Blücher”. Okręt zatopili brytyjczycy 24 stycznia 1915 roku w czasie bitwy pod Dogger Bank, a Polak należał do nielicznych szczęśliwców, którym udało się ocalić życie. Został awansowany na bosmana i skierowany do szkoły nawigacji w Altonie. Pod koniec 1917 roku objął dowództwo torpedowca D-8, którym dowodził do końca wojny. W styczniu 1919 roku wrócił do Polski i od razu wstąpił do marynarki wojennej. Po weryfikacji, w stopniu podporucznika marynarki objął służbę w porcie wojennym w Toruniu, a od 1920 roku we Flotylli Pińskiej.

BĘDĄ MIELI POD NOGAMI POKŁAD

Na początku wojny polsko-bolszewickiej był najmłodszym oficerem na kanonierce „Pancerny I”, która wyróżniła się w zwycięskiej bitwie pod Czarnobylem 27 kwietnia 1920 roku. Wraz z czterema uzbrojonymi kutrami uderzyła na sześć kanonierek sowieckiej Dnieprzańskiej Flotylli Wojennej. W zwycięskim pojedynku polskiej „pancerki” odznaczył się ppor. Oszek, któremu wyznaczono rolę obserwatora artyleryjskiego. Prowizoryczny punkt obserwacyjny znajdował się na... rozgrzanym i dymiącym kominie kanonierki. Mimo



Robert Oszek (trzyma koło ratunkowe) z grupą niemieckich marynarzy. Zdjęcie wykonane prawdopodobnie na pokładzie torpedowca D-8 w 1916 roku.

MUZEUM CZYNÓW POWSTANIECZEGO
GÓRA ŚW. ANNY

tych utrudnień Oszek, „przebierając nogami, bo dym gorący” i obserwując manewry sowieckich jednostek przez lornetkę, zdołał naprowadzić skuteczny ogień na dwie z nich – uszkodzono kanonierki „Mudryj” i „Mołodeckij”. Było to kolejne zwycięstwo „Pancernego I” tego dnia, wcześniej zatopił okręt „Gubitelny”. Odwaga i umiejętności oficera zostały zauważone i od sierpnia 1920 roku mianowano go dowódcą nowo zbudowanego monitora „Mozyrz”.

W lutym 1919 roku Roberta Oszka awansowano do stopnia porucznika marynarki i urlopowano. Został skierowany na Górny Śląsk, gdzie przygotowywano się do plebiscytu mającego rozstrzygnąć przynależność państwową tej dzielnicy, a także do kolejnego powstania na wypadek niekorzystnego dla Polski wyniku. 27 lutego 1921 roku porucznik zgłosił się do Dowództwa Obrony Plebiscytu w Sosnowcu. Przyprowadził z sobą kilkudziesięciu marynarzy Flotyli Pińskiej i odnowił kontakty z weteranami z Kaiserliche Marine. Dzięki temu na początku maja 1921 roku do walki w III powstaniu śląskim gotowy był samodzielny oddział szturmowy. Tworzyło go ponad 60 marynarzy. Oddział zachował okrętowe zwyczaje. Oszek zapowiedział swym ludziom, że każdy, kto w czasie działań przywłaszczy sobie cokolwiek, zostanie rozstrzelany. Jednocześnie porucznik spełnił swoją obietnicę, że nie zostanie rzucony do walki jako piechota, tylko będą mieli „pod nogami pokład”. Oddał do dyspozycji oddziału ciężarówkę przejętą z Huty „Baildon” w Katowicach, a trzy z nich od razu przerobiono na samochody pancerne.

Do tych krążowników szos, jak nazwał swe improwizowane pancerki por. Oszek, dołączono fabryczny niemiecki samochód pancerny Ehrhardt E-V/4, który był darem... powstańców wielkopolskich. Poznaniacy zdobyli go 7 lutego 1919 roku na szosie Chodzież–Oborniki. W czasie walk w Wielkopolsce nosił imię „Kazimierz Grudzielski” – od nazwiska swego dowódcy. Po przerzuceniu na Śląsk nazwano go „Górny Śląsk–Alzacja”. W ten sposób podkreślono, że górnośląską załogą dowodził Alzatzczyk – pchor. Ensign Forestier. Pozostałe wozy nazywały się „Korfanty”, „Woźniak-Walerus” (od nazwisk konstruktora i dowódcy, zwany także „Powstańcem”) oraz „Zabrski powstaniec”. Flagowcem był „Korfanty”. Oszek dowodził nim osobiście, a na pokładzie mieściło się dziewięciu żołnierzy uzbrojonych w pięć cekaemów i broń ręczną, z której mogli prowadzić ogień przez otwory strzeleckie.

KAPITAN SCHODZI Z OKRĘTU OSTATNI

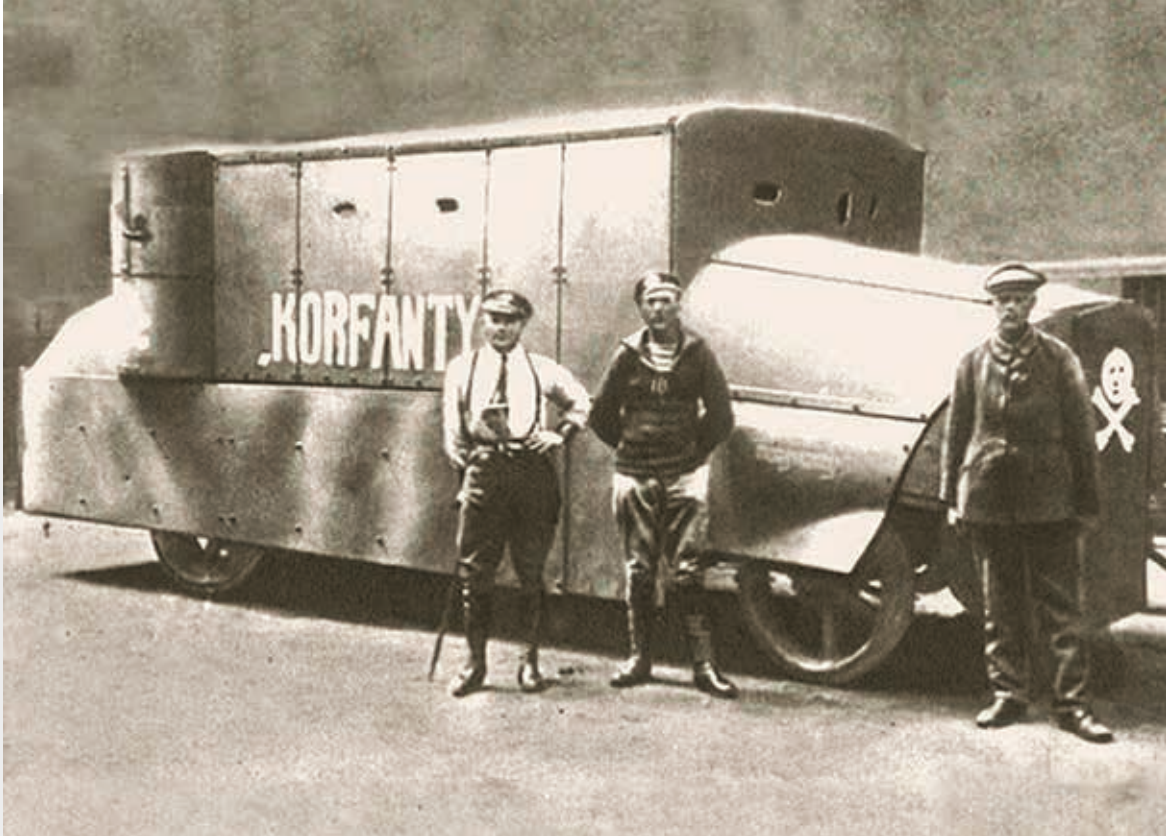
Po wybuchu III powstania śląskiego 3 maja 1921 roku pancerno-motorowy oddział por. Oszka został podporządkowany bezpośrednio Naczelnej Komendzie Wojsk Powstańczych. Dzięki mobilności i sile ognia pełnił funkcję ruchomego odwodu. W praktyce został rozczłonkowany,

by łączyć dziury na linii frontu oraz wspierać powstańców w najcięższych walkach. Wóz por. Oszka walkę rozpoczął pod Sławęcicami, a następnie 9 maja wraz „Woźniakiem-Walerusem”, dowodzonym przez bosmana Karola Walerusa, wspierał oddziały powstańcze szturmujące Kędzierzyn-Koźle. Po zażartych walkach, które uwięzione zostały zdobyciem tego miasta, front zamarł w oczekiwaniu na wyniki rozmów dyplomatycznych. 18 maja oddział Oszka przydzielony został do jednostek dowodzonych przez Walentego Fojkisa i wysłany w rejon Leśnicy. Na wieść, że Niemcy szykują atak na Górę Świętej Anny, marynarze zostali jednak zawróceni z drogi i skierowani do Zalesia. „Korfanty” miał ubezpieczać drogę od strony Gliwic i odpierać ewentualne niemieckie ataki.

21 maja Niemcy ruszyli do natarcia na powstańcze pozycje w rejonie Góry Świętej Anny. Samochód pancerny por. Oszka skierowano do Rozwady i Krępny, gdzie spodziewano się najcięższych walk. I rzeczywiście, „Korfanty” dostał się pod tak silny ostrzał z broni maszynowej, że musiał ratować się włączeniem wstecznego biegu. Po chwili jednak był już z powrotem i wsparł bronią pokładową powstańców do czasu przyjazdu polskiego pociągu pancernego o nazwie... „Korfanty”, dowodzonego przez por. Włodzimierza Abłamowicza. Dzięki temu powstańcom udało się zatrzymać niemieckie ataki, ale wkrótce musieli się wycofać, na wieść, że nieprzyjaciół przerwał linię frontu w innych miejscach.

Niemcy opanowali Górę Świętej Anny i Lichynię 22 maja. W następnych dniach toczono zażarte walki o tę miejscowość, która kilka razy przechodziła z rąk do rąk. Tutaj znowu „Korfanty” odgrywał rolę wabika, ściągając na siebie ogień nieprzyjacielskiej broni maszynowej. Pozwalało to powstańcom zmieniać pozycje i zbliżać się do niemieckich stanowisk. I tak „Korfanty” za każdym razem, po utracie Lichyni, szturmował na nowo niemieckie gniazda karabinów maszynowych aż do 2 czerwca, kiedy to ponownie zdobyto tę miejscowość. W czasie tych walk por. Oszek wykazał się odwagą godną wilka morskiego. Dawał w ten sposób osobisty przykład załodze „Korfantego”, która pod Lichynią kilkakrotnie otarła się o śmierć. Na przykład w czasie jednego ze szturmów wóz pancerny utknął w rowie, piechota się wycofała, a załozę zaczęło brakować amunicji. Oszek rozkazał opuścić wóz i zająć pozycję wokół niego. Jednocześnie wysłał jednego ze swych marynarzy, matę Cyganka, by sprowadził pomoc. Cygankowi udało przedostać się przez niemieckie pozycje, a po upływie pół godziny wrócił z odsieczą; „Korfantego” wyciągnięto z rowu i przesunięto na tyły.

Również samemu Oszkowi kilka razy śmierć zagrażała w oczy, także dosłownie, kiedy pocisk trafił w lornetkę, przez którą obserwował przedpole. Na szczęście kula zry-



Dowodzony przez por. Roberta Oszka (na zdjęciu pierwszy z lewej) „Korfanty” na pancerzu miał wymalowaną trupa czaszkę i piszczelę na wzór korsarskich bander.

W cywilu Robert Oszek pracował jako kierownik hurtowni tytoniowych w Królewskiej Hucie (dzisiejszy Chorzów) i Katowicach. Przyjaciele żartowali, że nie mógł lepiej trafić, gdyż jako rasowy wilk morski, był wielkim miłośnikiem fajki.

koszetowała, ale zraniła go w bok, a twarz pokiereszowały odłamki z rozbitej lornetki. W czasie innej akcji żołnierz został ranny w dłoń. Po opatrzeniu rany znowu nie pozwolił się odesłać na tyły. Na „Korfantym” również obowiązywała zasada, że kapitan z okrętu schodzi ostatni.

ŚLAD PO NIM ZAGINAŁ

Ostatnia akcja „Korfantego” była związana z rozgrywkami wewnętrznymi w sztabie powstańczym. 3 czerwca 1921 roku oficerowie dowództwa Grupy „Wschód” wypowiedzieli posłuszeństwo naczelnikowi powstania Wojciechowi Korfantemu i wysunęli własnego kandydata – kpt. Karola Grzesika. Do buntowników przyłączyła się część oficerów grup „Północ” i „Południe”. Korfanty pozornie zadeklarował, że odda naczelne dowództwo Grzesikowi, a następnie zjawił się w sztabie Grupy „Wschód” w asyście marynarzy por. Oszka. Nieposłuszni oficerowie zostali aresztowani. W całym zdarzeniu nikt nie zginął ani nie został ranny, ale wycofanie „Korfantego” z frontu odbiło się niekorzystnie na przebiegu walk. Polacy znowu utracili Lichynię, a ponadto Sławęcice, Popice i Olszową.

Oddział szturmowy por. Oszka nie wrócił już do walki, został wycofany do Siemianowic Śląskich (wówczas Laurahütte), gdzie miał być zreorganizowany. Mimo uzupełnień w czasie walk liczył wówczas tylko 45 ludzi. Marynarze do Polski przyjechali 14 czerwca i zakończyli swój

szlak bojowy 5 lipca w Oświęcimiu. „Korfanty” miał stać się eksponatem muzealnym w Krakowie, ale ślad po nim zaginął.

Oddział szturmowy zdemobilizowano, a jego dowódca, świeżo odznaczony kawaler Virtuti Militari V klasy, został komendantem konspiracyjnej Organizacji „P”, która miała na Śląsku chronić polskie placówki i instytucje do czasu przejścia ich przez władze polskie. Funkcję tę pełnił do czerwca 1922 roku. W tym samym roku awansował do stopnia kapitana marynarki i wrócił do służby w marynarce wojennej. Po dwóch latach został zdemobilizowany.

Kpt. Robert Oszek zmarł w Katowicach 13 kwietnia 1938 roku i w asyście honorowej Wojska Polskiego pochowano go na tamtejszym cmentarzu garnizonowym. Jeden z jego podkomendnych, ppor. rez. Józef Termin, tak w 1981 roku wspominał swą służbę: „Na przodzie [nasz samochód] miał trupa czaszkę, z boku wypisaną nazwę »Korfanty«. I flaga była piracka i te piszczelę mieliśmy na czapkach. W samochodzie pięć cekaemów – duża siła rażenia. Potem mówili, gdzie poszedł Oszek ze swoimi, tam trawa nie rosła [...]. I ten marynarski duch bojowy, który przechodził na innych. Nazywali powstańcy »Korfantego« – krążownikiem szos. Nie było dla niego złych dróg, kiedy tylko się pojawił – Niemcy natychmiast zaczynali odwrót”. Wszak mieli przed sobą weteranów Kaiserliche Marine i Flotylli Pińskiej.

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Ocena postaw



Wieloletnia służba wojskowa w czasach zaborów była dość skutecznym sposobem na wynarodowienie setek tysięcy młodych Polaków. Mimo to odrodzenie się Wojska Polskiego po 1918 roku było dowodem na to, że w społeczeństwie pozostały jednak ogromne pokłady patriotyzmu. Dwudziestolecie międzywojenne pozwoliło dorosnąć całemu pokoleniu gotowemu z najwyższym poświęceniem bronić niepodległości i wykształcić kadre oficerską godną suwerennego państwa.

Pokolenie to zostało zdziesiątkowane przez III Rzeszę i ZSRR, toteż ludowe Wojsko Polskie, stworzone po 1944 roku, było pewnego rodzaju hybrydą. Przedwojenna kadra oficerska została praktycznie wytępiona i zastąpiona sowiecką lub, w latach późniejszych, starannie dobieranymi wojskowymi narodowości polskiej, ale bezwzględnie lojalnymi wobec Moskwy. Dyplom sowieckich uczelni wojskowych był tu patentem uprawniającym do kariery na wyższych szczeblach dowodzenia.

Podczas gdy kadra dowódcza ludowego Wojska Polskiego była kształcona w duchu sowieckiego „internacjonalizmu” oraz historycznej konieczności podporządkowania Polski Związkowi Sowieckiemu, miliony młodych ludzi przechodziło dwuletnią obowiązkową służbę wojskową z mieszanymi uczuciami. Była to mieszanka niechęci wobec komunizmu i Sowietów, upokorzenia przymusem i polityczną indoktrynacją, ale także rosnącej z czasem rezygnacji. Już w latach sześćdziesiątych piosenka zespołu Trubadurzy „Przyjedź mamu na przysięgę” nie budziła na ogół sprzeciwu, a uroczystość składania przysięgi na wierność socjalistycznej ojczyźnie z udziałem zaproszonych rodzin była coraz częściej przyjmowana z dobrodziejstwem inwentarza. Racjonalizacja przymusu stawała się zjawiskiem powszechnym.

Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku postawiło sprawę lojalności w wojsku na ostrzu noża. Haniebna decyzja o użyciu siły przeciw własnemu narodowi doprowadziła do sytuacji, w której wojskowa dyscyplina nakazywała działać w interesie Kremla, podczas gdy w sumieniu rodziły się, w bardzo zróżnicowanej mierze, wątpliwości, a nawet podpowiadało ono stawianie oporu. Owo zróżnicowanie rozkładało się, z grubsza rzecz biorąc, proporcjonalnie do miejsca w wojskowej hierarchii. Na najwyższych szczeblach dowodzenia wątpliwości było mniej, w szeregach wojska – więcej. Kadra została wychowana w duchu janczarów posłusznych Moskwie, podczas gdy poborowi byli często kolegami działaczy Solidarności, przeciw którym mieli użyć siły wspólnie z ZOMO i policją polityczną. Decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego stwarzała więc sytuację przymusową, w której prawdopodobny stawał się tragiczny wybór między narodową apostazją i bohaterstwem.

Poza oficjalnym potępieniem stanu wojennego w III RP nie doszło właściwie do moralnego ani prawnego rozliczenia postaw kadry oficerskiej w stanie wojennym. Nawet sprawa płk. Ryszarda Kuklińskiego budziła ogromne kontrowersje. Niezależnie jednak od tego, czy takie rozliczenie jest możliwe, czy obecnie pożądane, konieczne jest jasne określenie kryteriów oceny postaw. W Polsce niepodległej nie może być wątpliwości, co służy jej bezpieczeństwu, a co nie.



WOJCIECH ROSZKOWSKI jest profesorem nauk humanistycznych, autorem publikacji na temat historii Polski XX w.

Podpisanie przez Włochy w czerwcu 1940 roku rozejmu z Francją zapewniło wojskom Benita Mussoliniego bezpieczeństwo w Libii i dało swobodę w działaniach podejmowanych wobec Brytyjczyków w Egipcie. Londyn miał swoich żołnierzy w tym kraju od 1882 roku, kiedy wybuchła rewolta przeciwko wpływom europejskim i otomańskim. Londyn obawiał się o bezpieczeństwo Kanału Sueskiego, dzięki któremu skróciły się o tysiące mil szlaki komunikacyjne między Wielką Brytanią a jej koloniami i dominiami nad Oceanem Indyjskim, w Azji i na Pacyfiku.

DYSPROPORCJA SIŁ

Władze Egiptu (od 1922 roku będącego królestwem) po podboju Abisynii przez Włochów 14 listopada 1936 roku ratyfikowały z Wielką Brytanią traktat „o sojuszu i przyjaźni”. Dokument ten dawał prawo Londynowi do utrzymywania w Egipcie wojsk do ochrony strefy Kanału Sueskiego. Faktycznie jednak Brytyjczycy kontrolowali politycznie i militarnie cały kraj. W czerwcu 1940 roku, gdy Wielka Brytania znalazła się w stanie wojny z Włochami, w Egipcie stacjonowało blisko 40 tys. żołnierzy. Utworzone 17 czerwca 1940 roku brytyjskie Siły Pustyni Zachodniej miały de facto tylko jedną pełną dywizję. W tym czasie Royal Air Force reprezentowały w Egipcie dywizjony: siedem bombowych, trzy myśliwskie i jeden łącznikowy. W Aleksandrii stacjonował dodatkowo silny zespół okrętów Royal Navy.

W będącej włoską kolonią Libii latem 1940 roku stacjonowało natomiast od 215 do 250 tys. żołnierzy Mussoliniego. Siły lądowe Włochów były zorganizowane w dwie formacje: 5 Armia w zachodniej Libii z ośmioma dywizjami odpowiadała za granicę z posiadłościami francuskimi, Tunezją i Algierią, a 10 Armia we wschodniej części kraju, licząca sześć dywizji, była wystawiona na kierunku egipskim. Włosi mieli też osiem dywizjonów bombowych, trzy myśliwskie, dwa szturmowe i kilka eskadr rozpoznawczych.

Po wycofaniu się Francji z wojny Włosi mogli przenieść na wschód część jednostek z 5 Armii. Pod względem statystycznym to były potężne siły. Słabo zmotoryzowana włoska piechota miała jednak niewielką wartość bojową w wojnie manewrowej prowadzonej na pustyni. Włochom brakowało ciężarówek, co wobec braku linii kolejowych sprawiło, że dostawy zaopatrzenia

były ogromnym wyzwaniem, gdyż port w Trypolisie, gdzie docierały statki z Włoch, i granicę z Egiptem dzieliło około 2 tys. km. Niezbyt liczne brytyjskie siły lądowe były natomiast całkowicie zmotoryzowane, a ich trzon stanowiła 7 Dywizja Pancerna.

Trzecią siłą na teatrze wojennym były siły zbrojne Egiptu. W 1935 roku tamtejsze wojska lądowe liczyły zaledwie 12,3 tys. żołnierzy, ale dzięki brytyjskiemu wsparciu zwiększyły się w ciągu pięciu lat do około 30 tys. W 1940 roku Egipt miał trzy brygady piechoty i jedną brygadę karabinów maszynowych, a także mniejsze jednostki zmotoryzowane, pancerne oraz artylerii polowej, przeciwpancernej, nadbrzeżnej i przeciwlotniczej. Lotnictwo egipskie miało cztery, pięć dywizjonów lotniczych.

Dowodzący w Libii marszałek Rodolfo Graziani, świadom słabych stron swych wojsk, nie spieszył się z atakiem na Egipt. Zirykowany marazmem w Afryce Północnej Benito Mussolini wydał mu jednak 7 września 1940 roku rozkaz przeprowadzenia ofensywy.

NIEMRAWA OFENSYWA

Od samego początku Włochom nie wychodziło tak, jak planowali. Już 9 września 1940 roku przeznaczone do działań na pustyni zgrupowanie pancerno-motorowe gen. Pietra Malettiego zgubiło drogę, więc

Graziani musiał zrezygnować z próby oskrzydlenia Brytyjczyków. Faktycznie ofensywa rozpoczęła się 13 września wzdłuż drogi nadmorskiej, a skończyła już 18 września. Włosi weszli około 100 km w głąb Egiptu i zajęli kilka nadgranicznych miejscowości, m.in. As-Sallum, Buq Buq i Sidi Barrani. Brytyjczycy natomiast ograniczyli się do działań opóźniających i utworzyli linię obrony w rejonie Marsa Matruh. Włosi przeszli do defensywy, zbudowali warowne obozy.

Działaniom ofensywnym 10 Armii nie sprzyjały też strategiczne posunięcia Mussoliniego, który postanowił zająć Grecję. Uważał ten kraj za najsłabsze militarnie państwo Bałkanów, ale przeliczył się w swych rachubach. Wojna rozpoczęła się 28 października 1940 roku i jego armia szybko została przez Greków zmuszona do odwrotu w głąb Albanii. Niemniej jednak na front grecki wysyłano większość zaopatrzenia i dostępnych wojsk. W miarę możliwości siły w Egipcie dozbrajali też Brytyjczycy. Pod koniec 1940 roku Siły Pustyni Zachodniej, dowodzone przez

TADEUSZ WRÓBEL

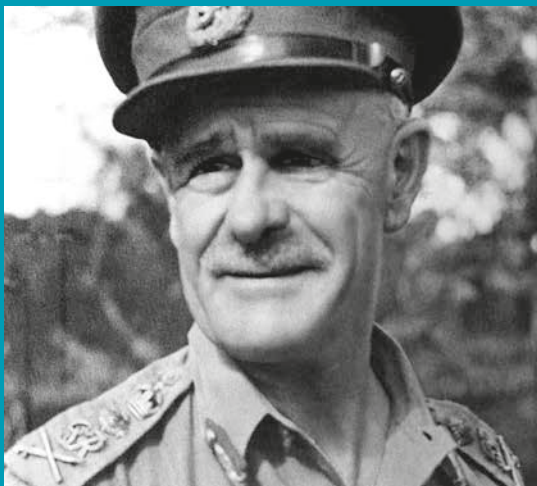
PUSTYNNY TANIEC O'CONNORA

Brytyjska operacja „Kompas” pokazała, że Włosi będą dla III Rzeszy raczej balastem niż wsparciem. Benito Mussolini w dwa miesiące utracił na Pustyni Zachodniej ponad 100 tys. żołnierzy.





W ciągu dwumiesięcznej kampanii na Pustyni Zachodniej większość żołnierzy włoskiej 10 Armii trafiła do brytyjskiej niewoli.



GŁÓWNODOWODZĄCY NA BLISKIM WSCHODZIE **GEN. ARCHIBALD WAVELL** POSTANOWIŁ WYKORZYSTAĆ TRUDNĄ SYTUACJĘ WŁOCHÓW I ZDECYDOWAŁ SIĘ NA OPERACJĘ MAJĄCĄ NA CELU WYPARCIE ICH Z EGIPTU. PRZYGOTOWANIA PROWADZONO W TAJEMNICY, ZWŁASZCZA PRZED EGIPCJANAMI

10 Armia (gen. Italo Gariboldi) – Bardja



Grupa Libijska
(gen. Sebastiano Gallina)
– Sidi Barrani

- 1 Dywizja Libijska „Sibelle” – Maktla
- 2 Dywizja Libijska „Pescatori” – Tummar
- 4 Dywizja Czarnych Koszul „3 Gennaio” – Sidi Barrani
- Zgrupowanie Saharyjskie „Maletti” – Nibeiwa
- 2 Zgrupowanie Czołgów

XXI Korpus Armijny
(gen. Carlo Spatocco) – Sofafi

- 63 Dywizja Piechoty „Cirena” – Rabia, Sofafi
- 64 Dywizja Piechoty „Catanzano” – Buq Buq

XXII Korpus Armijny (gen. Enrico Pitàssi-Mannella) – Tobruk

- 61 Dywizja Piechoty „Sirte” – Tobruk
- 1 Zgrupowanie Czołgów

XXIII Korpus Armijny (gen. Annibale Bergonzoli) – Bardija

- 1 Dywizja Czarnych Koszul „23 Marzo” – Buq Buq – Sidi Barrani (wzdłuż wybrzeża)
- 2 Dywizja Czarnych Koszul „28 Ottobre” – As-Sallum
- 62 Dywizja Piechoty „Marmarica” – Sofafi-Przełęcz Halfaya

Jednostki armijne

- Specjalna Brygada Pancerna „Balbini” (gen. Valentino Balbini)
- 10 Pułk Bersalierów
- 12 Pułk Bersalierów
- 12 Pułk Artylerii
- 26 Pułk Artylerii
- 55 Pułk Artylerii

W ręce brytyjskie podczas operacji „Kompas” wpadły setki włoskich dział.



LIBIA
ليبيا
№ 54
OL

07 II 1941

Benghazi

Soluch

Beda Fomm

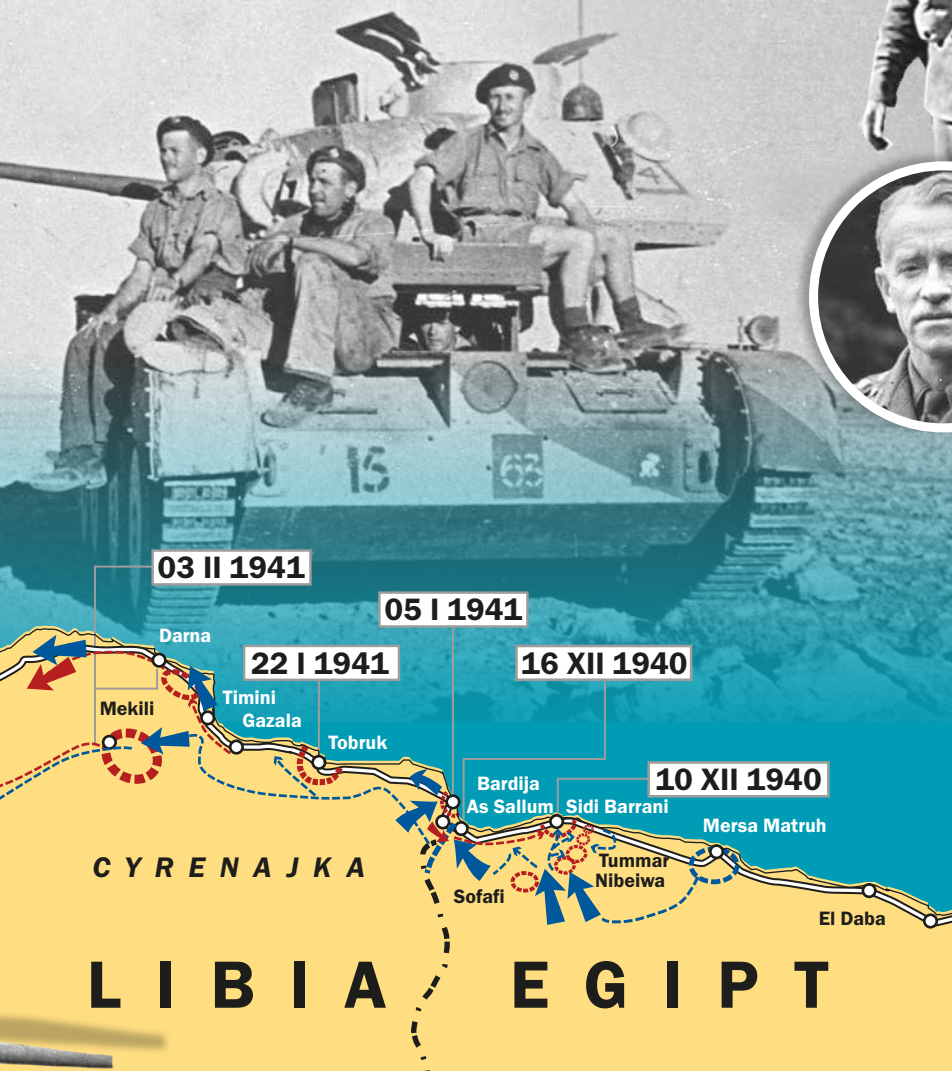
Agedabia

gen. por. Richarda O'Connora, miały dwie dywizje – 7 DPanc i indyjską 4 DP. 10 Armia dysponowała natomiast czterema korpusami z dziewięcioma dywizjami.

Brytyjczycy wiedzieli, że wojska Mussoliniego zostały pobite przez Greków. Głównodowodzący na Bliskim Wschodzie gen. Archibald Wavell postanowił wykorzystać trudną sytuację Włochów i zdecydował się na operację mającą na celu wyparcie ich z Egiptu. Przygotowania prowa-

dzono w tajemnicy, zwłaszcza przed Egipcjanami. Pomimo działań maskujących włoskie lotnictwo wykryło zamiary sił O'Connora, ale ta informacja nie dotarła do dowódców polowych. Dlatego gen. Pietro Maletti był całkowicie zaskoczony, gdy rankiem 9 grudnia jego obóz Nibeiwa zaatakowała indyjska brygada piechoty wsparta przez pułk czołgów Matilda II. Okazało się, że przeciwnik nie ma skutecznej broni przeciwko tym silnie opancerzonym pojazdom.

BRYTYJSKA OPERACJA KOMPAS



**Siły Pustyni
Zachodniej
(gen. Richard
O'Connor)**

4 Dywizja Piechoty (indyjska)

- 5 Brygada Piechoty
- 11 Brygada Piechoty
- 16 Brygada Piechoty (brytyjska)

6 Dywizja Piechoty (australijska)

- 16 Brygada Piechoty
- 17 Brygada Piechoty
- 19 Brygada Piechoty

7 Dywizja Pancerna

- 4 Brygada Pancerna
- 7 Brygada Pancerna
- Grupa Wsparcia

Jednostki korpusne

- 7 Pułk Czołgów Royal Tank Regiment
- 1 Pułk Artylerii Konnej
- 7 Pułk Artylerii Ciężkiej
- 37 Pułk Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej
- 51 Pułk Artylerii Polowej
- 64 Pułk Artylerii Ciężkiej
- 104 Pułk Artylerii Konnej

**PODCZAS PIERWSZEJ OFENSYWY PRZECIWKO WŁOCHOM
W AFRYCE PÓŁNOCNEJ NA PRZEŁOMIE LAT 1940 I 1941 BRYTYJ-
CZYCY ZNISZCZYLI ICH WOJSKA WYSŁANE, BY ZDOBYĆ EGIPT**

We włoskich szeregach szybko rozniosła się wieść o strasznych „matyldach”. Niemniej jednak w Nibeiwie walczyli, jak określił to jeden z brytyjskich czołgistów, „jak diabły”. Szczególnie waleczni byli artylerzyści, ale gdy działa umilkły, piechurzy zaczęli się poddawać. Do podobnych sytuacji doszło wielokrotnie podczas operacji „Kompas”. Były też zdarzenia dość komiczne, gdy oficerowie włoscy w zamian za poddanie domagali się od Brytyjczyków, by doko-

nali oni demonstracji siły, np. wykonali ostrzał artyleryjski, ale niekoniecznie ich pozycji. Los Nibeivy podzieliły inne obozy. Części z nich nie musiano zdobywać, bo Włosi porzucili je bez walki.

Graziani liczył na to, że dłużej będą się broniły siły korpusu libijskiego w Sidi Barrani. Los tego nadmorskiego garnizonu został jednak przesądzony, gdy 7 DPanc oskrzydliła go od zachodu, odcięła od reszty 10 Armii i pozbawiła



WĄTPLIWY SOJUSZNIK



EGIPT FORMALNIE PRZYSTĄPIŁ DO WOJNY DOPIERO W LUTYM 1945 ROKU.

Po 10 czerwca 1940 roku zaistniała dziwna sytuacja. Otóż Egipt nie był w stanie wojny z Włochami i nie zmieniło tego wkroczenie 10 Armii na jego terytorium. Wielu Egipcjan liczyło nawet, że dzięki wsparciu państw Osi uwolnią się od Brytyjczyków.

Brytyjscy wojskowi nisko oceniali wartość bojową Egipcjan, którzy np. panikowali podczas nalotów. Złe wa-

runki służby i relacje międzyludzkie powodowały, że egipscy szeregowi żołnierze nienawidzili oficerów, a ci woleli spędzać czas z rodzinami lub w lokalach Aleksandrii czy Kairu niż na pustynnych posterunkach. Brytyjczycy wykorzystywali zatem Egipcjan do ochrony tyłów, w tym w obronie przeciwlotniczej oraz na pomocniczym kierunku południowo-zachodnim, w garnizonach w oazach. ■

dostaw wody. Gen. Sebastiano Gallina poddał Sidi Barrani 10 grudnia, a następnego dnia ustał opór 1 Dywizji Libijskiej. Korpus libijski został zniszczony w ciągu niecałych trzech dni. Brytyjczycy wzięli tysiące jeńców. Pytani o liczbę schwytanych Włochów, dowódcy polowi w meldunkach podawali, że są ich „dziesiątki akrów”. Siły Pustyni Zachodniej zdobyły wówczas sporo sprzętu. Najcenniejszym łupem były ciężarówky, bo wraz z postępami ofensywy wydłużały się linie zaopatrzenia do oddziałów gen. O’Connora. Dla żołnierzy, których frontowa dieta opierała się na wołowych konserwach, ważniejsze jednak okazały się wiktuały kuchni włoskiej oraz wino.

PASMO KLĘSK

W połowie grudnia 1940 roku Włosi zostali całkowicie wyparci z Egiptu, a żołnierze O’Connora, choć zmęczeni, ścigali ich dalej w Cyrenajce. Załamało się morale wojskowych w niektórych jednostkach 10 Armii i wielu z nich z ulgą oddawało się w ręce Brytyjczyków. Napływ jeńców był tak duży, że niektórzy oficerowie brytyjscy odsyłali grupy chcących się poddać Włochów z sugestią, by przyszedli kilka godzin później.

Po upadku Tobruku Graziani postanowił przenieść się do Trypolisu, by „niepotrzebnie nie ekspozować swej osoby na froncie”. Włosi zrezygnowali z obrony Benghazi, największego miasta wschodniej Libii. Resztki 10 Armii próbowały wycofać się z Cyrenajki, ale brytyjskie jednostki pancerne i zmotoryzowane zablokowały im drogę odwrotu. W bitwie 6–7 lutego 1941 roku pod Beda Fomm znowu tysiące Włochów pomaszerowało do niewoli. Podczas operacji

„Kompas” Brytyjczycy wzięli w sumie 110 tys. (podawana jest też liczba ponad 133 tys.) jeńców, w tym 22 generałów i admirała. W walkach zginęło 5,5 tys. włoskich żołnierzy, a około 10 tys. zostało rannych. Brytyjczycy zdobyli 420 czołgów i tankietek oraz 845 dział. Straty Sił Pustyni Zachodniej podczas operacji wyniosły natomiast 500 zabitych, 1373 rannych i 55 zaginionych. Zostało zniszczonych 26 brytyjskich samolotów, a Regia Aeronautica utraciła około 1250 maszyn, ale tylko 58 w walce. Resztę, w większości niesprawnych, porzuciła na lotniskach.

Włochom na początku 1941 roku pozostało w Libii zaledwie pięć dywizji. Gen. Archibald Wavell był bliski zwycięstwa, ale wówczas dla premiera Winstona Churchilla Afryka nie była priorytetowym kierunkiem działań. Generał musiał zatem wstrzymać ofensywę w Afryce Północnej, żeby wysłać część wojsk do Grecji. Churchill marzył bowiem o otworzeniu frontu w Europie. Do Libii zaczęły przybywać nowe dywizje włoskie oraz niemieckie jednostki z Afryka Korps. Adolf Hitler później wsparł Mussoliniego również na Bałkanach, ponieważ się obawiał, że pobici na dwóch frontach Włosi mogą wycofać się z wojny. Po przybyciu sił dowodzonych przez gen. Erwina Rommla sytuacja na froncie północnoafrykańskim zdecydowanie się zmieniła. Pomimo katastrofy w Cyrenajce Włosi utrzymali Libię, a w marcu wraz z Niemcami przeprowadzili kontr-ofensywę i wyrzucili Brytyjczyków. Utrzymali oni tylko Tobruk. W obronie oblężonego portu uczestniczyła później polska Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich. Wojska Osi w Afryce Północnej zostały pokonane dopiero ponad dwa lata później, w maju 1943 roku. ■

ROBERT SENDEK

Bunkier dla każdego

Zamiast dróg albo domów budowano w tym biednym kraju schrony. Wzniesiono ich kilkaset tysięcy. Miały służyć do obrony kraju w wypadku obcej interwencji.

System komunistyczny w Ludowej Republice Albanii należał do najbardziej represyjnych w całym tzw. bloku wschodnim. Od przejścia władzy przez komunistów jesienią 1944 roku właściwie do końca lat osiemdziesiątych obowiązywała tam doktryna oparta na modelu stalinowskim. O ile w pozostałych krajach „realnego socjalizmu” po śmierci Stalina doszło do przemian, o tyle w Albanii pod dyktatorskimi rządami Envera Hodży ten pierwotny, stalinowski element został jeszcze wzmocniony. W 1956 roku po zjeździe Albańskiej Partii Pracy zwolennicy odwilży zostali aresztowani i oskarżeni o defetyzm, niektórych rozstrzelano.

Pod kierownictwem Hodży kraj stopniowo zrywał z bratnimi państwami „demokracji ludowej”: w 1948 roku z Jugosławią, którą oskarżono o „zapędy kolonialistyczne”, na początku zaś lat sześćdziesiątych – z ZSRS i pozostałymi krajami komunistycznymi. Albania rozpoczęła wówczas szeroko zakrojoną współpracę z Chinami, lecz i te kontakty rozluźniły się w latach siedemdziesiątych. Kraj pogrążał się w izolacji. Jak to ujmowała wszechwładna propaganda państwowa, Albanii okrażali wrogowie, czyli „amerykańscy imperialiści, greccy monarchofaszyści i jugosłowiańscy rewizjoniści”, a wreszcie „rewizjoniści chruszczowowsy”, reprezentujący imperializm socjalistyczny.

KAŻDY OBYWATEL ŻOŁNIERZEM

Efektem narastającego poczucia zagrożenia była idea obrony państwa własnymi siłami. Inspirując się chińską koncepcją wojny ludowej, zaczęto już w latach sześćdziesiątych wprowadzać w życie coś, co nazwano rewolucjoni-

zacją społeczeństwa. Uznano, że skoro w latach 1944–1945 pokonać przeciwników oraz przejąć władzę mogli partyzanci, to i teraz, wobec zagrożenia, żołnierzami mogą być wszyscy obywatele. Trzeba tylko zadbać o odpowiednią infrastrukturę. W ten sposób narodziła się koncepcja bunkieryzacji Albanii. Zgodnie z założeniem w całym kraju miały zostać zbudowane schrony, które ludność w razie wrogiej agresji miała wykorzystać do prowadzenia walki. Przewidywano, że bunkry powstaną w każdej wiosce, na każdym osiedlu, w górach, na polach uprawnych, przy drogach, na plażach. Tak by w razie potrzeby każda albańska rodzina mogła zająć ten najbliższy, a następnie wziąć udział w walce.



BUDOWA BUNKRÓW BYŁA JEDYNIĘ WYRA- ZEM MANII, FOBII I UROJEŃ KIEROWNIC- TWA ALBAŃSKIEJ PARTII PRACY

II wojny światowej Zegali walczył w szeregach partyzantki komunistycznej. Po wojnie wyjechał do ZSRS. Wrócił stamtąd w 1948 roku z wykształceniem technicznym. Podjął następnie pracę w albańskim ministerstwie obrony. W 1954 roku rozpoczął studia inżynierskie w Moskwie, skąd wrócił po sześciu latach jako wysoko wykwalifikowany inżynier wojskowy w stopniu pułkownika. Jako szef sztabu wojsk inżynierskich armii albańskiej został wyznaczony do realizacji wskazanego przez partię programu.

Wraz ze swymi współpracownikami Zegali zadbał o dokumentację, na której podstawie miały powstać prefabrykaty

SPEC OD SCHRONÓW

Program koordynował bliski współpracownik Hodży, Mehmet Shehu, wraz z grupą wojskowych i inżynierów. Szefem działu inżynierskiego został Josif Zegali (w źródłach także jako Zagali albo Zengali), którego życie pokazuje zarówno charakterystyczną dla albańskich kadr partyjnych karierę, jak i typowy upadek. Podczas



służące do budowy mniejszych schronów. Podobno ich jakość gwarantował własnym życiem. Gdy urządzono pokaz dla Hodży, miał wejść do bunkra, który następnie był ostrzeliwany przez artylerię. Budowla wytrzymała, a Zegali przeżył.

ZAMIAST MIESZKAŃ

Największe nasilenie prac budowlanych przypadło na lata siedemdziesiąte. Cały program przybrał jednak takie rozmiary, że jego realizacja przekraczała możliwości niewielkiego i biednego kraju. Konieczne było wsparcie Chin, z którymi podpisano kontrakty na dostawę tysięcy ton cementu i żelaza do wyrobu żelbetu. Część kadr partyjnych uznała bunkieryzację za nonsensowną. Ośmielił się ją skrytykować także wieloletni szef albańskiego ministerstwa obrony, Beqir Balluku. Reakcja była błyskawiczna: jesienią 1974 roku defetystów, w tym wielu wysokich rangą oficerów, uwięziono. Minister zaś został rozstrzelany.

Zegali wylądował w więzieniu na osiem lat. Kiedy został wypuszczony w 1982 roku, odważył się skierować do Hodży list, w którym napisał to, o czym mówiono już wcześniej: że bunkieryzacja nie zwiększy bezpieczeństwa kraju. Od czasów ostatniej wojny – pisał – świat bardzo się zmienił, są inne formy walki i obrony, a bunkry to już anachronizm. Ich budowa w takiej liczbie oznacza katastrofę dla gospodarki. Hodża odpowiedział na list w swoim stylu: jesienią 1982 roku Zegali znów został uwięziony, tym razem na cztery miesiące. Program natomiast kontynuowano.

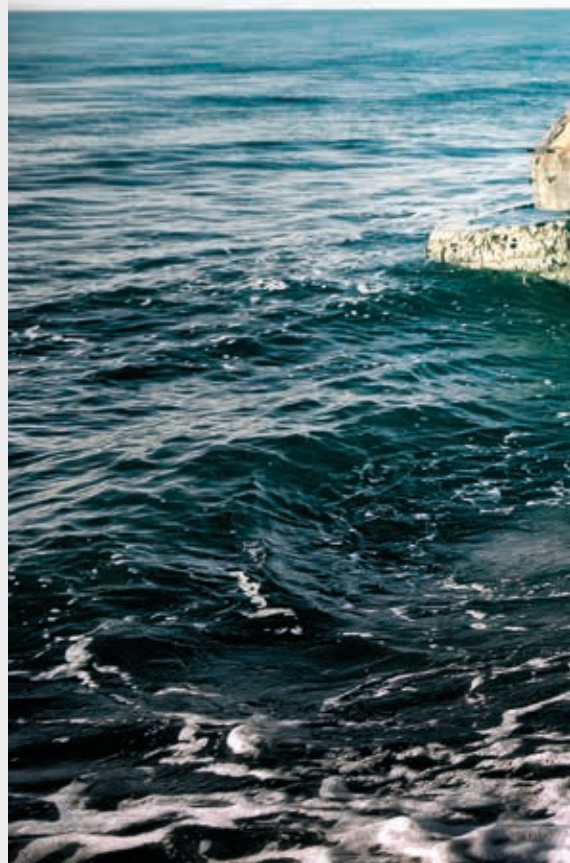
Nie wiadomo dokładnie, ile bunkrów powstało. W planach było ich milion, ale ostatecznie powstało mniej. Opracowania podają liczby od 150 tys. do nawet 700–750 tys.! Na budowę wydano mnóstwo pieniędzy, bo zużyto ogromne ilości betonu i żelaza. I to w kraju, który był jednym z najbiedniejszych w Europie. Podobno na jeden niewielki schron trzeba tyle czasu i środków, ile na postawienie dwóch pomieszczeń mieszkalnych. Zamiast 20 małych bunkrów można było położyć kilometr dobrej, asfaltowej drogi. Tyle że zideologizowana komunistyczna Albania nie była normalnym krajem, w którym projekty rządu wynikały z rzeczywistych potrzeb mieszkańców.

Sporządzone plany przewidywały trzy rodzaje schronów: małe, średnie oraz specjalne. Małe, zwane ośrodkami ogniowymi, były przeznaczone dla jednego żołnierza z bronią, przy czym zwykle grupowano je w trzejelementowych łańcuchach. Tego typu obiekty budowano masowo, z prefabrykatów, które trzeba było tylko umieścić w wybranej lokalizacji. W wykopanej jamie ziemnej umieszczano postument, na którym kładziono betonowy pierścień o średnicy około 1,2–1,5 m, przykrywany następnie półkolistą kopułą z otworami strzelniczymi. Jej kształt, nadający schronom charakterystyczną formę przypominającą kape-



ZIDEOLOGIZOWANA KOMUNISTYCZNA ALBANIA

nie była normalnym krajem, w którym projekty rządu wynikają z rzeczywistych potrzeb mieszkańców.
Na zdjęciu: bunkry na plaży w pobliżu miasta Durrës.



lusz grzyba, wynikał z założenia, że pociski będą się od niej odbijały. Ośrodki ogniowe miały się stać pierwszym punktem oporu na wypadek obcej agresji, dlatego umieszczano je zwykle w pobliżu zewnętrznych granic kraju, ale także np. na brzegu morskim.

Drugi rodzaj bunkrów to tzw. punkty ogniowe. Były większe, miały formę wkopanej w ziemię półkuli, ich powierzchnia użytkowa wynosiła około 30 m². Załogę miał stanowić oddział żołnierzy z cięższym sprzętem, względnie albańska rodzina z najbliższego domu. Punkty ogniowe budowano z kilkutonowych żelbetowych elementów, składanych na miejscu w podobny sposób, jak z klepek składa się beczkę. Gotowy bunkier tego typu mógł ważyć nawet do 400 t i stanowić ochronę przed ostrzałem artyleryjskim.

OKRETY PODWODNE POD ZIEMIĄ

Trzeci i ostatni rodzaj bunkrów to specjalne konstrukcje o różnorodnej formie. Najważniejsze były schrony przeznaczone do ukrywania sprzętu wojskowego. Do najbardziej osobliwych instalacji tego typu należą podziemna baza dla okrętów podwodnych niedaleko południowoalbańskiego Porto Palermo, ale także np. dwie bazy lotnicze w miejscowościach Gjadër i Kuçova, w których funkcję hangaru pełniły wykute w skałach tunele.



OGROMNA WIEKSZOŚĆ SCHRONÓW NISZCZEJE.

CZĘŚĆ Z NICH UDAŁO SIĘ RÓŻ- NYMI SPOSOBA- MI ROZEBRAĆ LUB USUNĄĆ

Budowano także bunkry, w których schronienie mieli znaleźć przedstawiciele elity politycznej kraju oraz najwyższe dowództwo. Przykładem może być tutaj obszerny podziemny schron przeciwatomowy w miejscowości Linza na peryferiach Tirany, który był zaopatrzony w żywność, środki bezpieczeństwa i łączności, ale też np. prywatne pokoje dla Hodży i jego współpracowników, pozwalające na możliwe komfortowe warunki życia w sytuacji zagrożenia. Niemal w centrum Tirany znajduje się z kolei schron albańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wybudowany został w latach 1981–1986 pod ziemią obok budynku re-

sortu i miał służyć jako miejsce ukrycia szefostwa w razie ataku atomowego. Są tam 24 pomieszczenia chronione murami o grubości 240 cm.

W wielu miejscach Albanii powstały całe systemy podziemnych schronów i tuneli, przeznaczonych dla najwyższych dowódców wojskowych, którzy stamtąd mieli koordynować obronę kraju. Do najważniejszych budowli tego typu należą te w górzystym okręgu Skrapar w południowej części kraju. Przygotowano w nich odpowiednie zaplecze mieszkaniowe oraz technologiczne, pozwalające na kontakt z jednostkami wojskowymi w całym kraju.

Bunkry przetrwały upadek komunizmu w Albanii. Solidnie zbudowane kosztem wielkich wyrzeczeń i ogromnym nakładem finansowym do dziś stanowią charakterystyczny element albańskiego krajobrazu. Nie wykorzystywano tych obiektów zgodnie z przeznaczeniem, ponieważ ich budowa była jedynie wyrazem manii, fobii i urojeń kierownictwa Albańskiej Partii Pracy.

Część schronów udało się różnymi sposobami rozebrać lub usunąć. Niektóre, zwłaszcza te większe, próbuje się w jakiś sposób zagospodarować, adaptując je np. na lokale, sklepy bądź kluby. Te przeciwatomowe, które są w Tiranie, zostały zamienione w muzea i udostępnione zwiedzającym. Ogromna większość jednak po prostu niszczeje. ■

EAST NEWS

W okresie międzywojennym w brytyjskich Królewskich Siłach Powietrznych i ministerstwie lotnictwa silne były wpływy zwolenników dwupłatowych samolotów myśliwskich. Konstruktor samolotów Sydney Camm z firmy Hawker Aircrafts Ltd. zaczął wówczas przekonywać decydentów do pomysłu jednopłatowego myśliwca. W końcu 1934 roku resort zamówił u niego jednopłatowy samolot przechwytyjący.

PRZEŁOMOWE ROZWIĄZANIA

Prototyp jednopłatowego myśliwca, oznaczony jako K5083, zmontowano w ostatniej dekadzie października 1935 roku, a 6 listopada maszyna po raz pierwszy wzbiła się w powietrze. Ponad pół roku później, 4 czerwca 1936 roku, Ministerstwo lotnictwa złożyło pierwsze zamówienie na 600 maszyn. 26 czerwca zaakceptowano zaproponowaną przez Hawkera nazwę samolotu – Hurricane (Huragan). Co ciekawe, firma była tak pewna swego produktu, że już na początku 1936 roku podjęła przygotowania do uruchomienia seryjnej produkcji.

Produkcja Hurricane Mk I rozpoczęła się w 1937 roku. Pierwszy seryjny myśliwiec został oblatany 12 października tegoż roku. Pierwsze „huragany” otrzymał w grudniu 1937 roku 111 Dywizjon RAF stacjonujący w Northolt.

Brytyjczycy nie mieli złudzeń, że wybuch wielkiego konfliktu zbrojnego z hitlerowskimi Niemcami jest tylko kwe-

stią czasu. Dlatego też m.in. złożono następne zamówienia na tysiące hurricane'ów. Wytwarzanie tego myśliwca zlecono również innym firmom lotniczym w Zjednoczonym Królestwie. Jednocześnie postanowiono rozpocząć produkcję samolotów w Fort William w Ontario, w Kanadzie.

Dzięki tym posunięciom w momencie przystąpienia do wojny, 3 września 1939 roku, Brytyjczycy dysponowali 497 myśliwcami Hurricane. W maszyny wyposażono 18 dywizjonów, a następne były w trakcie przebrożenia. Podczas produkcji wprowadzano zmiany w konstrukcji samolotu. Myśliwce otrzymały m.in. nowe metalowe skrzydła zamiast pokrytych tkaniną. Wymieniono też drewniane dwupłatowe śmigło na metalowe trzyłopatowe.

W trakcie bitwy o Anglię do dywizjonów RAF-u zaczął trafiać Hurricane Mk IIA z nowym silnikiem Merlin XX. Ze względu na jego wymiary musiano wydłużyć przednią część kadłuba. Szybki rozwój konstrukcji lotniczych w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku spowodował, że w momencie wybuchu wojny hurricane nie był już nowoczesnym myśliwcem. Po bitwie o Anglię wykorzystywano go do innych zadań, jak chociażby bezpośrednie wsparcie wojsk lądowych i zwalczanie czołgów.

Wersja Hurricane Mk IIB przenosiła podwieszane pod skrzydłami dwie bomby o masie 113 kg lub 227 kg. Zamiast nich samolot mógł zabrać odrzucane zbiorniki z paliwem, co zwiększało jego zasięg. Liczbę karabinów maszynowych zwiększono do 12. Odmiana Mk IIB Trop była

TADEUSZ WRÓBEL

Z MOCĄ HURAGANU

Hawker Hurricane był najliczniej wykorzystywanym brytyjskim myśliwcem podczas bitwy o Anglię.



przystosowana do działań w klimacie tropikalnym. Mk IIC miała zmodyfikowane skrzydło i zmienione uzbrojenie, składające się z czterech działek kalibru 20 mm oraz podwieszonych pod skrzydłami bomb. W wersji Mk IID natomiast pod każdym skrzydłem zamontowano gondolę z automatyczną armatą przeciwpancerną kalibru 40 mm z zapasem kilkunastu pocisków. Jednocześnie liczbę karabinów maszynowych zredukowano do jednego w skrzydle. W samolotach tych wzmocniono opancerzenie chroniące pilota, silnik i chłodnicę. Przeznaczone do zwalczania czołgów hurricane'y zyskały przydomek „łatające otwieracze do puszek”.

Ostatnią wersją myśliwca, wprowadzoną do produkcji w zakładach brytyjskich, był Hurricane Mk IV (początkowo oznaczony jako Mk IIE) z „uniwersalnym skrzydłem”. Maszyna ta, poza wspomnianymi już bombami, mogła być uzbrojona w dwa działka Vickers S kalibru 40 mm lub osiem rakiet RP-3. W Hurricane Mk IV montowano silniki Merlin 24 lub Merlin 27 mające dodatkowo opancerzenie. W Kanadzie produkowane były wersje Mk X, Mk XI, Mk XII i Mk XIIA, w których montowano różne silniki Packard Merlin. Najsilniej uzbrojonym spośród wersji kanadyjskich był Hurricane Mk XII. Początkowo montowano w nim tuzin karabinów maszyno-

wych, które potem zastąpiono czterema 20-milimetrowymi działkami. W trakcie wojny część myśliwców przystosowano do działań z pokładów jednostek pływających. Znałe są one jako Sea Hurricane. Inne przystosowano do zadań związanych z rozpoznaniem fotograficznym lub taktycznym.

NA RÓŻNYCH FRONTACH

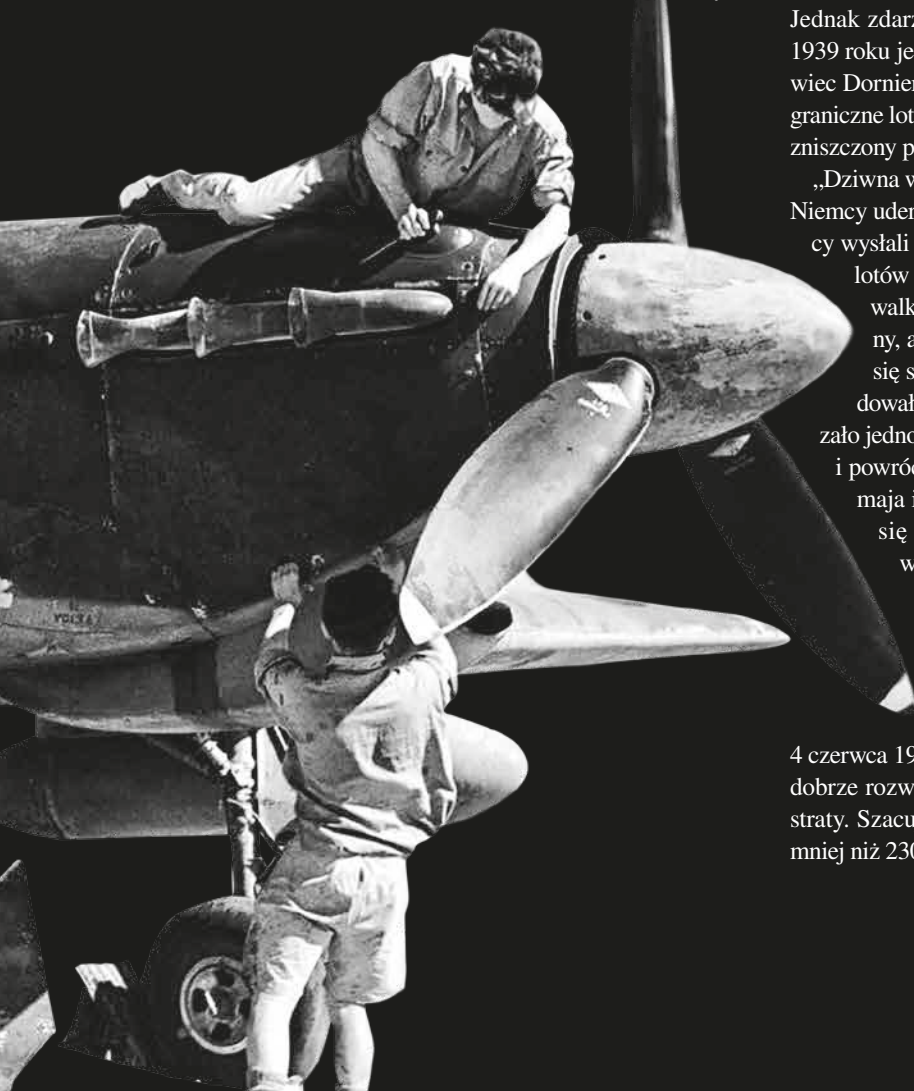
Tuż po wybuchu wojny Francuzi poprosili Brytyjczyków, by przysłali dziesięć dywizjonów myśliwskich. Dowodzący komponentem myśliwskim RAF-u marsz. lot. sir Hugh Dowding był temu niechętny, ale przeważyła polityka. Ostatecznie Brytyjczycy postanowili wysłać do Francji jednostki wyposażone w hurricane'y, a te z nowocześniejszymi spitfire'ami zachować do obrony kraju. We wrześniu 1939 roku na kontynent przybyły 1, 73, 85 i 87 Dywizjon Myśliwski RAF. W listopadzie dołączyły kolejne dywizjony 607 i 615, mające w tym czasie myśliwce Gloster Gladiator (wiosną 1940 roku zastąpiono je hurricane'ami). W pierwszym starciu z Niemcami wzięły jednak udział hurricane'y z 46 Dywizjonu operującego z Wysp Brytyjskich.

Jesienią 1939 roku na froncie zachodnim zapanował wielomiesięczny marazm, znany jako „dziwna wojna”. Jednak zdarzały się starcia powietrzne. 30 października 1939 roku jeden z pilotów 1 Dywizjonu zestrzelił bombowiec Dornier Do-17P, który próbował sfotografować nadgraniczne lotniska aliantów. Był to pierwszy wrogi samolot zniszczony przez RAF nad Europą.

„Dziwna wojna” zakończyła się 10 maja 1940 roku, gdy Niemcy uderzyli na Francję, Belgię i Holandię. Brytyjczycy wysłali na kontynent kolejne cztery dywizjony samolotów Hurricane – 3, 79, 501 i 504. W zaciętych walkach brytyjscy piloci niszczyli wrogie maszyny, ale sami też ponosili duże straty. Pogarszająca się sytuacja na froncie na północy Francji spowodowała, że po południu 20 maja dowództwo rozkazało jednostkom myśliwskim opuścić tamtejsze lotniska i powrócić do kraju. Kilka dni później, na przełomie maja i czerwca, 14 jednostek hurricane'ów starało się zapewnić osłonę powietrzną okrążonym w Dunkierce siłom brytyjsko-francuskim.

Ostatnie brytyjskie myśliwce opuściły terytorium Francji 21 czerwca 1940 roku. Tylko pomiędzy 19 maja a 1 czerwca zniszczonych zostało 119 hurricane'ów. Dzień po zakończeniu ewakuacji z Dunkierki, 4 czerwca 1941 roku, w RAF-ie pozostało ich 331. Dzięki dobrze rozwiniętej produkcji udało się jednak uzupełnić straty. Szacuje się, że do 7 sierpnia wyprodukowano nie mniej niż 2309 hurricane'ów.

ARCHIWUM RAF



Hurricane Mk I



POLSKA CZTERNASTKA

Wśród państw zainteresowanych myśliwcem Hurricane była Polska, która kupiła ich 14. Żaden nie został dostarczony przed wybuchem wojny. Polscy piloci zasiedli w Hurricane Mk I dopiero w czerwcu 1940 roku. Podczas bitwy o Anglię latały na nich dwa nasze dywizjony myśliwskie – 302 i 303.

Służący w tym ostatnim Witold Urbanowicz zestrzelił w trakcie bitwy 15 samolotów wroga, a czeski pilot Josef František, również z Trzysta Trzeciego miał dwa zestrzelenia więcej. Różne wersje hurricane'ów były używane w jeszcze siedmiu innych polskich dywizjonach – 306, 308, 309, 315, 316, 317 i 318.

Bitwa o Anglię formalnie rozpoczęła się 10 lipca, a zakończyła 31 października 1940 roku. Najcięższe walki stoczono od 8 sierpnia do 21 września. Z przypisanych Dowództwu Myśliwskiemu RAF 2739 zniszczonych samolotów wroga 55% padło łupem myśliwców wyprodukowanych przez Hawkera.

Jeszcze w trakcie walk w Europie, w czerwcu 1940 roku, 80 Dywizjon RAF z hurricane'ami przerzucono przez Francję i Maltę do Egiptu. W końcu czerwca pierwsze „huragany” wysłano do obrony Malty, a później znalazły się również w Grecji. Hurricane'y walczyły też w Afryce Wschodniej. W następnym roku na północnoafrykańskim teatrze działań pojawiły się myśliwce Messerschmitt Bf 109 i nowsze maszyny włoskie. Samolotów myśliwskich Hawkera zaczęto używać do innych zadań – jako nocne myśliwce, myśliwce bombardujące lub bezpośredniego wsparcia.

Latem 1941 roku dwa dywizjony hurricane'ów RAF wysłano do Związku Sowieckiego, do obrony strategicz-

nych portów Archangielsk i Murmańsk, przez które Brytyjczycy zaczęli dostarczać pomoc nowemu sojusznikowi. Później sowieckiemu lotnictwu przekazano około 3 tys. myśliwców.

Dopiero po 7 grudnia 1941 roku, gdy Japonia przystąpiła do wojny po stronie Niemiec i Włoch, hurricane'y wysłano na Daleki Wschód. Pierwszych 51 maszyn Mk IIB zmontowano w Singapurze na początku stycznia 1942 roku. Między 27 a 30 stycznia 48 samolotów Hurricane Mk IIA dostarczono na południe Sumatry w Holenderskich Indiach Wschodnich (dzisiejsza Indonezja). Jednak większość z nich została zniszczona na ziemi. Na początku lutego myśliwce, które przetrwały walki na Malajach, ewakuowano na Sumatrę, a potem 18 maszyn trafiło na sąsiednią Jawę. Dodatkowo 12 samolotów Mk IIB dostarczono tam dla lotnictwa holenderskiego. Samoloty te utracono podczas walk o Jawę, które zakończyły się 8 marca 1942 roku po kapitulacji jej obrońców. W następnym miesiącu hurricane'y uczestniczyły w obronie Cejlonu.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Rozpoznanie walką



Sztuka wojenna zna wiele sposobów skłonienia przeciwnika do ujawnienia swych zamiarów. Niekiedy jednak nawet najbardziej przemyślnie fortele zdają się na nic. W sytuacji gdy intencje i siły oponenta są nieprzeniknione, pozostaje jeszcze jeden sposób, czyli tak zwane rozpoznanie walką. Zgodnie ze słownikową definicją jest to wykonanie ataku przez wydzielone siły własne pozostające w bezpośredniej styczności z przeciwnikiem w celu zdobycia o nim i o terenie działań najbardziej aktualnych informacji. Ponieważ przedsięwzięcie takie wiąże się z dużym ryzykiem, z reguły było stosowane tylko w stanie wyższej konieczności. Jedynie w Związku Sowieckim, ChRL oraz armiach powielających wypracowane tam rozwiązania stanowiło ono antidotum na nieumiejętność pozyskania informacji o nieprzyjacielu w inny sposób.

Historia staropolskiej sztuki wojennej dostarcza co najmniej dwóch przykładów nader udanego posłużenia się tym arcytrudnym instrumentem, co ciekawe, oba są świadectwem kunsztu tego samego wodza – Jana Sobieskiego. Po raz pierwszy miało to miejsce podczas bitwy pod Chocimiem w roku 1673, gdy Sobieski dzierżył buławę hetmana wielkiego koronnego, po raz drugi w roku 1683, gdy już jako monarcha szedł na Wiedeń. Batalia, która nie tylko uratowała habsburską stolicę, ale w istotny sposób wpłynęła na losy Europy, rozpoczęła się rankiem 12 września. Siły polskie wyszły na pozycje tureckie po nocnej przeprawie przez Las Wiedeński, zaskakując w ten sposób przeciwnika. Łagodnie opadająca w kierunku oblężonego miasta dolina rzeki Wiedunki zdawała się sprzyjać użyciu mas kawalerii i rozstrzygnięciu bitwy w decydującej szarży. Polski król nie chciał jednak niczego pozostawiać przypadkowi. Teren, na który miała uderzyć jazda, najpierw mozolnie oczyszczała piechota i artyleria, a następnie do boju ruszyła chorągiew husarska dowodzona przez por. Zygmunta Zbierzchowskiego herbu Grzymała. To właśnie on przeprowadził rozpoznanie walką, dzięki któremu wódz zyskał pewność, że na jego konnicę nie czekają żadne niespodzianki. Cena była jednak wysoka – podczas szarży i odwrotu poległo 12 towarzyszy oraz 24 pocztowych, co dla oddziału liczącego około 150 jeźdźców było tożsame z utratą zdolności bojowej.

Znacznie więcej kosztowało rozpoznanie walką Brytyjczyków, którzy 19 sierpnia 1942 roku rzucili przeciwko siłom niemieckim w rejonie portu Dieppe w północnej Francji ponad 6 tys. żołnierzy wspartych niemal dwiema setkami samolotów. Akcja zaplanowana jako przedsięwzięcie w rodzaju uderz i odskocz, czyli zakrojony na dużą skalę rajd, przybrała zupełnie inną formę. W walce z dobrze umocnionymi obrońcami, dysponującymi między innymi silną artylerią nadbrzeżną, dwie brygady kanadyjskiej piechoty straciły ponad 3300 żołnierzy (zabitych lub wziętych do niewoli), brytyjskie i sojusznicze pododdziały sił specjalnych 247 żołnierzy, brytyjskie wojska lotnicze około 100 maszyn i 190 członków załóg, a Royal Navy 550 marynarzy (załoga zatopionego niszczyciela „Berkeley” i uszkodzonych okrętów, obsady utraconych kutrów desantowych i personel punktów lądowania). Jednakże nawet najbardziej zagorzali krytycy całej operacji „Jubilee” zgadzają się, że bez wynikających z niej wniosków szczebla taktycznego, operacyjnego, a także strategicznego tak skuteczne przygotowanie powrotu na kontynent, jak lądowanie w czerwcu 1944 roku w Normandii, byłoby zapewne niemożliwe.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.



HORYZONTY

/ POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Łączka oddała komandorów

21 lipca 1952 roku zostali skazani na śmierć. Dzień później w życie weszła nowa konstytucja, zatwierdzona przez Stalina. Tak rodziła się ludowa Polska. Ciała trójki komandorów oskarżonych o szpiegostwo udało się odnaleźć dopiero po kilkudziesięciu latach.



KMDR STANISŁAW MIESZKOWSKI



KMDR POR. ZBIGNIEW PRZYBYLSKI



DR JERZY STANIEWICZ

R

ankiem 6 lutego 2014 roku dr Witold Mieszkowski odebrał w swoim mieszkaniu na Żoliborzu telefon. „Czy jesteście państwo w domu? Tak...To ja w ciągu 20 minut u państwa będę”. Dzwonił prof. Krzysztof Szwagrzyk z Instytutu Pamięci Narodowej, który od bez mała dwóch lat na warszawskiej Łączce poszukiwał szczątków ofiar komunistycznego reżimu. Dwadzieścia minut póź-

niej, obaj wzruszeni, uścisinęli się bez słów. Tak właśnie została rozwiązana ostatnia zagadka dotycząca udręczenia, śmierci oraz pochówku dowódcy floty – kmdr. Stanisława Mieszkowskiego, 61 lat po morderstwie sądowym i równo 260 dni po odnalezieniu na Łączce jego szkieletu.

6 lutego telefon rozdzwonił się też w mieszkaniu Janiny Bogusławskiej-Narloch, wnuczki kmdr. por. Zbigniewa Przybyszewskiego. „To trudno opisać. Zakręciło mi się w głowie, oczy zrobiły się mokre. A przecież wcześniej wysyłaliśmy do badania DNA: i ja, i krewni od strony dziadka. Żyliśmy nadzieją, ale taka wiadomość...”, wspomina, powstrzymując płacz.

Tu wystarczyło pobrać próbkę śliny. Ale by zidentyfikować kmdr. Jerzego Staniewicza, specjaliści z IPN-u i Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego musieli dostać się do grobu, w którym spoczywał Dudek – tak bliscy mówili o synu Staniewicza, który sześć lat po wojnie zginął wskutek eksplozji niemieckiej miny pułapki. Jednak i ta identyfikacja, choć czasochłonna, przebiegła w końcu pomyślnie. Szczęście w nieszczęściu – szczątki wszystkich trzech oficerów marynarki spoczywały dokładnie tam, gdzie dziś przebiega cmentarna alejka.

KATYŃ, CIĄG DALSZY

Najpierw była służba w przedwojennej marynarce, walka o Hel, wreszcie niemieckie oflagi, w których wszyscy trzej spędzili wojnę. Potem

zaczęli wracać na Wybrzeże. „Kiedy ojciec trafił do niewoli, byłem półtorarocznym dzieckiem. Dopiero teraz miałem go tak naprawdę poznać”, wspomina Witold Mieszkowski. Przedwojenny oficer do wojska nie chciał wracać. Rozpoczął pracę w Głównym Urzędzie Morskim, został kapitanem portu w Kołobrzegu. Miasto po ciężkich walkach przypominało morze ruin. Powoli zaczęli do niego ściągać polscy osadnicy, ale w ocalałych domach gnieździł się jeszcze Niemcy. „Pamiętam, że ojciec nakazał niemieckim rybakom podnieść z dna ich dawne kutry. A potem przyszli Sowieci i wszystkie kutry zabrali na wschód. Powoli zaczynałem poznawać otaczający nas świat i system, w którym nagle przyszło nam żyć”, opowiada Witold Mieszkowski. Jego ojciec nie miał co do komunistów złudzeń. Ci jednak zaczęli kusić. Piotr Szubarczyk, historyk z gdańskiego oddziału IPN-u: „Model był zawsze podobny: »Proszę pana, jest pan doświadczonym oficerem, a Polska jest tylko jedna i bardzo na pana liczy. Kto wychowa przyszłe kadry? Młodzi chłopcy, którzy marzą o służbie na morzu, potrzebują pana. Wielu pańskich kolegów do służby wróciło...«”.

Z Mieszkowskim skontaktował się przedwojenny oficer, kmdr Adam Mohuczy, który teraz pełnił obowiązki dowódcy marynarki wojennej. Poleciał, by ten zorganizował w Gdyni Oficerską Szkołę Marynarki Wojennej. Mieszkowski otrzymał powołanie i na powrót przywdział granatowy mundur. Podobnie potoczyły się losy Przybyszewskiego i Staniewicza. Wszyscy trzej komandorzy, jako świetni specjaliści, szybko awansowali. Pierwszy został dowódcą floty, drugi szefem artylerii MW, trzeci szefem Wydziału MW w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. Ich dni były jednak policzone.

„Oficerowie o przedwojennym rodowodzie dla nowej władzy byli wrogami. Komuniści chcieli ich zgromadzić w jednym miejscu, wykorzystać, a w sprzyjającym momencie zabić.

NA ŁĄCZCE w miejscu anonimowych pochówków ofiar komunistycznego reżimu stanął Pantheon – Mauzoleum Wykłych-Niezlomnych.

Ofiary socjalistycznej „sprawiedliwości”



Komandor Stanisław
Mieszkowski



Komandor Jerzy Staniewicz



Komandor porucznik Zbigniew
Przybyszewski



Komandor porucznik pilot
Kazimierz Kraszewski



Komandor porucznik Robert
Kasperski



Komandor Marian Wojcieszek

Skazani podczas
pokazowego procesu
komandorzy, zajmujący
najwyższe stanowiska
w polskiej flocie



Komandor porucznik Wacław
Krzywiec

Dokończyć to, co rozpoczęli w Katyniu”, mówi Piotr Szubarczyk. Witold Mieszkowski dodaje: „Komuniści liczyli się z tym, że w końcu wojna z Zachodem może wybuchnąć. A wtedy tacy ludzie jak mój ojciec poprowadziliby flotę przeciwko nim. Tego bali się jak ognia”.

MARSZAŁEK OD CZYSTKI

„Dziadek chciał odejść ze służby”, opowiada Janina Bogusławska-Narloch. „Pobyt w obozie jenieckim odbił

się na jego zdrowiu. Chorował na serce, zaczęły mu dukać nerki. W połowie września wybrał się do Warszawy, by złożyć dymisję. Babcia wspominała potem, że na odchodnym rzucił: »Gdyby się coś ze mną stało, ty musisz wrócić do pracy«. Babcia Helena była aktorką Teatru Lalek... Komuniści wiedzieli, że dziadek nie ufa sowieckiej władzy. Kiedyś nieopatrznie miał coś takiego powiedzieć podczas odbudowywania baterii w Redłowie”, tłumaczy wnuczka kmr. por. Przybyszewskiego.



Tymczasem terror w wojsku narastał. W listopadzie 1949 roku ministrem obrony w rządzie Józefa Cyrankiewicza został sowiecki marszałek Konstanty Rokossowski. Miał oczyścić polską armię z „niepewnego elementu”. Wkrótce podpisał rozkaz nr 26, który stał się sygnałem do rozpoczęcia czystki. Jeszcze w tym samym roku do aresztu trafił, przeniesiony wcześniej w stan spoczynku, kadm. Adam Mohuczy. Przez długie miesiące torturowany, stanął przed sądem za sabotaż. Śledczy tak właśnie zakwalifikowali zatarcie silników w ścigaczach. Mohuczy został skazany na 13 lat, ale końca wyroku nie doczekał. W 1953 roku zmarł w sztumskiej celi. W 1950 roku pod sąd trafili też czterech generałów: Stanisław Tatar, Jerzy Kirchmayer, Stefan Mossor i Franciszek Herman. Komuniści oskarżyli ich o szpiegostwo. Wyroki zapadły rok później. Wszyscy zostali skazani na dożywocie. Sprawa generałów pociągnęła za sobą tzw. procesy odpryskowe. Uwagę śledczych znów przyciągnęła marynarka wojenna.

Miesiąc po Przybyszewskim aresztowany został Mieszkowski. A po nim, w krótkich odstępach czasu, kolejni – w tym Jerzy Staniewicz. W sumie za kraty trafiło ośmiu oficerów z Dowództwa Floty, z Wydziału Marynarki Wojennej Sztabu Generalnego i Sztabu Głównego Marynarki Wojennej. Najważniejsze osoby w siłach morskich.

CZARNY KOC Z LONDYNU

„Kiedy ojciec zniknął, mama poszła najpierw do politruka marynarki wojennej Józefa Urbanowicza, późniejszego wiceministra obrony narodowej, potem do rezydenta sowieckiej marynarki kadm. Iwana Szylingowskiego. Żaden z nich jednak nie potrafił albo też nie chciał powiedzieć, co się z ojcem działo. Byli wyraźnie zdenerwowani”, opowiada Witold Mieszkowski. A potem po kancelariach floty zaczęły krążyć dokumenty. Kmdr Mieszkowski został oddany do dyspozycji ministra obrony, zabrano mu uposażenie, stopień. Wreszcie rodzina dowiedziała się, że będzie proces. Tyle że tajny. „Matka wyszukała ojcu adwokata, ale dostała odpowiedź, że nie zostanie on do rozpraw dopuszczony”, wspomina Witold Mieszkowski. Męża zobaczyła jeszcze dwa razy w życiu. Już po wyroku.

Jednocześnie na rodziny uwięzionych oficerów zaczęły spadać szykany. Witold Mieszkowski

„WYROK NA TWOIM OJCU ZOSTAŁ WŁAŚNIE WYKONANY”, USŁYSZAŁ. „CZY TERAZ WIERZYSZ W SOCJALISTYCZNĄ SPRAWIEDLIWOŚĆ?”

wspomina: „Zostaliśmy wyrzuceni z domu, dwukrotnie. W końcu wylądowaliśmy w mieszkaniu bez dostępu do łazienki. Chodziłem się kąpać do kolegi. Jego ojciec był kapitanem żeglugi wielkiej. W pewnym momencie jednak zauważyłem, że coraz więcej czasu spędza, siedząc w fotelu i paląc papierosy. Potem dowiedziałem się, że odsunęli go od pływania. Za kontakty z »pomiotem szpiega i zbrodniarza«”.

Mieszkowscy zaczęli z trudem wiązać koniec z końcem. „Mama pracowała w księgowości Centrali Rybnej. Musieliśmy utrzymywać się z jednej niewysokiej pensji. Starałem się dorabiać, przygotowując dla gdyńskich szkół gazetki ścienne. Śmierć Stalina okazała się dla mnie wybawieniem także z tego powodu, bo zleceń na gazetki było wówczas co niemiara”, opowiada syn komandora.

Dom stracili też Przybyszewscy. „Dziadkowie mieszkali w Gdyni. Po wyroku musieliśmy się przeprowadzić do Torunia. Wróciliśmy dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy dziadek został zrehabilitowany. Ale w domu mieszkali już inni ludzie, którzy nie chcieli go opuścić. Babci z trudem udało się odzyskać swoją własność”, wspomina Janina Bogusławska-Narloch. Stało się to jednak dopiero po kilku latach. Na razie



Kmdr Stanisław Mieszkowski został aresztowany w 1950 roku. „Nikt nie chciał powiedzieć, co się z ojcem działo”, wspomina jego syn Witold

jest rok 1952, a żona komandora Przybyszewskiego usiłuje uzyskać kolejne widzenie. Do tej pory miała tylko jedno. „Dostała wtedy pocztą koc”, opowiada wnuczka komandora. „Wysłał go wujek Janek, serdeczny kolega dziadka, który po wojnie mieszkał w Londynie. Babcia za-farbowwała koc na czarno i pojechała do Warszawy. Chciała, żeby dziadek miał w celi ciepło. Na miejscu dowiedziała się, że wyrok został właśnie wykonany. Półprzytomna babcia przez kilka godzin błąkała się po mieście...”.

5 stycznia 1953 roku w stolicy pojawił się też Witold Mieszkowski. Miał zaledwie 15 lat, ale był nad wiek dojrzały. Do szkoły poszedł przed czasem, właśnie przygotowywał się do matury. W poszukiwaniu wieści o ojcu trafił do Naczelnej Prokuratury Wojskowej, gdzie został dopuszczony do gabinetu samego jej szefa Stanisława Zarakowskiego. „Wyrok na twoim ojcu został właśnie wykonany”, usłyszał. „Czy teraz wierzysz w socjalistyczną sprawiedliwość?”. „Nie wierzyłem, nie wierzę i nigdy nie uwierzę”, odpowiedział Mieszkowski. Dziś, wspominając tamtą rozmowę, przyznaje: „Żałuję tylko jednego. Że wychodząc, nie miałem tyle odwagi, by trzasnąć drzwiami”.

NARODZINY LUDOWEJ POLSKI

To nie było zwyczajne śledztwo. Aresztowani oficerowie zostali wywiezieni do Warszawy, gdzie zajęli się nimi funkcjonariusze Głównego Zarządu Informacji MON. Organ, w skrócie zwany Informacją Wojskową, miał walczyć m.in. ze szpiegostwem i dywersją. W owym czasie na jego czele stał sowiecki płk Dmitrij Wozniesiński. Komandorami zajmowali się śledczy przysłani z ZSRR – wysoko wykwalifikowani specjaliści od łamania ludzi. Aresztowanych poddali długotrwałym torturom. Wojskowa prokuratura zarzuciła oficerom szpiegostwo i zorganizowanie w wojsku spisku, którego celem było obalenie ustroju. „Oczywiście nie było na to żadnych dowodów. Brutalne śledztwo trwało wiele miesięcy. Pobyt w sowieckich karcerach potrafili wytrzymać nieliczni. Niektórzy na skutek tortur przyznali się do niepopelnionych czynów. Podczas procesu także oni odwołali swoje wcześniejsze zeznania. Choć faktycznie słowo »proces« należałoby brać w cudzysłów. Bo to była farsa. Rozprawy odbywały się poza gmachem sądu, komandorzy nie mieli zaś prawa do obrony”, tłumaczy Piotr Szubarczyk.

Na ławie oskarżonych zasiadło siedmiu oficerów (ósmy jeszcze w więzieniu ciężko zachorował, został zwolniony i zaraz potem zmarł). 21 lipca 1952 roku pięciu z nich usłyszało wyroki śmierci, pozostałych dwóch dostało kary dożywotniego więzienia. Data nie była przypadkowa. Dzień później weszła w życie nowa konstytucja, w której projekcie Stalin osobiście wniósł kilkadziesiąt poprawek. Rodził się PRL.

Tymczasem czterech skazanych na śmierć zawnioskowało o łaskę do Bolesława Bieruta, prezydenta z sowieckiego nadania (z takiej możliwości zrezygnował kmr por. Przybyszewski). Ten zaś przychylił się do dwóch wniosków, podsuniętych mu przez Zarakowskiego. Ostatecznie zginąć mieli trzej komandorzy: Mieszkowski, Staniewicz i Przybyszewski.

12 grudnia 1952 roku Jerzy Staniewicz został sprowadzony do piwnicy więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Za jego plecami stanął kat. Podniósł pistolet i z kilku centymetrów wymierzył w potylicę. Padł strzał. Śmierć była natychmiastowa. Cztery dni później w podobny sposób życie zakończyli Stanisław Mieszkowski i Zbigniew Przybyszewski.

ŚWIATŁO DAJE NADZIEJĘ

O śmierci bliskich rodziny wiedzieli już kilka tygodni po egzekucji, ale była to wiedza niepoparta żadnymi oficjalnymi dokumentami. Co więcej, rozpacz szybko została wyparta przez niepewność. A może i nadzieję? Pod koniec 1953 roku z Polski uciekł do Berlina wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – Józef Światło. Kilka miesięcy później na falach Radia Wolna Europa zaczął opowiadać o kulisach funkcjonowania systemu komunistycznego. W pewnym momencie rzucił: „Trzech wyższych oficerów marynarki wojennej zostało wywiezionych w głąb ZSRR”. Bez dat, bez nazwisk... Potem przygasająca nadzieja została rozbudzona raz jeszcze.

W 1956 roku okowy systemu na chwilę puszczają. Na głowę nieżyjącego już Stalina i jego popleczników sypią się gromy, w Polsce do władzy wraca Gomułka, zamordowani komandorzy zostają zrehabilitowani. Ich rodziny chcą się dowiedzieć, gdzie spoczywają ciała bliskich. Domagają się ekshumacji i godnego ich pochówku. „Wtedy dostaliśmy krótką informację: »Ekshumacja zwłok jest niemożliwa«,” wspomina Witold Mieszkowski. Niemożliwa? Dlaczego? Czyżby w ogóle ich nie było? Ale upływający czas rozwiewał złudzenia. Pozostawało szukać grobów.

„Długo myślałem, że ciała ojca i jego kolegów mogły zostać zagrzebane w Rembertowie”, wyjaśnia Witold Mieszkowski. „Tam mieścił się bolszewicki obóz dla oficerów AK, poza tym miejsce położone było na uboczu, z dala od ludzkich oczu. Ale pani Janeczka, żona kmr. Staniewicza, która mieszkała w Warszawie, mówiła: »Wdowy chodzą na Łączkę. Tam składają kwiaty, zapalają znicze... «”.

Łączka była wówczas niewielką polaną przylegającą do cmentarza na wojskowych Powązkach. Potem została włączona w obręb nekropolii, w początkach zaś lat osiemdziesiątych wjechały na nią koparki. „Komuniści zaczęli





TRZECH ZIDENTYFIKOWANYCH KOMANDORÓW SPOCZNIE WKRÓTCE NA CMENTARZU MARYNARKI WOJENNEJ W GDYNI. NA OKSYWIU POWSTAJE SPECJALNA KWATERA PAMIĘCI, W KTÓREJ DOCELOWO ZOSTANIE POCHOWANYCH 21 MARYNARZY – OFIAR KOMUNISTYCZNEGO REŻIMU

tworzyć tam kwaterę dla zmarłych, zasłużonych dla PRL-u”, tłumaczy prof. Krzysztof Szwagrzyk. Prawda o Łączce wyszła na jaw dopiero w 1989 roku, już po upadku komunizmu. Wtedy w archiwach prokuratury został odnaleziony tzw. protokół komisji Kosztirki [od nazwiska ówczesnego prokuratora]. 33 lata wcześniej badała ona sprawę tajnych pochówków żołnierzy, którzy zostali zamordowani przez władzę ludową. Prokuratura wojskowa raz jeszcze wszczęła w tej sprawie śledztwo. W 1993 roku zostało jednak umorzone. „Stało się tak bez przesłuchania świadków, których zeznania mogłyby sporo wniesić. Choćby stalinowskiego prokuratora wojskowego Mariana Frenkla, którego podpis widnieje pod protokołem. Mało tego, w prokuraturze apelacyjnej usłyszałem wówczas, że ekshumacji nie będzie, bo to nie jest sprawa publiczna, lecz... moja prywatna”, wspomina Witold Mieszkowski.

Prace na Łączce ruszyły dopiero w 2012 roku. Kilkanaście miesięcy później ekipa prof. Szwagrzyka odnalazła szczątki płk. Aleksandra Kity, straconego 3 grudnia 1952 roku. Kilka dni przed komandorami. Witold Mieszkowski: „Wiedzieliśmy, że ich szczątki muszą spoczywać gdzieś tutaj...”.

CZEKAJĄC NA ADMIRAŁA

„Na Łączce w latach 1948–1956 komuniści w beziemiennych dołach pogrzebali około 300 osób. Wydobyliśmy szczątki wszystkich. Niestety bardzo mało z nich to kompletne szkielety. Koparki pracujące tu w latach osiem-

dziesiątych zniszczyły większość z nich”, przyznaje prof. Szwagrzyk. Prace identyfikacyjne wciąż trwają. W miejscu anonimowych pochówków stanął Panteon – Mauzoleum Wyklętych-Niezlomnych. Tymczasem trzech zidentyfikowanych komandorów spocznie wkrótce na Cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni. Na Oksywiu powstaje specjalna Kwatera Pamięci, w której docelowo zostanie pochowanych 21 marynarzy – ofiar komunistycznego reżimu. W przyszłym roku – na stulecie niepodległości Polski – dołączy do nich przedwojenny dowódca floty i dowódca obrony Wybrzeża 1939, wiceadmiral Józef Unrug. W latach siedemdziesiątych zmarł na emigracji, jego grób jest we francuskim Montrésor. W testamencie zaznaczył, że kiedyś chciałby spocząć obok swoich podwładnych z Helu, pomordowanych przez komunistów. Pogrzeb trzech komandorów będzie uroczystością państwową z honorami wojskowymi. Odbędzie się on jeszcze w tym roku – 16 grudnia, dokładnie w 65. rocznicę śmierci kadm. Stanisława Mieszkowskiego i kmdr. Zbigniewa Przybyszewskiego.

„Kiedy myślę o pogrzebie, przed oczami staje mi nota identyfikacyjna z ekshumacji. Szkielet był ułożony tak, jakby dziadek się modlił, na klęczkach ze złożonymi rękoma... Nie zdążyłam go poznać. Ale wszyscy powtarzali, że to był bardzo dobry człowiek”, mówi Janina Bogusławska-Narloch. Witold Mieszkowski dodaje: „Mam prawie 80 lat. W 1944 roku byłem w Warszawie. Powstanie było zamknięciem mojego dzieciństwa. Pogrzeb na Oksywiu zamyka moje życie”.

Nagroda Animus Fortis, czyli Mężny Duch, jak tłumaczy gen. dyw. prof. dr hab. n. med. Grzegorz Gielerak, dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego, ma nawiązywać do najlepszych tradycji służb medycznych, które przed II wojną światową skrytykowały się w koncepcji budowy pomnika sanitariusza dla uczczenia pamięci poległych członków służby zdrowia.

Monument, który upamiętniłby medyków poległych w walkach o odzyskanie niepodległości, miał stanąć w Warszawie. Jego pomysłodawcami byli gen. bryg. dr n. med. Stefan Hubicki, komendant Oficerskiej Szkoły Sanitarnej funkcjonującej na terenie Zamku Ujazdowskiego w Warszawie, oraz gen. bryg. dr n. med. Stanisław Rouppert, szef Departamentu Służby Zdrowia Ministerstwa Spraw Wojskowych. Projekt zamówiono u jednego z najwybitniejszych ówczesnych rzeźbiarzy, Edwarda Wittiga, profesora warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (jego dziełem jest m.in. warszawski pomnik Lotnika). Artysta zaprojektował pomnik przedstawiający sanitariusza w mundurze wojskowym, podtrzymującego za ramiona ранnego żołnierza. Środki na budowę zbierano w całej Polsce w ramach dobrowolnych składek. Powstał gipsowy model obelisku, a w 1937 roku rozpoczęto prace nad jego odlewem z brązu. Niestety starania te przerwała II wojna światowa i pomnik nie powstał.

Teraz idea jego budowy przyświecała pomysłodawcom nowej nagrody WIM-u. „Pracując nad regulaminem, nawiązaliśmy też do zasad obowiązujących podczas odznaczania bohaterskich żołnierzy najwyższymi orderami wojskowymi, kiedyś Virtuti Militari, obecnie Orderem Krzyża Wojskowego. Tam też są klasy za osobiste męstwo oraz za dowodzenie”, wyjaśnia Jarosław Rybak z WIM-u, pomysłodawca nagrody.

Animus Fortis ma być przyznawana raz w roku w dwóch kategoriach. Pierwsza, za osobiste męstwo, obejmuje tych, którzy wyróżnili się w znaczący sposób w akcji ratowniczej. „Laureatem może zostać osoba pełniąca służbę bądź zatrudniona w instytucji realizującej zadania ratownicze np. w wojsku, policji, straży pożarnej, służbie zdrowia, Wodnym Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym, Tatrzańskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym, Górskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym”, wylicza Jarosław Rybak. Druga kategoria jest

ANNA DĄBROWSKA

MĘŻNY DUCH

**Wojskowy Instytut Medyczny
chce uhonorować najlepszych
przedstawicieli służb
ratowniczych.**



przeznaczona dla przedstawiciela instytucji, która znacząco wpłynęła na pozytywne zmiany, pozwalające skuteczniej ratować ludzkie życie.

Kandydatów do nagrody mogą zgłaszać do 5 stycznia 2018 roku zarówno indywidualne osoby, jak i instytucje. Zwycięzców wybierze kapituła pod przewodnictwem dyrektora WIM-u. Zasiadają w niej m.in. przedstawiciele premiera RP, ministrów obrony narodowej, spraw wewnętrznych i administracji, zdrowia, a także WIM-u.

Po analizie przesłanych wniosków kapituła wskaże pięć osób w kategorii indywidualnej oraz trzy nominacje w kategorii dotyczącej instytucji. „W tej pierwszej nagrodę otrzyma jedna osoba, a czterem zostaną wręczone dyplomy honorowe. W drugiej będą przyznane jedna nagroda i dwa dyplomy”, wyjaśnia gen. Gielerak. Nagrodą jest statuetka przedstawiająca miniaturę pomnika sanitariusza.

„Dzięki temu, że udało nam się zgromadzić w kapitule przedstawicieli ministerstw, w których działają służby ratownicze, mamy szansę, aby Animus Fortis stała się prestiżową, ponadresortową nagrodą”, dodaje gen. Gielerak. Została ona też objęta patronatem premiera RP. ■

M J R D A N U T A A N T O N I N A P R Z Y S T A S Z
„D A N U T A”, „B R Z O Z A”, „S K I B A”



#RycerzeBialoCzerwonej

Urodzona i wychowana w II Rzeczypospolitej Danuta Przysasz przeżyła II wojnę światową, walcząc m.in. w konspiracji i powstaniu warszawskim.

Los nie szczędził jej cierpień. Na najwyższy laur, jakim było otrzymanie Orderu Wojennego Virtuti Militari, czekała ponad pół wieku. Dla Polski pracowała najlepiej jak się dało. Dlatego należy do grona obrońców Biało-Czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

DAMA SPOD ZNAKU BIAŁO-CZERWONEJ

Z Danutą Przystasz

**o potrzebie działania, otwarciu na innych i woli przetrwania
rozmawia Jacek Matuszak.**

Pani Danuto, jest pani majorem Wojska Polskiego i damą najważniejszego polskiego odznaczenia bojowego – Orderu Wojennego Virtuti Militari. Czy czuje się Pani osobą wyjątkową?

Nie, absolutnie nie.

Obecnie powracamy do dorobku II Rzeczypospolitej. Dla większości z nas to historia, którą znamy jedynie z książek. Dla Pani to powrót do dzieciństwa i dorastania. Jak wspomina Pani tamte lata?

Był to ważny okres w moim życiu. Mieszkaliśmy z rodziną w Sanoku i życie wcale nie było takie łatwe.

Teraz patrzy się na to inaczej, ale wtedy bywało naprawdę trudno. Chodziłam do szkoły, w 1938 roku ukończyłam czteroklasowe gimnazjum w Sanoku i rozpoczęłam naukę w liceum. Nie mieliśmy takich możliwości, jakie ma obecna młodzież, nie jeździliśmy nad

morze czy w góry. Były po prostu inne warunki. To, co ważne, zdążyłam zobaczyć dzięki obozom młodzieżowym. Byłam na Wileńszczyźnie, podążaliśmy szlakiem Adama Mickiewicza od Zaolzia aż do Wilna i z powrotem, byłam nad Świtezią, byłam na Roscie. Odwiedziłam też Warszawę i Lwów, który był naszym miastem wojewódzkim. Ponadto działałam w Lidze Morskiej i Kolonialnej. Ciekawiło mnie lotnictwo... Zresztą wtedy ciekawiło mnie wiele rzeczy. Nie miałam jeszcze konkretnych planów na dalsze życie, ale

zawsze byłam aktywna, działałam społecznie. Jeszcze w 1939 roku ukończyłam różne szkolenia w ramach przysposobienia wojskowego. Nie było łatwo godzić naukę z dodatkowymi obowiązkami, ale robiliśmy to chętnie.

A potem wybuchła wojna.

To było bardzo przykre. Nawet dziś trudno mi o tym opowiadać. Kiedy to wszystko się zaczęło, razem z rodzicami znalazłam się wśród tych, którzy musieli uciekać. Bałam się, jak wielu innych, że z tego nie wyjdę.

WIZYTÓWKA

**DANUTA ANTONINA
PRYZYSTASZ**

W konspiracji „Danuta”, „Brzoza”, „Skiba”. Urodzona 13 czerwca 1920 roku w Niewiście na Podkarpaciu, absolwentka prawa Uniwersytetu Warszawskiego, uczestniczka powstania warszawskiego, wieloletni redaktor. Dama Orderu Wojennego Virtuti Militari, od 20 kwietnia 2017 roku Honorowy Obywatel Sanoka, a od 11 lipca 2017 roku także Honorowy Obywatel Gminy Dydnia. ■

Mimo tego wszystkiego, co niosła ze sobą wojna, nie poddała się Pani. Przez całą okupację działała w różnych strukturach, m.in. w Mieczu i Pługu, Związku Kobiet Czynu i Wojskowym Korpusie Służby Bezpieczeństwa. Jak w warunkach okupacji decydowało się o tym, do której organizacji wstąpić?

Przed wszystkim zawsze starałam się nieść pomoc potrzebującym. W tamtym czasie nie było najważniejsze, do której konkretnie organizacji się należy. Każdy, kto chciał działać, coś robić, szukał dla siebie miejsca. Wielu ludzi wstępowało do dużych organizacji, inni skrzykiwali się w swoim najbliższym otoczeniu. Ja też chciałam działać. Zaraz po kampanii wrześniowej Sanok stał się jednym z pierwszych punktów przewozu, rozładunku jeńców wojennych. Żołnierze, którzy stali się jeńcami, prosili nas o cywilne ubrania. Przyносили im żywność, różne potrzebne rzeczy, póki nie wywieziono ich dalej, na zachód. Dla tych, którzy postanowili uciec przed niewolą, trzeba było przygotować m.in. odzież, a następnie znaleźć kwatery. To były początki naszej konspiracji.

Jak ona wyglądała z Pani perspektywy?

Razem z moim bratem Mieczysławem działaliśmy w konspiracji w Sanoku i okolicach. Nasz brat Zbigniew, który jako podporucznik rezerwy jeszcze przed wybuchem wojny został zmobilizowany, po kampanii wrześniowej trafił do sowieckiej niewoli. Był najpierw w Kozielsku, a potem zginął w Kатыniu. Ale wtedy, działając w okolicach Sanoka, jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Nie było to jednak ani łatwe, ani bezpieczne, bo Niemcy nas poszukiwali.

Pewnej nocy, na Wielkanoc 1942 roku, gdy spaliliśmy z bratem na strychu budynku gospodarczego w obejściu rodziców, niespodziewanie przyjechali Niemcy. Nasza mama zachowała się bardzo odważnie. Zaczęła ich głośno witać, nawet wyniosła im świeżo upieczony chleb. Bała się, że możemy spać i nie zdążymy zbiec. Ale my byliśmy czujni i przez obłuzowaną deskę uciekliśmy z tego poddasza. Tyle że, choć to był koniec marca, leżał jeszcze śnieg. Gdyby Niemcy okrążyli budynki, mogliby odkryć nasze ślady. Aby

Nie zastanawiałam się nad tym, czy przystąpić do powstania.

Choć nie stałam na barykadzie i nie strzelałam, to robiłam ważne rzeczy, które umożliwiały ludziom przetrwanie

odwrócić ich uwagę, mama pokazywała im różne przedmioty, z których oni część zabrali. Godziła się na wszystko, bylebyśmy tylko zdążyli uciec.

Jak zatem trafiła Pani do Warszawy?

Kiedy było już pewne, że nie możemy pozostać dłużej w domu ani w mieście, udaliśmy się do Warszawy. Ale to też nie było proste, bo na początku nie miałam się gdzie zatrzymać, nie miałam kontaktów. Ale jakoś się tam odnalazłam.

W Warszawie nadal działała Pani w konspiracji?

Tak. Kiedyś doszło do takiej niebezpiecznej sytuacji. Niosłam paczkę z prasą konspiracyjną i na ulicy niespodziewanie zatrzymał mnie jakiś Niemiec. Wziął pakunek i zapytał, co jest w środku. Odpowiedziałam, że książki, a po zważeniu paczki na palcu chyba mi uwierzył, bo bez zaglądania do środka puścił wolno. Poszłam dalej na miękkich nogach. Ale z tego strachu niemal natychmiast częściowo

osiwiałam, o czym chwilę potem powiedział mi jakiś nieznany przechodzień.

Mimo że nie była Pani warszawianką, wzięła udział w powstaniu warszawskim...

Tak. Choć wybuch powstania mnie zaskoczył, nie zastanawiałam się, czy się do niego włączyć. Jako łączniczka działałam w Pomocniczej Służbie Kobiet AK na Żoliborzu, gdzie m.in. opiekowałam się kuchnią polową. Nie powiem, że stałam na barykadzie i strzelałam. Nie. Ja naprawdę uważam, że robiłam ważne rzeczy, takie, które po prostu umożliwiały ludziom przetrwanie. Jednym z moich najtrudniejszych wspomnień z powstania jest ten moment, kiedy zostałam uwięziona w piwnicy jednej ze zbombardowanych kamienic. Ale i z tego udało mi się jakoś wyjść.

Czy wtedy uważała Pani, że powstanie powinno wybuchnąć? Jak patrzy Pani na to po latach?

Uważałam – i teraz też tak uważam – że trzeba było walczyć. My po prostu musieliśmy to zrobić. Wielu z nas należało do różnych organizacji, ale uważaliśmy, że musimy podjąć walkę, bo długo na to czekaliśmy.

A czym się Pani zajmowała już po zakończeniu powstania?

Bezpośrednio po powstaniu, gdy wypędzano cywiliów z miasta, razem z jedną z koleżanek udało mi się uciec z kolumny eskortowanej przez Niemców. W okolicach Pruszkowa postanowiliśmy spróbować szczęścia i, mimo że za nami strzelali, udało się.

Potem, aż do zakończenia wojny, pracowałam w okolicach Skierniewic w tamtejszym WKSB AK, w III Dywizji. Mając komórkę legalizacyjną w Skierniewicach, przede wszystkim staraliśmy się zaopatrzyć tych warszawiaków, którzy nie mieli dowodów osobistych w warszawskie kenkarty, aby nie zostali wywiezieni do Niemiec na roboty. Dostarczałam też granaty i broń oraz rozkazy do naszych komórek rozlokowanych na pograniczu Puszczy Bolimowskiej.

Jak potoczyły się Pani późniejsze losy?

Już po zakończeniu wojny razem z bratem udaliśmy się do Olsztyna. Tam podjęłam pracę, a jednocześnie rozpoczęłam studia prawnicze w filii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Niestety 17 października 1945 roku UB aresztowało mojego brata, a dwa dni później mnie. Od razu nas rozdzielono, a następnie przewieziono do Warszawy. Najpierw byłam zamknięta na ulicy Koszykowej, w podziemiach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Stamtąd przewieźli mnie

do oddziału śledczego więzienia na Rakowieckiej. Przez trzy miesiące siedziałam tam w izolacie. Nikt z rodziny nie wiedział, co się ze mną stało. Przeszłam bardzo dużo. Nieustanne przesłuchania – nie tylko dzień, ale przeważnie w nocy. Potem było mi trochę łatwiej, bo znalazłam się w celi z sześcioma innymi osobami. Zwolniono mnie pod koniec maja 1946 roku i nigdy oficjalnie nie usłyszałam zarzutów. Starłam się też ustalić, gdzie jest przetrzymywany mój brat Mieczysław. Wysyłałam paczki do Wronek, do Rawicza, na Rakowiecką, do Opola. Jeśli paczka nie wróciła z danego miejsca, to znaczyło, że on tam był. Jechałam tam i starałam się mu pomagać. Tak było przez dziewięć lat, bo brata wypuszczono dopiero w 1954 roku.

Jak Pani wspomina pierwsze lata na wolności?

Próbowałam podjąć pracę, choć początkowo nie było mi łatwo – mimo że w 1951 roku skończyłam prawo na Uniwersytecie Warszawskim, z powodu mojej przeszłości nikt nie chciał mnie zatrudnić. Dopiero po dłuższym czasie udało mi się dostać posadę w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych, przekształconych następnie w Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Byłam tam najpierw redaktorem, potem kierownikiem redakcji, aż doszłam do funkcji zastępcy redaktora naczelnego. Pod koniec 1981 roku przeszłam na emeryturę. Zająłam się także spuścizną po moich braciach. Już wiedziałam, że starszy z nich, Zbigniew, zginął w Katyniu. Pojechałam tam w 1989 roku, jak już to było możliwe. Uczestniczyłam też w organizowaniu i pracach warszawskiego Stowarzyszenia Rodzina Katyńska.

A kiedy dostała Pani Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari?

Odnaczone mnie w roku 2002, ale z wnioskiem o odznaczenie wystąpili moi przełożeni jeszcze w listopadzie 1944 roku. Czułam się i czuję bardzo uhoonorowana odznaczeniem, które otrzymałam. Mam świadomość, że było i jest wielu godniejszych ode mnie pod względem waleczności, bohaterstwa. Ale kiedyś, jeszcze w 1945 roku, sztab III Dywizji WKSB AK postanowił przyznać mi to piękne odznaczenie. Sprawa długo przeleżała, bo wiadomo, jakie były warunki, ale warto było czekać.

Czy jest coś, co chciałaby Pani przekazać dzisiejszemu pokoleniu nastolatków?

Żeby pamiętali, że najważniejsze to wziąć się do pracy, a to, co się robi – robić dobrze. ■



TOMASZ STAŃCZYK

CADILLAC I PIĄTKA TREFL

W Muzeum Józefa Piłsudskiego, które powstaje obok dworku Milusin, zostaną zgromadzone pamiątki po Marszałku.

Po zwycięskim zakończeniu wojny z bolszewicką Rosją, 14 listopada 1920 roku na placu Zamkowym w Warszawie, podczas obchodów drugiej rocznicy odzyskania niepodległości, odbyła się uroczystość wręczenia Józefowi Piłsudskiemu buławy marszałkowskiej. Przyjął ją z rąk najmłodszego kawalera orderu Virtuti Militari, szer. Jana Żywka. Buławę wykonaną ze srebra i złota zaprojektował prof. Mieczysław Kotarbiński z Wydziału Zdobnictwa i Grafiki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Jest to jedna z najcenniejszych pamiątek po Józefie Piłsudskim.



W MUZEUM W SULEJÓWKU zabraknie Kasztanki, która została spalona po II wojnie światowej, podobno na polecenie marszałka Michała Roli-Żymierskiego. Według anegdoty, Żymierski zemścił się za to, że klacz kiedyś go ugryzła.

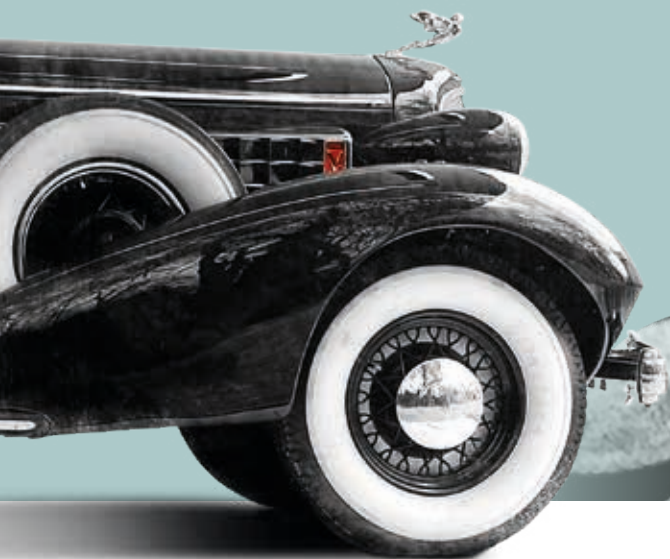
SZABLE NA EMIGRACJI

Wkrótce po śmierci Marszałka, w styczniu 1936 roku Sejm uchwalił ustawę, na mocy której utworzono Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze. Pałac został nazwany Przybytkiem Narodowym. We wrześniu 1939 roku płk Adam Borkiewicz, kustosz muzeum, polecił spakować najcenniejsze pamiątki, takie jak mundur Marszałka, pierścień z wizerunkiem

Kościuszki, który Piłsudski dostał po objęciu stanowiska Naczelnika Państwa, pióro, którym podpisywał akty prawne, buława, szable, pistolet Browning, klucze Wilna, ryngraf od uczestników patrolu Beliny, listy i rękopisy.

Dwa pistolety Browning z czasów Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, które były w Belwederze i w budynku Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich, gdzie Piłsudski miał gabinet, a zarazem mieszkanie, służyły jako przyciski do papierów rozłożonych zwykle w wielkim nieładzie na biurku. Marszałek surowo zabraniał robienia porządków, lecz, jak stwierdzał jego adiutant kpt. Mieczysław Lepecki, znakomicie orientował się w swoim bałaganie.

Szablę z wygrawerowanym napisem „Oficerowie I Brygady swemu Komendantowi” Piłsudski dostał w drugą rocznicę wymarszu Kompanii Kadrowej z Oleandrów. Miał ją przy sobie w więzieniu w Magdeburgu, nosił też jako Wódz Naczelny podczas wojny z bolszewicką Rosją. Kaukaski kindżał natomiast był prezentem od oficerów i żołnierzy szwa-



MARSZAŁEK CENIŁ AMERYKAŃSKIE CADILLAKI.

OPANCERZONY
MODEL 355 D
TEJ MARKI
ZOSTAŁ ZAMÓWIONY
NA KRÓTKO PRZED
JEGO ŚMIERCIĄ

dronu słynnego kresowego zagończyka, rtm. Feliksa Jaworskiego.

Rysunek kluczy Wilna wykonany przez prof. Ferdynanda Ruszczyca został wręczony Józefowi Piłsudskiemu w kwietniu 1919 roku, kilka dni po oswobodzeniu miasta od bolszewików. Według szkicu wykonano klucze ze srebra i Marszałek otrzymał je przed Ostrą Bramą w 1922 roku podczas uroczystości przekazania Rzeczypospolitej władzy nad Wileńszczyzną.

Pamiętki z belwederskiego muzeum we wrześniu 1939 roku zostały przewiezione do Rumunii, stamtąd do Francji, a następnie do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Córkę Marszałka, po powrocie z uchodźstwa, w 2004 roku zdecydowały o przewiezieniu ich do kraju. Dziś pamiętki są własnością Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego.

NA TROPIE PAMIĄTEK

Wiosną 1940 roku Niemcy zarządzili likwidację Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze i przeniesienie jego zbiorów do Muzeum Narodowego. Trafiły tam m.in. meble, w tym biurko i fotel Marszałka, wypchana klacz Kasztanka, „Kronika polska, litewska, żmudzka i wszytkiej Rusi”, XVI-wiecznego dziejopisa Macieja Strykowski, z ekslibrisem Piłsudskiego oraz liczne dary mu ofiarowane. Anna Borkiewicz-Celińska, córka płk. Adama Borkiewicza, wspominała, że jej matka wraz z pracującą w Belwederze Wandą Gertz (służyła w Legionach, podając się za mężczyznę) zdecydowały, by z przekazywanych eksponatów wyłączyć kilka cennych drobiazgów. Były wśród nich koszulka od chrztu Piłsud-

skiego, przekazana następnie Aleksandrze Piłsudskiej, i metalowa płyta z nagraniem jego głosu.

Po latach do Belwederu wróciły meble. W 2012 roku z inicjatywy rodziny Marszałka oraz prezydenta Bronisława Komorowskiego w pokojach, w których znajdowało się mieszkanie Józefa i Aleksandry Piłsudskich, zostały odtworzone gabinet, salonik i pokój adiutanta. Do Belwederu wrócił także portret Aleksandry Piłsudskiej z córkami, namalowany przez Blanckę Mercère.

Pewnego rodzaju szczególną pamiątką po Marszałku jest dworek Milusin w Sulejówku. Został wybudowany ze składek żołnierzy jako dar dla ich wodza. Piłsudski zamieszkał tam wraz z rodziną w 1923 roku i choć po powrocie majowym jego domem stał się Belweder, w Sulejówku spędzał wolny czas. Na jego biurku stała statuetka legionisty, którą otrzymał na froncie na Wołyniu od żołnierzy z okazji imienin 19 marca 1916 roku. Jej autorem był por. Włodzimierz Konieczny. On i legionista, który mu pozował, zginęli w bitwie pod Kostiuchnowką. Statuetka



stała się natomiast wzorem dla postaci żołnierza na pomniku Czynu Legionów w Radomiu, odsłoniętym w 1936 roku. Najprawdopodobniej było to życzeniem Marszałka.

Milusin przetrwał bez szwanku II wojnę światową, ale w 1947 roku, na polecenie wiceministra obrony narodowej gen. dyw. Piotra Jaroszewicza, późniejszego premiera, całe wyposażenie dworku – meble, obrazy, książki – zostało wywiezione. W 2014 roku Katarzyna Jaruzelska-Kastory z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku odnalazła część tych rzeczy w wojskowym ośrodku wypoczynkowym pod Warszawą. Na ślad wiodący do pałacyku w Helenowie naprowadziła ją pogłoska, że prawdopodobnie znajduje się tam obraz związany z marszałkiem Piłsudskim oraz współczesne zdjęcie z uroczystości w pałacu. Widać było na nim amforę podobną do tej z Milusina. Okazało się, że faktycznie jest to eksponat z Sulejówki. W Helenowie odnalazły się ponadto dwa widoki Wilna pędzla Ignacego Pinkasa, „Staw w parku” Kazimierza Stabrowskiego oraz portret Bronisława Piłsudskiego, brata Marszałka, zesłańca i wybitnego etnografa, namalowany przez Adomasa Varnasa. W pałacu były również meble w stylu Ludwika XVI: stół z marmurowym blatem, kanapa, fotele i krzesła, rzeźba przedstawiająca tańczącego starca, dwa świeczniki empirowe. Wszystkie przedmioty zostały oddane przez Ministerstwo Obrony Narodowej do zbiorów Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

Większość odzyskanego wyposażenia dworku Milusin to dary dla Marszałka i jego rodziny. Stół oraz meble zostały kupione w 1923 roku z funduszy Komitetu Daru Żołnierza. Imienninowymi prezentami artystów były obrazy Pinkasa i Stabrowskiego. Te meble i dzieła sztuki to jednak niewielka część spośród ponad 3 tys. zaginionych przedmiotów z Milusina, w tym mebli, tkanin dekoracyjnych, lamp, grafik, książek (było ich ponad tysiąc). Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku poszukuje ich, by dworek wyglądał znowu tak jak wtedy, gdy mieszkał w nim Marszałek z rodziną.

OSTATNIA LIMUZYNA

W listopadzie 2014 roku na dziedzińcu Belwederu został zaprezentowany po renowacji cadillac 355 D,



SZKATUŁKA Z KARTAMI, SŁUŻĄCYMI DO STAWIANIA PASJANSA. ALEKSANDRA PIŁSUDSKA WSPOMINAŁA, ŻE PASJANSE BYŁY DLA JEJ MĘŻA SPOSOBEM ODPOCZYNKU, GDYŻ ODCIAGAŁY MYŚLI OD SPRAW, KTÓRE GO GNĘBIŁY LUB IRYTOWAŁY

sprowadzony dla Józefa Piłsudskiego na początku 1935 roku. Marszałek był już wtedy poważnie chory i nie wiadomo, czy jeździł tym autem. Kiedy je oglądał, a było czarne, podobno zgryźliwie skomentował: „Trumnę mi tu szykujecie”.

Cadillac Marszałka został we wrześniu 1939 roku wywieziony do Rumunii, ale po zakończeniu wojny wrócił do kraju i znalazł się w składnicy muzealnej. W latach sześćdziesiątych był przechowywany w magazynach Muzeum Techniki i Przemysłu NOT w Warszawie – w bardzo złym stanie, bez silnika i osprzętu, ze zniszczoną tapicerką. W 2012 roku została podjęta inicjatywa odrestaurowania samochodu. Na czele społecznego komitetu stanął dr Jan Tarczyński, znany historyk motoryzacji, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojsko-

wej. Cadillac jest teraz na stałe zaparkowany w pawilonie wystawienniczym przy Belwederze, za wejściem do Łazienek Królewskich.

Pamiętki po Marszałku będące własnością Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego czekają na ukończenie budowanego niedaleko dworku Milusin kompleksu muzealno-edukacyjnego. Wiele z nich – z buławą i mundurem marszałkowskim na czele – znajdzie się na wystawie stałej. Będzie można obejrzeć także szkatułkę z kartami. Aleksandra Piłsudska wspominała, że pasjanse były dla jej męża sposobem odpoczynku, gdyż odcigały myśli od spraw, które go gnębiły lub irytowały. Wśród pamiątek jest także karta 5 trefl z odrębną notatką znanego jasnowidza, inż. Stefana Ossowieckiego, używana przez niego i Marszałka podczas eksperymentów telepatycznych.

W Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku zabraknie Kasztanki. Została spalona po II wojnie światowej, podobno na polecenie marszałka Michała Roli-Żymierskiego. Według anegdoty, zemścił się w ten sposób za to, że klacz kiedyś go ugryzła. Niemniej skóra klaczy była bardzo zniszczona przez mole z powodu złych warunków przechowywania podczas niemieckiej okupacji. To był doskonały pretekst do likwidacji kłopotliwej dla komunistów pamiątki po Marszałku. ■



KRZYSZTOF ZAJĄC

SZTUKA ODTWARZANIA

Z Krzysztofem Zającem

o wyjątkowej sekcji legionowej i upamiętnianiu tradycji Wojska Polskiego na ziemi koziennickiej rozmawia Piotr Korczyński.

WIZYTÓWKA

**KRZYSZTOF
ZAJĄC**

Jest historykiem, regionalistą, społecznikiem, współzałożycielem i wieloletnim prezesem Koziennickiego Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych.

Kiedy oglądam inscenizacje bitew czy potyczek historycznych, to często się zastanawiam, czy rekonstruktorzy zachowują do tego dystans, czy zdąży im się zapomnieć w walce.

Myślę, że często zdarza im się zapomnieć w walce, choć to zależy od doświadczenia rekonstruktora, czynników osobistych itd. Jednym z motywów organizowania widowisk historycznych i uczestnictwa w nich jest chęć odwzorowania pewnych wydarzeń dla widzów. W tej pa-sji chodzi jednak również o indywidualne prze-życia na polu bitwy. Zdaję sobie sprawę z tego, że my odtwarzamy jedynie namiastkę prawdziwych wydarzeń, bez fizycznego cierpienia, prawdziwych ran i wszechogarniającej śmierci. Konieczne jest zachowanie dystansu i powagi, aby nasze wysiłki i działania nie przerodziły się w oderwaną od rzeczywistości, karykaturalną kalkę przeszłości. Moim zdaniem jest to naj-

większe wyzwanie dla ruchu rekonstruktorskie-go – by to, co robimy, nie było tylko sztuką dla sztuki, lecz niosło za sobą pewne wartości.

Jako historyk muszę zapytać, jak to wszystko się zaczęło. Co Pana zainspirowało? Gdzie Pan znalazł tylu ludzi zaangażowanych w ożywianie historii?

Wszystko zaczęło się w 2006 roku. Zebrała się wówczas sześćoosobowa grupa miłośników historii wojskowości i militariów – tak powstała Koziennicka Grupa Rekonstrukcji Historycznej, którą po dwóch latach przekształciliśmy w działającą do dziś stowarzyszenie. Inspiracją były zaś m.in. opowieści rodziny i znajomych, a motorem do działania – chęć poznawania szczegółów lokalnych dziejów. Nie można pominąć również zaciekawienia rodzącym się ruchem rekonstrukcyjnym II wojny światowej. Przez 11 lat nieby-wale się on rozwinął, co świadczy o tym, że tego



*Napędzają
nas pasja,
chęć do działa-
nia i zrobienia
czegoś pożytecz-
nego, a przede
wszystkim
uznanie, z ja-
kim spotyka się
nasza praca*

GRZEGORZ TRYNKIEWICZ (2)



typu działalność jest potrzebna i popularna wśród całego społeczeństwa. My również przeszliśmy przez te lata znaczne przemiany. Mamy już ponad 20 stałych, dobrze wyposażonych i zaangażowanych rekonstruktorów. Członkowie naszego stowarzyszenia reprezentują szeroki przekrój społeczny, zawodowy i wiekowy. Większość pochodzi z powiatu kozienickiego.

Ziemia kozienicka jest niezwykle bogata w znaczące wydarzenia militarne – od średniowiecza do II wojny światowej. Kojarzy się też z takimi wodzami, jak król Władysław Jagiełło, hetman Stefan Czarniecki, książę Józef Poniatowski czy mjr Henryk Dobrzański „Hubal”. Dlaczego wybraliście oddziały Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego i formacje z września 1939?

Charakterystyczne położenie ziemi kozienickiej – w widłach Wisły i Pilicy oraz wśród lasów Puszczy Kozienickiej i Puszczy Strumeczek – sprawia, że niemal podczas każdego konfliktu zbrojnego na tym terenie były prowadzone

działania wojenne. Koncentrujemy się na wydarzeniach z września 1939 roku, ponieważ wtedy dużo się tutaj działo – toczyły się chociażby walki północnego zgrupowania Armii „Prusy” czy były podejmowane próby przedostania się innych jednostek Wojska Polskiego za Wisłę i stawiania tam oporu. Na ziemi kozienickiej jest wiele pomników, cmentarzy i mogił wojennych z tego okresu. Tematyką Legionów Polskich zainteresowaliśmy się zaś przede wszystkim dlatego, że w Kozienicach w czasie I wojny światowej funkcjonowała Komenda Grupy Legionów Polskich płk. Zygmunta Zielińskiego. Niedaleko nas rozegrała się też jedna z pierwszych legionowych bitew – pod Anielinem i Łaskami. Tymczasem w lokalnej świadomości społecznej ten temat w zasadzie nie istniał. A Kozienice bardzo wiele zawdzięczają stacjonującemu tu oddziałom. Dzięki Legionom Polskim już pod koniec 1915 roku mieszkańcy tego regionu poczuli powiew niepodległości. Im zawdzięczają też pierwszy szpital miejski. Wśród legionistów, którzy w latach 1915–1917 przeby-



1. Rekonstrukcja obrony maciejowickiego przedmościa 1939 roku. Polscy żołnierze ciągną na pozycje armatę ppanc. wz. 36, Ryczywół, 10 września 2017.

2. „Legionista Krzysztof Zajac ostrzeliwuje ze swego Maksima rosyjską piechotę”. Kadr z rekonstrukcji bitwy pod Anielinem.

wali w Kozienicach, była przyszła kadra Wojska Polskiego, w tym generałowie, znani artyści, pisarze, politycy, naukowcy. Tematyka ta jest niezmiernie ciekawa i jeszcze nie do końca odkryta. Warto ją promować, tym bardziej że w przyszłym roku obchodzimy stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości, a ci, którzy się do tego przyczynili, działali również na tym terenie. Nasza sekcja legionowa liczy 16 dobrze umundurowanych i wyposażonych osób. Pod tym względem wyróżniamy się w całej Polsce.

Bierzemy również udział w wydarzeniach nawiązujących do powstania styczniowego oraz wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Nieobca jest nam partyzantka II wojny światowej. Angażujemy się także w inne projekty – mamy sekcję sportową, czyli drużynę piłkarską z lat międzywojennych w barwach 28 Pułku Artylerii Lekkiej, który stacjonował w sąsiednim Zajeźrzeżu. Zastanawiamy się nad jeszcze jednym projektem rekonstrukcyjnym związanym z Kozienicami. Nie ukrywam, że takie artykuły jak Pana „Kozienickie sztuce i komandosi Kościuszki” w magazynie „Polska Zbrojna. Historia”, zachęcają do zmierzenia się z tematyką strzelców wyborowych posługujących się naszymi lokalnymi wyrobami – sztucerami produkowanymi w kozienickiej manufakturze.

Miałem okazję oglądać w Rycywole cykliczne widowisko „Przedmoście Maciejowickie”, które współtworzyacie z wieloma innymi grupami rekonstrukcyjnymi z całej Polski. Byłem zaskoczony nie tyle wielką liczbą oglądających, ile emocjami, jakie w nich wywoływała inscenizacja walk polskich żołnierzy z niemieckimi najeźdźcami.

Widowiska w Rycywole to sztandarowe działania naszego stowarzyszenia. Podczas takich imprez jest zaangażowanych zazwyczaj ponad 200 rekonstruktorów – piechota i kawaleria oraz ludność – z ponad 20 grup i stowarzyszeń, wykorzystujemy sprzęt wojskowy z września 1939 oraz efektowną pirotechnikę. Chcemy pokazać heroiczne boje Wojska Polskiego na linii środkowej Wisły, która była naturalną linią obronną w tamtym czasie. Takim widowiskom towarzyszy wiele wydarzeń, jak choćby lekcje z udziałem rekonstruktorów, wieczór historyczny z kilkoma prelegentami, pokazy kawalerskie. Tego rodzaju działaniami chcemy przypomnieć o daninie krwi, którą złożyło całe polskie społeczeństwo w czasie II wojny światowej.

Widowisko przedstawia głównie obronę przedmościa maciejowickiego, czyli przeprawy mostowej na Wiśle między Kępą Bielańską w okolicy Świerży Górnych a Przewozem w okolicy Maciejowic. Staramy się też w kolejnych latach pokazywać inne epizody wojny obronnej na terenie powiatu kozienickiego – np. walki

1 Batalionu Czołgów Lekkich, walki 31 Pułku Strzelców Kaniowskich.

Skąd bierzecie fundusze na tak kosztowne rzeczy, jak mundury, sprzęt i broń z epoki oraz inscenizacje walk?

Nie jest to tanie hobby. Im bardziej zagłębialiśmy się w tematykę i poznajemy najdrobniejsze detale, tym więcej czasu i pieniędzy musimy znaleźć. Przez wiele lat zdobyliśmy wiedzę nie tylko o rekonstrukcjach, lecz także o zarządzaniu organizacją i pozyskiwaniu funduszy. Jesteśmy już dojrzałym stowarzyszeniem, więc i pewnym partnerem, do tego działającym z wyższych pobudek. Przekłada się to na finansowanie naszych działań. Udaje się nam zatem planować projekty, nawet wieloletnie, z którymi startujemy o dofinansowanie do lokalnych, regionalnych i centralnych instytucji w ramach otwartych konkursów. Do tej pory kilkakrotnie uzyskaliśmy dotację m.in. z Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, Ministerstwa Obrony Narodowej, Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Gminy Kozienice. Pewne kwoty przekazują również gminy, z którymi współpracujemy, oraz prywatne podmioty i przedsiębiorcy. Finansujemy naszą działalność, uczestnicząc w różnych projektach historycznych, filmach czy widowiskach. Mamy też składki członkowskie, a każdy może nas wesprzeć darowizną.

Ale żeby pozyskać i spożytkować te fundusze zgodnie z celami statutowymi, są potrzebne przede wszystkim czas i chęć. Czasu mamy tyle samo co inni ludzie, liczy się odpowiednie nim zarządzanie. Napędzają nas pasja, chęć do działania i zrobienia czegoś pożytecznego, a przede wszystkim uznanie, z jakimi spotyka się nasza praca. Równie ważna jest dobra atmosfera w samej organizacji.

Na Waszych imprezach jest sporo młodzieży. Dzięki Wam chyba łatwiej jest nauczycielom zainteresować młode pokolenie historią?

Chociaż współpracujemy ze środowiskami kombatanckimi, wspieramy je, wspólnie organizując lokalne uroczystości kombatanckie, to buduje nas szczególnie, że udaje nam się skupić uwagę młodego pokolenia – uczniów szkół podstawowych i średnich. Już dziś mamy paru nowych, młodych rekrutów i zdaje sobie sprawę z tego, że za kilka, kilkanaście lat to oni będą nadawać ton w naszej organizacji. Podobnie będzie w bliższym i dalszym otoczeniu. Nauczyciele zatem chętnie z nami współpracują, zapraszają nas do poprowadzenia specjalnych lekcji historii, wykraczających poza program nauczania. Mogą też korzystać w nauczaniu z publikacji, które wydajemy, a także brać udział w naszych działaniach i projektach, takich jak wycieczki czy marsze historyczne. ■



PIOTR RASZEWSKI

Rozśpiewany garnizon

Jeszcze kilka lat temu artyści wyjeżdżali stąd z... telewizorem lub odkurzaczem. Dziś zwycięzca otrzymuje 1000 euro i – co ważniejsze – przepustkę do dalszej kariery.

Wszystko zaczęło się w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy w artystycznym kalendarzu Wojska Polskiego pojawiła się luka po zlikwidowanym Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Idea nowej imprezy zaczęła się rodzić jeszcze podczas tego nadmorskiego wydarzenia kulturalnego, przeniesionego z powodu problemów organizacyjnych z Kołobrzegu do Gdyni i tam funkcjonującego pod nazwą Arsenał Artystyczny. W 1994 roku na jedyny ówczesny przegląd twórczości żołnierskiej został zaproszony zespół Lechici z Hrubieszowa. Przedstawiciele niewielkiego garnizonu wykonali a cappella „Marsz wiedeński” i niespodziewanie zajęli wysokie, trzecie miejsce, zdobywając Brązową Nutę. „To był dla wszystkich szok. Wielu wtedy nawet nie wiedziało, gdzie

leży Hrubieszów, a my pokonaliśmy wielkie miasta, wielkie brygady, dywizje i pułki”, wspomina ksiądz prałat ppłk Andrzej Puzon, proboszcz parafii cywilno-wojskowej pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Hrubieszowie i inspirator hrubieszowskiego festiwalu.

Sukces Lechitów, a jednocześnie kłopoty imprezy nadmorskiej spowodowały, że propozycja zorganizowania podobnego przedsięwzięcia napłynęła niespodziewanie właśnie z Hrubieszowa. „Spontanicznie zaproponowaliśmy, że wobec problemów z kołobrzeskim festiwalem możemy takie wydarzenie kulturalne zorganizować u siebie”, mówi ksiądz prałat. W nadgranicznym mieście formował się wówczas 2 Pułk Rozpoznawczy, a dowództwo Krakowskiego Okręgu Wojskowego, pod który podlegała nowo utworzona hrubieszowska jednostka, dało zgodę na przygotowa-



HRUBIESZOWSKI FESTIWAL PIEŚNI PATRIOTYCZNEJ I RELIGIJNEJ WOJ- SKA POLSKIEGO

Z MAŁEGO LOKAL-
NEGO PRZEGŁĄDU
SZYBKO SIĘ
PRZEKSZTAŁCIŁ
W OGÓLNOPOLSKĄ
IMPREZĘ, KTÓRA
WYPEŁNIŁA LUKĘ
PO UPADAJĄCYM
FESTIWALU PIO-
SENKI ŻOŁNIER-
SKIEJ W KOŁO-
BRZEGU



PIOTR RASZEWSKI



Sala widowiskowa i scena z drewnianą podłogą mają niepowtarzalny klimat, tworzą wyjątkowy nastrój sceniczny i artystyczny.

nie imprezy. Wsparcie nadeszło także z Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego. „W namiocie polowym, podczas jednego ze spotkań z ówczesnym biskupem polowym Sławojem Leszkiem Głódziem i gen. dyw. Zenonem Brykiem, rzuciłem: »Może byśmy zorganizowali taki festiwal?«. Biskup polowy się zdziwił, ale odpowiedział: »Zgadzą się na festiwal w Hrubieszowie, pod warunkiem że rozszerzysz preambułę o pierwiastek religijny«. Dotrzymałem słowa i tak się zaczęło”, opisuje tamte wydarzenia ksiądz ppłk Puzon.

W 1994 roku po raz pierwszy ze sceny Hrubieszowskiego Domu Kultury wybrzmiała pieśń „Młodością Kolumbów”, którą Lechici do dziś

otwierają każdą edycję hrubieszowskiej imprezy. Wcześniej utwór był hymnem Arsenału Artystycznego w Gdyni, więc stał się symbolicznym elementem, spajającym wygasający nadmorski festiwal z tym nowym. Początki były jednak niezwykle skromne. Podczas pierwszej edycji zorganizowano jedynie konkurs Krakowskiego Okręgu Wojskowego. „Najtrudniej było o wykonawców. Przyjeżdżało ich niewielu, bo jednostki same musiały ponosić koszty wyjazdów, a w wojsku pieniędzy na tego typu przedsięwzięcia kulturalne praktycznie nie było. Dlatego docierali do nas głównie artyści z województwa lubelskiego i regionów ościennych”, przyznaje mł. chor. Andrzej Leško.



Trudności nie zniechęciły jednak organizatorów, a upór przynosił wymierne efekty. Impreza dość szybko przekształciła się w festiwal ogólnopolski, choć do dzisiejszych standardów było jeszcze daleko. Wiele do życzenia pozostawiało przede wszystkim przygotowanie sceny. „Festiwal nagłaśnialiśmy sprzętem Hrubieszowskiego Domu Kultury, a oświetlenie składało się zaledwie z kilku światełek. Nagrody zdobywaliśmy, chodząc po okolicznych sklepach – właśnie ich właściciele byli głównymi darczyńcami. Dlatego najlepsi mogli wyjechać z Hrubieszowa z nowym radiem, telewizorem, a nawet odkurzaczem”, śmieje się mł. chor. Leško, który przy organizacji hrubieszowskiego festiwalu pracuje od kilkunastu lat.

TO NASZE OCZKO W GŁOWIE

Upominki rzeczowe obecnie są uzupełniane całkiem wysokimi nagrodami pieniężnymi, a od trzech edycji, dzięki zadaniom publicznym zlecanym przez Ministerstwo Obrony Narodowej, organizatorzy zapewniają wykonawcom najlepszy sprzęt sceniczny i fachową obsługę. Nad organizacją festiwalu praktycznie przez cały rok pracuje wyznaczona grupa żołnierzy z hrubieszowskiej jednostki. „To są pasjonaci muzyki. Stale jest tu osiem osób, ale w miarę zbliżania się terminu imprezy wspomaga ich dodatkowa grupa wojskowych. Ten festiwal to nasze oczko w głowie, bo pokazujemy, że mamy sukcesy nie tylko szkoleniowe, ale też w kulturze”, podkreśla płk Marcin Maj, dowódca 2 Hrubieszowskiego Pułku Rozpoznawczego.

Zaangażowanie żołnierzy sprawia, że do Hrubieszowa przyjeżdża coraz więcej artystów amatorów działających przy wojskowych ośrodkach kultury, kościołach garnizonych czy innych instytucjach. Do tegorocznej edycji festiwalu zgłosiło się w sumie ponad 200 osób. Każdy z podmiotów wykonawczych, solista bądź zespół, musi przedstawić dwa utwory – jeden o treści patriotycznej, drugi o charakterze religijnym. Repertuar jest niezwykle zróżnicowany, choć najczęściej artyści wybierają kompozycje dobrze znane, m.in. „Biały krzyż”, „Jaskółkę” czy „Modlitwę do dobrego Boga”. Wśród laureatów są utytułowani już wykonawcy, jak chociażby Magdalena Welc, zwyciężczyni ubiegłorocznej edycji telewizyjnego programu „Mam talent!”. „Cieszy nas, że nie ma tu ludzi przypadkowych, przyjeżdżają osoby wykształcone i przygotowane muzycznie. Często mamy w jury problem, bo kandydatów do głównej nagrody jest wielu”, podkreśla książd płk Puzon, który od początku festiwalu pełni funkcję członka rady artystycznej. Ponadto w gronie oceniającym wykonawców zasiadają m.in. muzykolog Alicja Saturska, instruktor Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie Andrzej Sar, przedstawicielka Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej w Warszawie Jolanta Wojtaś-Zapora,



PIOTR RASZEWSKI

płk rez. Bogusław Hilla, w przeszłości m.in. dyrektor i dyrygent Orkiestry Koncertowej Wojska Polskiego, a także znani artyści Mietek Jurecki czy Wanda Kwietniewska.

JEST O CO POWALCZYĆ

„Ogólny poziom artystyczny w porównaniu z innymi festiwalami jest nieco wyższy, bo część wykonawców pracuje z profesjonalnymi instruktorami. Słyszałem więc, że nie są to amatorskie próby zaśpiewania piosenki za wszelką cenę, lecz przemyślane propozycje”, ocenia Mietek Jurecki, multiinstrumentalista i były muzyk Budki Suflera. Z kolei Wanda Kwietniewska dodaje: „Z reguły ludzie śpiewają obcy repertuar, więc zawsze dodatkowe punkty otrzymują ci, którzy proponują swoje utwory. Oceniamy przede wszystkim wykonanie. Oprócz tego, czy jest ono czyste, bardzo ważny jest przekaz. Często bowiem wykonawcy są sprawni technicznie, ale mają problem z interpretacją”, zwraca uwagę założycielka zespołu Banda i Wanda. Za sprawą piosenkarki Stowarzyszenie Artystów Wykonawców Polskich ufundowało nagrodę Grand Prix w wysokości 1000 euro. „To nagroda od profesjonalnych artystów wykonawców, poczynawszy od Ireny Santor, a na Margaret skończywszy, bo to są członkowie naszego stowarzyszenia. Jest więc o co powalczyć”, uśmiecha się Wanda Kwietniewska.

Z inicjatywy instruktorów klubów wojskowych od trzech lat odbywają się, oprócz festiwalu, warsztaty muzyczne, a dodatkowym elementem łączącym konkursy artystów amatorów z zawodowcami są koncerty gwiazd. Na scenie Hrubieszowskiego Domu Kultury występowali m.in. Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego, Czerwone Gitary, Edyta Geppert, Bracia, Bratanki,

CO ROKU PRZYJEŹDŻAJĄ TU ŻOŁNIERZE-ARTYŚCI Z CAŁEJ POLSKI, BY WALCZYĆ O GŁOSY PUBLICZNOŚCI I PRZYCHYLNOŚĆ JURY ZŁOŻONEGO Z GWIAZD POLSKIEJ ESTRADY

Golec uOrkiestra czy De Mono. W tym roku tamtejszej publiczności zaprezentowali się Wanda i Banda oraz Kamil Bednarek. Takie połączenie sprawia, że Festiwal Pieśni Patriotycznej i Religijnej Wojska Polskiego jest największym corocznym wydarzeniem kulturalnym w Hrubieszowie, a od lat w trakcie całego festiwalu miejsca na sali są zajęte co do jednego.

CHCEMY ZACHOWAĆ KAMERALNY CHARAKTER

Nadmiar chętnych jest teraz największym problemem. Organizatorzy dostrzegają trudności, choć podkreślają, że dzięki Hrubieszowskiemu Domowi Kultury udaje się zachować kameralny charakter festiwalu. „Tutejsza sala widowiskowa i scena z drewnianą podłogą mają niepowtarzalny klimat, tworzą wyjątkowy nastrój sceniczny i artystyczny. Aspirujemy oczywiście do tego, by ta impreza się rozwijała i zyskiwała na znaczeniu, ale nie chcemy iść w kierunku typowo komercyjnym”, podkreśla Tomasz Zająć, burmistrz Hrubieszowa. Płk Maciej Maj, dowódca hrubieszowskiego garnizonu, dodaje: „Tworzymy festiwal, który wypełnił lukę po tym kołobrzeskim, ale w zupełnie nowej odsłonie. Zachowujemy swój wyjątkowy charakter, bo zależy nam głównie na promowaniu naszych tytułowych wartości patriotycznych i religijnych”, zwraca uwagę dowódca 2 Hrubieszowskiego Pułku Rozpoznawczego.



„Tworzymy imprezę, która wypełniła lukę po festiwalu kołobrzeskim, ale w zupełnie nowej odsłonie. Zachowujemy swój wyjątkowy charakter, bo zależy nam głównie na promowaniu wartości patriotycznych i religijnych”, twierdzi płk Maciej Maj, dowódca 2 Hrubieszowskiego Pułku Rozpoznawczego.

Mimo kłopotów z brakiem miejsc hrubieszowski festiwal jest wspaniale przyjmowany przez lokalną społeczność. Świadczą o tym sceny z tutejszego kościoła garnizonowego, gdy podczas tradycyjnej mszy, od lat celebrowanej w niedzielny festiwalowy poranek, świątynia wypełnia się do ostatniego miejsca, a wykonawcy prezentują swoje utwory. „Ktoś mógłby się nawet zgorszyć, bo po każdym utworze, mimo że to przecież msza, rozlegają się gromkie brawa. Głównie od tych, którzy nie mogą się dostać do Hrubieszowskiego Domu Kultury i tu wysłuchają równie wspaniałego koncertu”, podkreśla z dumą ksiądz ppłk Andrzej Puzon.

Hrubieszowska impreza ma też niemałe znaczenie promocyjne dla samego miasta i tutejszego garnizonu. „Można powiedzieć, że nie ma w Polsce klubu wojskowego, który nie kojarzyłby Hrubieszowa z festiwalem. Byli już u nas przedstawiciele garnizonów z całej Polski, a od kilku edycji na czas tego wydarzenia zajmujemy wszystkie hotele i miejsca noclegowe w okolicy”, zaznacza płk Marcin Maj. Z kolei mł. chor. Andrzej Leśko dodaje: „Limitu dotyczącego artystów na razie nie ustalamy, ale jeśli to przedsięwzięcie będzie się rozwijać w takim tempie, to nie wykluczone, że będą potrzebne eliminacje. Chyba że zamiast pięciu koncertów konkursowych zrobimy sześć, co również nie jest wykluczone”, uśmiecha się żołnierz z hrubieszowskiej jednostki. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Z potrzeby serca

Cztery tablice upamiętniające żołnierzy poległych na misjach trafią do Centrum Weterana.

„Ta tablica budziła w nas pokorę, ale także dawała siłę i wiarę, że to co robimy, ma sens, że damy radę”, mówi ppłk Arkadiusz Siwak.



Walei Pamięci na terenie 12 Brygady Zmechanizowanej, przed pomnikiem gen. Józefa Hallera, patrona jednostki, stoi dziesięć tablic. Upamiętniają one żołnierzy, którzy zginęli podczas zagranicznych operacji. „Poległym ku chwale. Potomnym ku pamięci... Towarzysze broni” – głosi napis na płycie przy kościele w Wędrzynie, poświęconej żołnierzom 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, którzy nie wrócili z misji w Afganistanie. To zaledwie dwa przykłady, ale takich miejsc pamięci w całym kraju jest o wiele więcej. Powstały z potrzeby serca, aby przypominać o ofierze, jaką złożyli ich koledzy. Większość takich pamiątkowych tablic znajduje się na terenie jednostek, z których pochodzili polegli żołnierze, i jest niedostępna dla cywilów. Cztery płyty, upamiętniające tych, którzy zginęli na misji w Afganistanie, trafiły jednak do Centrum Weterana Działania poza Granicami Państwa w Warszawie.

„Rodziny żołnierzy poległych na misjach, które odwiedzają Centrum Weterana, pytały, czy wiemy, co się stało z tablicami, które ich bliskim

ufundowali koledzy. Dlatego rozpoczęliśmy poszukiwania”, mówi płk Leszek Stępień, dyrektor Centrum. Na jednym ze spotkań pracowników tej placówki z żołnierzami 10 Opolskiej Brygady Logistycznej okazało się, że w magazynie jednostki są różne pamiątki z misji. Przywieźli je żołnierze XV zmiany PKW, którzy zamykali operację afgańską. „Nasza brygada była odpowiedzialna za to, aby przetransportować do kraju sprzęt i wyposażenie używane przez polskich żołnierzy w czasie operacji w Afganistanie”, mówi mł. chor. Artur Nowojski z 10 Opolskiej Brygady Logistycznej. Wśród rzeczy, które tam pozostały, były cztery tablice. „Nie wiedzieliśmy, co z nimi zrobić, bo jeśli upamiętniają żołnierzy pochodzących z różnych jednostek, to do której z nich powinny trafić? Dlatego przekazanie ich do Centrum Weterana uważam za najlepsze rozwiązanie”, twierdzi chor. Nowojski.

ZNIKNAŁEŚ NAM Z OCZU

Jedna z tablic jest poświęcona pamięci kpr. Grzegorza Politowskiego. 8 kwietnia 2008 roku patrol z Zespołu Bojowego „A”jechał na inspekcję do dystryktu Waghez w prowincji Ghazni. Pod tylnym kołem po lewej stronie hummera eksplodowała mina pułapka. Tam siedział Grzegorz. „To był dobry kolega i dobry saper. Gdy go pożegnaliśmy salwą honorową, ktoś rzucił pomysł, aby upamiętnić Grzegorza. Zrobiliśmy zrzutkę i w Polsce zamówiliśmy tablicę. Do Ghazni przywieźli ją żołnierze kolejnej zmiany. Została zamocowa-

TOMASZ JASIONEK / CWD PGP

na na dużym kamieniu, który stanął przy sztabie dowódcy polskiego kontyngentu w bazie Ghazni”, opowiada st. chor. Maciej Makowski z 5 Pułku Inżynieryjnego ze Szczecina. „Zniknąłeś nam z oczu, ale z serc naszych – nigdy” – głosi napis na płycie.

Na kolejnej tablicy są wyryte dwa nazwiska kpr. Huberta Kowalewskiego i st. kpr. Szymona Słowika. „Zginęli 26 lutego 2008 roku, gdy wracali po kilkugodzinnym zabezpieczeniu CIMIC, który rozdawał pomoc humanitarną 4 km od naszej bazy w Sharanie. Słyszeliśmy ten wybuch, gdy ich hummer wjechał na minę”, wspomina st. chor. Krzysztof Gerus, który w trakcie II zmiany PKW był pomocnikiem do spraw podoficerów dowódcy grupy bojowej. Na płycie ufundowanej przez kolegów jest cytat z pieśni Jana Kochanowskiego: „A jeśli komu droga otwarta do nieba, tym co służy ojczyźnie”.

Na trzeciej tablicy widnieje słowo „Pamiętamy” oraz są cztery nazwiska: por. Łukasz Kurowski (zginął 14 sierpnia 2007 roku), kpt. Daniel Ambroziński (zginął 10 sierpnia 2009 roku), plut. Miłosz Górka (zginął 12 czerwca 2010 roku) i st. kpr. Dariusz Tylenda (zginął 6 sierpnia 2010 roku). „To byli żołnierze zespołów doradczo-szkoleniowych. Postanowiliśmy ich upamiętnić”, mówi ppłk Arkadiusz Siwak z 2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie, który na VII zmianie PKW był dowódcą zespołu doradczo-szkoleniowego.

„W bazie Vulcan robiliśmy remont bichaty, czyli drewnianego baraku, w którym mieszkali nasi żołnierze. Pod jednym z budynków odkryliśmy duży trójkątny kamień. Pomyślałem, że byłby odpowiedni na pamiątkową tablicę. Jakby czekał, abyśmy go znaleźli”, wspomina ppłk Siwak. Przepasana białą-czerwoną szarfą płyta została zamontowana na budynku, w którym pełnił służbę oficer dyżurny. Każdy, kto przyjeżdżał do bazy, musiał tamtędy przejść i zawsze się zatrzymywał: delegacje z Polski, generałowie wojsk koalicyjnych, oficerowie afgańscy. „Ta tablica budziła w nas pokorę, ale także dawała siłę i wiarę, że to co robimy, ma sens, że damy radę”, mówi ppłk Siwak.

ECHO W WIECZNOŚCI

„Twoje czyny za życia brzmią echem w wieczności”, napisali koledzy na tablicy poświęconej st. sierż. Mariuszowi Deptule. Zginął 23 października 2011 roku podczas ru-

tynowego patrolu żołnierzy Zgrupowania Bojowego „Bravo”, gdy kolumna kilku rosomaków wracała do bazy w Ghazni z odległej o kilometr afgańskiej wioski. Pod pojazdem, którym kierował st. sierż. Deptuła, eksplodował improwizowany ładunek wybuchowy. „Gdy Mariusz zginął, koledzy, którzy razem z nim służyli, ufundowali tablicę. Zawisła w bazie w Ghazni na budynku TOK [tactical operations center], obok lądowiska dla śmigłowców. Przechodzili obok niej wszyscy, którzy przylatywali do bazy i z niej odlatywali”, wspomina st. kpr. Krzysztof Ojrzanowski z 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Kolejna tablica upamiętniająca sierż. Deptułę jest w Czarni, skąd pochodził. Ufundowali ją jego koledzy po powrocie do kraju.

Dowódca 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej gen. bryg. Jarosław Gromadziński zabiega o zachowanie pamięci o poległych żołnierzach. Dlatego sala odpraw 2 Batalionu Zmechanizowanego przyjęła imię sierż. Deptuły. Miejsce zaś przed klubem garnizonowym w centrum miasta zostanie skwerem pamięci o trzech żołnierzach giżyckiej brygady, którzy nie wrócili z misji. Przypominać o nich będą kamień z napisem oraz zasadzone trzy dęby. „To dla nas wyróżnienie, że tablica upamiętniająca Mariusza Deptułę zawisnie na budynku Centrum Weterana”, mówi st. kpr. Ojrzanowski.

CZAS ZADUMY

Dobłą okazją do wyeksponowania tablic w Centrum Weterana byłyby Dzień Pamięci o Poległych i Zmarłych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Kraju, który

obchodzimy 21 grudnia. Dla wojska jest to czas zadumy, wspominania żołnierzy, którzy polegli w służbie Rzeczypospolitej daleko od jej granic. Od 1953 roku, gdy po raz pierwszy polscy żołnierze wzięli udział w zagranicznej operacji wojskowej, 120 z nich nie wróciło do domu.

Tabliczki z ich nazwiskami wiszą na ścianie pamięci obok pomnika poległych na misjach przy Centrum Weterana. Pracownicy Centrum pamiętają o rocznicy śmierci każdego z nich i zapalają tego dnia znicz pod ścianą pamięci. „Upamiętnienie żołnierzy poległych w misjach poza granicami państwa to nasz moralny obowiązek i jedno z najważniejszych zadań w codziennej pracy i służbie”, podkreśla dyrektor Centrum Weterana płk Leszek Stępień. ■

W HOŁDZIE POLEGŁYM

Dzień Pamięci o Poległych i Zmarłych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Kraju obchodzony jest 21 grudnia. Tego właśnie dnia, w 2011 roku, w Afganistanie zginęło pięciu żołnierzy 20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej: mł. chor. Piotr Ciesielski, st. sierż. Marcin Szczurowski, sierż. Łukasz Krawiec, sierż. Marek Tomala i sierż. Krystian Banach. ■

ANNA DĄBROWSKA

WIECZNA PAMIĘĆ

**Spoczywają tutaj polegli
podczas jednej z większych
batalii I wojny światowej
na froncie wschodnim.**

ROBERT SUCHY/CO MON (2)



Jesienią 1914 roku walczące na froncie wschodnim wojska niemieckie i austro-węgierskie parły do przodu. Zajęły Piotrków, Łódź i dotarły pod Warszawę. W październiku Rosjanie zatrzymali jednak siły państw centralnych. Żołnierze cara odzyskali Łódź i szykowali się do operacji zwanej „walec parowy”. Jej celem miało być oskrzydlenie wroga i uderzenie w głąb terytorium Niemiec.

WALEC PAROWY

Niemieckie dowództwo dowiedziało się jednak o planowanej na połowę listopada rosyjskiej ofensywie i postanowiło uprzedzić atak wroga. 11 listopada ruszyło niemieckie natarcie z rejonu Torunia na Kutno. Rozpoczęła się operacja łódzka, jedna z największych i najkrwawszych bitew I wojny światowej na froncie wschodnim. Po stronie państw centralnych walczyła niemiecka 9 Armia pod dowództwem gen. Augusta von Mackensena, wspierana przez austro-węgierską 2 Armie – w sumie około 400 tys. żołnierzy. Siły rosyjskie, liczące ponad 360 tys. wojska, tworzyły: 1 Armia gen. Paula von Rennenkampfa, 2 Armia gen. Siergieja Scheidemanna i 5 Armia gen. Pawła Plehwego.

Niemcy uderzyli w styk dwóch rosyjskich armii, przełamali ich obronę i przedostali się na tyły wroga. Do 22 listopada udało im się okrążyć Łódź i rozpoczął się szturm na miasto,

który pod koniec miesiąca przybrał charakter walk pozycyjnych. Wykrwawione wojska cara Mikołaja II w końcu musiały opuścić miasto, do którego Niemcy wkroczyli 6 grudnia. Mimo to niemiecki plan okrążenia i rozbicia armii rosyjskich nie powiódł się i nie udało się ostatecznie pokonać Rosjan. W połowie grudnia front ustabilizował się na linii rzek Bzura–Rawka–Pilica–Nida.

W czasie operacji łódzkiej obie strony poniosły ogromne straty. Zginęło blisko 90 tys. żołnierzy państw centralnych i ponad 110 tys. z armii rosyjskiej, w tym służący we wszystkich armiach zaborczych Polacy. Poległych grzebano w doraźnych grobach, dopiero od 1916 roku austro-węgierskie władze wojskowe rozpoczęły urządzenie docelowych wojennych nekropolii i przenoszenie na nie poległych ekshumowanych z polowych mogił.

KOMASACJA GROBÓW

W okolicach Piotrkowa do końca wojny powstało kilkanaście cmentarzy, m.in. w Augustynowie, Rogowcu, Kuźnicy i Gomulinie. Jeden z większych cmentarzy założono w 1917 roku w miejscowości Borowa w gminie Wola Krzysztoporska. Na prostokątnej działce o powierzchni 0,25 ha leżącej na zboczu kompleksu Góry Borowskie utworzono nekropolię z czterema dużymi mogiłami zbiorowymi rozplanowanymi w formie krzy-



W okolicach Piotrkowa do końca wojny powstało kilkanaście cmentarzy, m.in. w Augustynowie, Rogowcu, Kuźnicy i Gomulinie.



„Piotrkowskie Termopile – wieczna pamięć i chwała bohaterom”.

ANNA DĄBROWSKA

W BOROWEJ UPAMIĘTNIONO ŻOŁNIERZY OBU WOJEN ŚWIATOWYCH

Większość poległych pochowano w dużych ziemnych zbiorowych mogiłach wzmocnionych podmurówkami. Na cmentarzu jest też kilkadziesiąt grobów indywidualnych, a na kilkunastu z nich znajdziemy żeliwne tabliczki nagrobne z nazwiskami. Leżą tam m.in. żołnierze austro-węgierscy: szer. Joso Leovac z 3 Pułku Piechoty, poległy 30 grudnia 1914 roku, szer. Josef Tiszperger z 44 Pułku Piechoty, który zginął 23 grudnia, oraz plut. Alexander Martin z 6 Pułku Piechoty, poległy w Wigilię 1914 roku.

za. Pochowano w nich szczątki przeniesione z wielu okolicznych miejscowości. Oddzielnie spoczywa tutaj 118 żołnierzy niemieckich, 176 austro-węgierskich i 171 z armii rosyjskiej.

Polskie władze po wojnie objęły opieką wojenne nekropolie. Okazało się jednak, że wiele z nich wymaga dalszych prac wykończeniowych, a także remontów i napraw. Koszt utrzymania cmentarzy był spory, a ich stan, mimo prowadzonych tam prac, ciągle się pogarszał. Uznano zatem, że najlepszym rozwiązaniem będzie zmniejszenie liczby nekropolii wojennych przez komasację. „Zbyt duża ilość cmentarzy i mogił wojennych znajdujących się na terenie województwa łódzkiego utrudnia utrzymanie tych cmentarzy w należyтым stanie i przysparza znacznych wydatków skarbowi państwa na grobownictwo wojenne, jak również powoduje zgłaszanie do skarbu państwa pretensji właścicieli gruntów prywatnych o wypłacenie im odszkodowania za ziemię zajęta przez władze zaborcze pod cmentarze wojenne”, czytamy w piśmie z 1932 roku skierowanym do starosty piotrkowskiego.

Na centralne cmentarze, na które przenoszono szczątki żołnierzy, wybrano nekropolie położone z dala od dużych miast, na nieużytkach, gruntach państwowych lub komunalnych. Na terenie powiatu piotrkowskiego idealnym miejscem okazała się Borowa. Do 1939 roku na tamtejszą nekropolię przeniesiono szczątki żołnierzy pochowanych na mniejszych cmentarzach, m.in. w Augustynowie, Chynowie, Kamieńsku czy Rogowcu. Według szacunków historyków może spoczywać tam ponad 2 tys. żołnierzy z trzech armii.

PIOTRKOWSKIE TERMOPILE

We wrześniu 1939 roku w pobliżu cmentarza toczyły się walki. Na niewielkich wzniesieniach na południowy zachód od Piotrkowa od 2 września broniły się oddziały 2 Pułku Piechoty Legionów wchodzące w skład Grupy Operacyjnej „Piotrków” Armii „Łódź”. Na czele oddziałów walczących pod Borową Górą stał dowódca 2 Pułku Piechoty, płk Ludwik Czyżewski. Oficer walczył potem w obronie Modlina, a podczas okupacji był komendantem Okręgu „Łódź”, a następnie Okręgu „Lwów” Armii Krajowej.

Zadaniem żołnierzy płk. Czyżewskiego była obrona i utrzymanie 25-kilometrowego odcinka frontu do wieczora 4 września, kiedy miało ruszyć polskie kontrnatarcie. W ten sposób Borowa stała się strategicznym punktem hamującym marsz niemieckiej 4 Dywizji Pancernej z XVI Korpusu Pancernego w kierunku na Piotrków Trybunalski. Podczas trwającej kilka dni obrony polskie wojska odparły kilkanaście niemieckich szturmów. Kiedy odwody zostały wyczerpane, a wsparcie nie nadeszło, wieczorem 5 września płk Czyżewski podjął decyzję o wycofaniu swoich wojsk.

W czasie walk 2 Pułk Piechoty stracił ponad 600 żołnierzy: 16 oficerów, 67 chorążych, podchorążych i podoficerów oraz 549 legionistów. Ich ciała pochowano na cmentarzach w Grocholicach, Parzniewicach, Piotrkowie Trybunalskim, a część została zabrana przez rodziny. W Borowej w 1993 roku, dla upamiętnienia zmagani polskich żołnierzy podczas II wojny światowej, na wzgórzu przy drodze niedaleko dawnego cmentarza postawiono pomnik z tablicą „Piotrkowskie Termopile – wieczna pamięć i chwała bohaterom”.

Z głębokim żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
Dariusza Rembelskiego.
Koleżanki i koledzy z „Polski Zbrojnej”.

Pani Katarzynie Szczukowskiej
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Teścia
składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Szefostwa Finansów IWspSZ.

Panu st. bsm. Tomaszowi Gallowi
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje
z powodu śmierci
Taty
składają kadra kierownicza,
żołnierze i pracownicy
Morskiej Jednostki Rakietowej.

Panu por. Kasprowi Moskalowi
i Jego Rodzinie
szczerze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Mamy, Teściowej i Babci
składają dowódca, kadra zawodowa
i pracownicy resortu obrony narodowej
16 Tczewskiego Batalionu Saperów
w Nisku.

Pani Ewie Tyszkiewicz
oraz córce Annie i synowi Zbigniewowi
wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Męża i Ojca
gen. broni dr. Andrzeja Tyszkiewicza,
wybitnego dowódcy, dyplomaty i dydaktyka,
niezwykłego człowieka i serdecznego przyjaciela
składają dyrektor Wydawnictwa
Akademii Sztuki Wojennej
Mirosław Nawrot i pracownicy.

Panu st. chor. Andrzejowi Hajmie
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Matki
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Panu mjr. Jackowi Pawłowskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają szef, kadra i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Gdańsku.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego długoletniego pracownika,
zasłużonego lekarza, człowieka o wielkim sercu,
wspaniałego Kolegi
płk. Zbigniewa Graczyka.
Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
składają dyrekcja oraz pracownicy
Specjalistycznej Przychodni Lekarskiej
dla Pracowników Wojska SP ZOZ,
Warszawa, ul. Nowowiejska 31.

Wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu
składają dyrektor i pracownicy
Zakładu Inwestycji Organizacji Traktatu
Północnoatlantyckiego.

Panu bsmt. Jackowi Kiełpińskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje z powodu śmierci
Taty
składają kadra kierownicza,
żołnierze i pracownicy
Morskiej Jednostki Rakietowej.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

płk. inż. Mieczysława Chęcińskiego,
członka Zarządu Głównego
Związku Oficerów Rezerwy RP
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pogrążonej w bólu

Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia,
w imieniu Zarządu Głównego Związku,
składa prezes płk Stanisław Tomaszewicz.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,
podsekretarzowi stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej,
wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy
jednostek i komórek organizacyjnych
oraz Sekretariatu Podsekretarza Stanu w MON.

Wyrazy głębokiego żalu, szczerego współczucia
i słowa wsparcia

Panu płk. pil. Krzysztofowi Walczakowi,
dowódcy 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego,
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Taty

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy
4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Naszemu Drogiemu Koledze
Panu płk. Dariuszowi Siewkiewiczowi
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają kierownictwo, kadra zawodowa
i pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.



Pamiętamy

szer. Dariusz Wagner
6 grudnia 2009 r.,
EUFOR Bośnia i Hercegowina

ppłk Zbigniew Wydrych
11 grudnia 1999 r., KFOR Kosowo

plut. Krzysztof Wysocki
12 grudnia 2005 r., UNDOF Syria

st. chor. Paweł Jelonek
15 grudnia 2004 r., PKW Irak

mjr Jacek Kostecki
15 grudnia 2004 r., PKW Irak

chor. Karol Szlęzak
15 grudnia 2004 r., PKW Irak

kpr. Michał Kołek
19 grudnia 2009 r.,
PKW Afganistan

mł. chor. Piotr Ciesielski
21 grudnia 2011 r.,
PKW Afganistan

sierż. Łukasz Krawiec
21 grudnia 2011 r.,
PKW Afganistan

sierż. Marcin Szczurowski
21 grudnia 2011 r.,
PKW Afganistan

sierż. Marek Tomala
21 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

sierż. Krystian Banach
21 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

kpr. Gerard Wasielewski
22 grudnia 2003 r., PKW Irak

sierż. Zbigniew Biskup
22 grudnia 2011 r.,
PKW Afganistan

chor. Stefan Sekuła
24 grudnia 1992 r.,
UNTAC Kambodża

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci naszego kolegi

mjr. Jacka Pomiecińskiego.

Pogrążonej w bólu i smutku

Żonie, Synom i Najbliższym

wyrazy współczucia składają dowódca,
żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Ze smutkiem zawiadamiamy,
że odszedł na wieczny spoczynek
mjr rez. Krzysztof Piotrowski,
pracownik Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Warszawie.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnych chwilach po stracie
składają żołnierze i pracownicy WSzW
w Warszawie.

**Panu ppłk. Przemysławowi Gruszcze
oraz Jego Bliskim**

wyrazy żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają koledzy z plutonów finansowych.

**Pani Danucie Damiękiej
oraz Jej Bliskim**

wyrazy żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Panu ppłk. Arkadiuszowi Senskiemu

wyrazy szczerego współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Grupy Wsparcia i Zabezpieczenia 56 Bazy Lotniczej
w Inowrocławiu.

**Panu Ryszardowi Wysocie,
Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego żalu i najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

**Panu kpt. Zbigniewowi Napierale
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy wojska
10 Brygady Logistycznej w Opolu.

Naszemu koledze
sierż. Maciejowi Kowalskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają szef sekcji, żołnierze i pracownicy
Sekcji Personalnej S-1 5 Pułku Inżynieryjnego
w Szczecinie Podjuchach.

**Panu ppłk. Mariuszowi Sztorcowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Teściowej

składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Olsztynie.

Wyrazy głębokiego współczucia

Pani Magdalenie Zbroszczyk

wraz z dziećmi

z powodu śmierci

Męża i Taty – st. szer. Dariusza Zbroszczyka

składa dowódca 5 Pułku Inżynieryjnego
w Szczecinie wraz z żołnierzami.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

podsekretarzowi stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej
Panu Bartłomiejowi Grabskiemu
składają kierownictwo i pracownicy
Agencji Mienia Wojskowego.

Dnia 4 listopada 2017 r. nagle zmarł
mjr w st. spocz. lekarz Zbigniew Portka.

Kondolencje

Rodzinnie

składają koleżanki i koledzy z Rejonowej
Wojskowej Komisji Lekarskiej w Lublinie.

Słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia

dla Pana Bartłomieja Grabskiego,

podsekretarza stanu w MON,

oraz Rodziny

z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowodzi.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,
podsekretarzowi stanu w MON,
wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerę
kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają audytorzy wewnętrzni
Biura Audytu Wewnętrznego MON.

Podsekretarzowi stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i najszczerze
kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają dyrektor, kadra i pracownicy wojska
Departamentu Edukacji, Kultury
i Dziedzictwa MON.

Panu ppłk. Mirosławowi Habie

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódcę, żołnierze i pracownicy
22 Wojskowego Ośrodka Kartograficznego.

**Panu Ministrowi Bartłomiejowi Grabskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Matki

składają szef Inspektoratu Systemów
Informacyjnych, kadra oraz pracownicy wojska.

Panu Ministrowi Bartłomiejowi Grabskiemu

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

„Nie umiera ten,
kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich”.

Panu Bartłomiejowi Grabskiemu,

podsekretarzowi stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej,
oraz Jego Rodzinie

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają połączeni w żałobie i smutku
dyrektor, żołnierze i pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej.

Panu st. szer. Jackowi Kurkowi

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódcę, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
podsekretarzowi stanu
Bartłomiejowi Grabskiemu
z powodu śmierci
Matki
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
wojsk obrony terytorialnej.

**Panu st. chor. Łukaszowi Parzyszowi
oraz Jego Najbliższym**
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają dowództwo, żołnierze i pracownicy RON
6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych w Śremie.

Panu dr. n. med. Andrzejowi Michalakowi
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Teściowej
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
Pani Alicji Roszkowskiej-Cieślińskiej
składają dowódca płk Mirosław Szwed,
żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
mł. chor. rez. Mariusza Chybalskiego
składają dowódca płk Mirosław Szwed, żołnierze
i pracownicy resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

KSIĄŻKA

Śladami akowców

**Brawurowe akcje żołnierzy
polskiego podziemia.**

Nikogo nie trzeba chyba przekonywać do tego, jak wielka jest różnica między słowami „armia” a „związek”. Tym bardziej że chodzi nie tylko o kwestie semiotyczne, lecz także strukturalne, prestiżowe czy symboliczne. „Ale o co chodzi?”, aż ciśnie się na usta. Ano 75 lat temu Związek Walki Zbrojnej przerodził się w Armię Krajową. Rocznicę tego niezwykle ważnego wydarzenia dla funkcjonowania ówczesnego podziemnego wojska, które stawiało opór okupantom, Wojciech Königsberg potraktował jako pretekst, żeby pokazać całe spektrum działań żołnierzy AK. Wybrał 75 brawurowych, aczkolwiek nie zawsze spektakularnych i zakończonych powodzeniem, akcji dywersyjnych, sabotażowych, zaopatrzeniowych czy wywiadowczych. Obok tak znanych jak likwidacja Kutschery lub gestapowców w „Adrii”, operacja „Most III”, aktywność „Ponurego” w Świętokrzyskiem, akcja „Góral” czy odbicie „Rudego” pod warszawskim Arsenalem opisał również przejęcie żywności z magazynów w Chmielniku czy zdobycie lornetek.

Kluczem do tego typu wydawnictw jest dopasowanie treści do pewnego szablonu, tak aby powstała spójna publikacja. Jest to konieczne, ale też stanowi pułapkę. W czasie lektury chwilami odczuwałam niedosyt. Trzy, cztery strony na opisanie wojny psychologicznej z Niemcami to zdecydowanie za mało, bo akcja „N” to tak naprawdę temat na odrębną książkę. Nie można jednak powiedzieć, że autor wpadł w pułapkę wynikającą z leksykonowego charakteru publikacji. Zdecydowanie wykorzystał wszystkie atuty zastosowania szablonu, jednocześnie tchnął w opowieść swoją pasję widoczną w osobistych odniesieniach. Co więcej, stworzył pewnego rodzaju przewodnik po historii Armii Krajowej, który czytelnik może wykorzystać do szukania we współczesnym świecie śladów opisywanych zdarzeń.

ANETA
WIŚNIEWSKA

Wojciech Königsberg,
„AK 75. Brawurowe akcje
Armii Krajowej”,
Znak, 2017





KSIĄŻKA

ŻYCIE KOMPLETNE

Miejsce na kartach historii Wielkiego Kuriera.

Janek zaczął pakować walizkę. Trafił do niej aparat Leica i kilka filmów. Parę paczek papierosów. Trochę drobiazgów. Na wierzch – mundur. Na zewnątrz przywiązana została, zawinięta w pled, szabla honorowa Prezydenta RP.

– Myślisz, że będziesz się nią bić? Broń honorowa nie jest do tego... – rzucił Marian.

– Wiem. Ale na paradę zwycięstwa w Berlinie będzie

w sam raz – ripostował natychmiast młodszy brat”.

Kiedy młody Janek Kozielski dostał wezwanie mobilizacyjne do 5 Dywizjonu Artylerii Konnej, był przekonany, że chodzi raczej o postraszenie Niemców i że szybko wróci do domu, do służby konsular-

nej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Po kilku tygodniach wojny musiał składać broń przed Sowiecami, po czym szybko trafił do obozu jenieckiego w Kozielszczyźnie, a los Polski został przesądzony.

**WIDZIAŁ
ZAGŁADĘ POL-
SKICH ŻYDÓW
I INFORMOWAŁ
O TYM ŚWIAT**

Na przeszło tysiącu stronach Waldemar Piasecki, dziennikarz i przyjaciel Wielkiego Kuriera, wyjątkowo plastycznie szkicuje lata wojenne i drogę Jana

Karskiego ze wspomnianego obozu aż do najważniejszych gabinetów Europy, a w końcu Stanów Zjednoczonych. Karski, jako kurier Polskiego Państwa Podziemnego, przemierzał granice targanej wojenną pożogą Europy, przekazując rządowi na uchodźstwie informacje z okupo-

wanej ojczyzny. Dotyczyły one kwestii politycznych, gospodarczych, nastrojów społecznych, ale także zawierały wskazówki dla tworzonych struktur konspiracyjnych.

Na własne oczy zobaczył zagładę polskich Żydów, przedostając się do warszawskiego getta. Widział także nazistowską maszynę śmierci w obozie przejściowym w Izbicy, skąd transporty jeńców trafiały do Bełżca. Swoje obserwacje przekazał aliantom zarówno w Londynie, jak i Waszyngtonie.

Bezcenne dla czytelnika są wspomnienia samego Karskiego, przywołującego nazwiska przyjaciół, ludzi, którzy wprowadzili go do podziemia czy ratowali z rąk gestapo – wszystkich otacza życzliwą pamięcią. Nie da się jednak nie zauważyć nut rozczarowania i żalu, pobrzmiewających na kartach tej porywającej książki. Karski nie pozostaje bowiem bezkrytyczny wobec wydarzeń z przeszłości ani wobec ludzi, z którymi miał do czynienia. Środowisku, które tworzyło zręby podziemnych struktur, zarzucał, że nie było w stanie stworzyć jednej wspólnej koncepcji walki z dwoma okupantami – Rosją Sowiecką i III Rzeszą. A brak solidarności i ideologiczne starcia różnych frakcji w kierownictwie podziemia źle rokowały na przyszłość.

Dla mnie cenne, choć gorzkie, pozostają słowa Karskiego – który przecież doskonale wiedział, co to znaczy „inferno” – że Polska jest krajem, który powinien unikać przesady w moralizatorstwie.

KATARZYNA PIETRASZEK

Waldemar Piasecki, „Jan Karski. Jedno życie. Kompletna opowieść, tom II (1939–1945). Inferno”, Insignis, 2017.
Pierwszy tom trylogii: „Jan Karski. Jedno życie. Kompletna opowieść. Madagaskar (1914–1939)”.
W przygotowaniu tom III „Manhattan”, obejmujący lata 1945–2000.



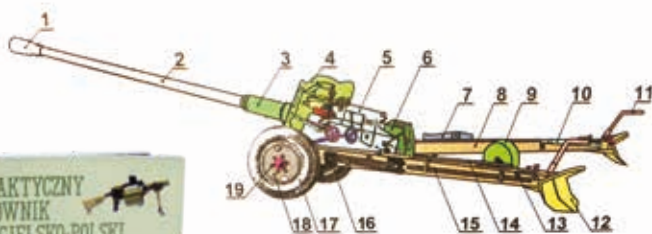
„Praktyczny słownik angielsko-polski broni palnej”,
pod. red. Ryszarda
Woźniaka, Bellona, 2017

KSIAŻKA

Słownik gunnera

W we współczesnym wojsku bez biegłej znajomości języka angielskiego ani rusz. I chodzi nie tylko o prowadzenie niezobowiązujących rozmów z kolegami zza oceanu w czasie międzynarodowych ćwiczeń, lecz także o posługiwanie się specjalistyczną terminologią w czasie działań wojskowych czy studiowania instrukcji obsługi sprzętu. „Praktyczny słownik angielsko-polski broni palnej” z pewnością przyda się żołnierzom, wojskowym specjalistom, studentom, ale też pasjonatom militariów, którzy często korzystają z anglojęzycznej literatury. Nie jest to jednak klasyczny leksykon z hasłami ustawionymi od A do Z, lecz zestaw plansz i zdjęć ze schematami różnego rodzaju uzbrojenia i amunicji, którym towarzyszą polskie i angielskie opisy poszczególnych elementów. W przekroju czołgu pod numerem 45 kryje się na przykład hasło: „elevating handwheel”, czyli „pokrętło mechanizmu podniesieniowego armaty”. Znakomita ściągą angielskiej terminologii broni palnej. ■

ANETA WIŚNIEWSKA



53
schematy

170
stron

TYSIĄCE

specjalistycznych
wyrażeń

OPISY BRO-
NI STRZE-
LECKIEJ
OD REWOL-
WERU DO
CZOŁGU

KSIAŻKA

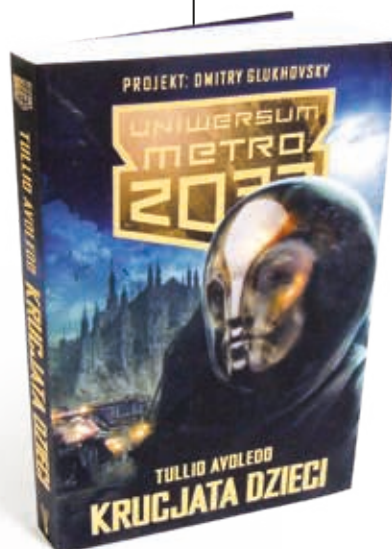
Na gruzach starego świata

Jezuita John Daniels kolejny raz ma do spełnienia ważną misję. W poprzedniej powieści Tullia Avoledo „Korzenie niebios”, która ukazała się w serii „Universum Metro 2033”, wysłano go do Wenecji. Tym razem schodzi do podziemi Mediolanu, aby odnaleźć ukryte tam tajemnicze Miasto i nakłonić jego mieszkańców do współpracy. Może okazać się to niezwykle trudne, bo teraz ma do czynienia z dziećmi, które przetrwały katastrofę nuklearną, lecz przez lata odcięte były od świata dorosłych. Avoledo stworzył w swojej powieści przedziwną wersję wyspy Piotrusia Pana. Enklawę zagubionych wyrostków, którzy wiedzą o świecie czerpią z książek dla dzieci i „Gwiezdných wojen”, a jednocześnie są w pełni świadomi brutalnej, postapokaliptycznej rzeczywistości, której za wszelką cenę nie chcą zauważać.

„Krucjata dzieci” jest jak kociolatek z różnościami. Nieoczywista i realistyczna, wzruszająca i wstrząsająca brutalna. Mnóstwo w niej kodów i odniesień do literatury, popkultury, ale też religii, psychologii i prądawnych wierzeń. Bohaterowie nie są ani dobrzy, ani źli, można ich polubić, ale nie wzbudzają do końca zaufania. A jednocześnie trudno się z nimi rozstać. Avoledo miesza fragmenty „Przygód Tomka Sawyera” z cytatami z „Pisma Świętego” i „Gwiezdných wojen”, miksując pełne nabożnej duchowości sceny z takimi, które przypominają horrory klasy C. A jednak wszystko to układa się w bardzo spójny obraz świata po zagładzie, odciętego grubą kreską od historii, tradycji, religii i prawa, oraz jego mieszkańców, którzy na gruzach starej cywilizacji usiłują stworzyć nową.

Tullio Avoledo jest chyba jednym z najstarszych i najbardziej doświadczonych pisarzy spośród wszystkich autorów serii „Metro”. Z wykształcenia prawnik, pierwszą powieść wydał we Włoszech już w 2003 roku. W Polsce ukazały się dotychczas dwie jego książki. ■

JOANNA ROCHOWICZ



Tullio Avoledo, „Krucjata dzieci”,
Insignis, 2017

DZIESIĘĆ KART „POTOPU”

FUNDACJA PGZ



Inwestycja w kulturę

Dzięki Fundacji Polskiej Grupy Zbrojeniowej rękopisy Henryka Sienkiewicza trafią do jego muzeum.

Trzy fragmenty powieści: zdobycie szwedzkiej chorągwi królewskiej, zdobycie Sandomierza, a także poselstwo Zagłoby do obozu szwedzkiego po Rocha Kowalskiego – w sumie dziesięć kart rękopisu – trafią do Muzeum Henryka Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej. Zakup był możliwy dzięki zbiorce na ten cel, w którą włączy-

ło się wiele podmiotów – firmy, przedsiębiorcy i osoby prywatne, a także nowo utworzona Fundacja Polskiej Grupy Zbrojeniowej. „Nikt tak nie opisał polskiego ducha wojskowego, polskich zalet i słabości, jak właśnie Sienkiewicz”, podkreślił w czasie uroczystości przekazania darowizny minister Antoni Macierewicz. AD ■

ZABYTKOWY NAPĘD

Renault FT-17 będzie miał oryginalny silnik.

Czołg, który w dwudziestolecie międzywojennym służył w polskiej armii, pięć lat temu został sprowadzony z Afganistanu i trafił do Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej w Warszawie. Maszyna nie miała jednak sprawnego silnika i pracownicy muzeum szukali go na całym świecie. Latem tego roku do Mirosława Zientarzewskiego, kie-

rownika placówki, zadzwonił Paweł Bruszek, kolekcjoner zabytkowych samochodów. Powiedział, że ma taki silnik, odnaleziony podczas prac porządkowych w piwnicy warszawskiego budynku. Okazało się, że jest w świetnym stanie, nie ma żadnych uszkodzeń. W skrzyni korbowej znajduje się jeszcze olej. „Motor nie będzie eksploatowany w czołgu, raczej pokażemy go gościom muzeum”, mówi Zientarzewski. Ekspонат trafi do MPTW na wystawę „Wojna 1939. Zrobiliśmy to, co do nas należało”. EK ■

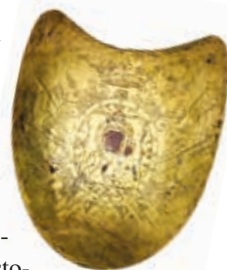
KLIP O BOHATERZE

Patrick Ney, Brytyjczyk mieszkający w Polsce, nakręcił film o historii płk. Witolda Pileckiego. Sześciominutowy klip „The Incredible Story of the Hero Who Volunteered for Auschwitz Will Amaze You”, ma promować postać polskiego bohatera na Zachodzie. Jest to opowieść o życiu Pileckiego oraz o najnowszej historii Polski, m.in. o ruchu oporu podczas II wojny światowej i powstaniu warszawskim. W filmie wystąpił też syn rotmistrza Andrzej Pilecki. Ney mieszka w Polsce od siedmiu lat. Jak pisze na swoim blogu, wcześniej pracował dla rządu brytyjskiego, a do Polski przyjechał za swoją dziewczyną. AD ■

Walka i ochrona

Pamiętka z czasów konfederatów barskich

Osiemnastowieczny ryngraf pochodzi ze zbiorów prywatnych Tadeusza Szczechowia-ka, mieszkającego w Stanach Zjednoczonych. Na awersie znajduje się wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, na rewersie zaś – Matki Bożej Niepokalanej Poczęcia. Jest też wykuta data – 1776 rok. Jak mówił podczas uroczystego przekazania daru Adam Buława, dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, ryngrafy z czasów konfederacji barskiej dały początek tradycji ofiarowania tego typu przedmiotów jako pamiątek patriotycznych. AD ■





ANDRZEJ
FĄFARA

Z głównym koniec



Zrobiłem sobie powtórkę historyczną na użytek czytelników „Polski Zbrojnej”. Powtórkę z wydarzeń w Afganistanie z grudnia 1979 roku, czyli dokładnie sprzed 38 lat. To wtedy doszło w tym kraju do słynnej interwencji wojsk radzieckich, której jednym ze skutków był bojkot przez większość państw zachodnich igrzysk olimpijskich w Moskwie. Cztery lata później miała miejsce sytuacja odwrotna – tzw. obóz socjalistyczny odmówił udziału w walce o medale w Los Angeles.

Określenie „interwencja” może się kojarzyć z dziesiątkami dywizji, które wmaszerowały do Afganistanu. Na początku nic takiego się nie wydarzyło. Działania wstępne podjęły sowieckie siły specjalne, które po cywilnemu przekraczały granicę. Nie było ich dużo. Za główny cel towarzysze radzieccy uznali opanowanie pałacu

Tadź-bek, w którym urzędujący prezydent Hafizullah Amin postanowił akurat wydać kolację dla swoich partyjnych przyjaciół i zwolenników. Biesiada miała uczcić... zapowiadane przybycie kontyngentu wojsk radzieckich.

Sęk w tym, że Amin, choć objął władzę z nadania Moskwy, przestał być z jakichś powodów wygodny dla Rosjan. W poczekalni, a ściślej mówiąc w bazie Bagram, czekał już kandydat na kolejnego prezydenta, Babrak Karmal. To dla niego oddział specnazu miał uprzątnąć pałac Tadź-bek.

Do zadania sowieccy specjalsi podeszli w sposób nietypowy, choć zapewne mieszczący się w tradycji wschodniej. Oto bowiem za ich sprawą wielu uczestników kolacji, wśród nich sam Hafizullah Amin oraz jego rodzina, uległo ciężkiemu zatruciu pokarmowemu. Ludzie prezydenta zadzwonili po pomoc. Ale nie do jednego z afgańskich szpitali w Kabulu, tylko do lekarzy radzieckich. Do nich mieli bowiem zaufanie. Ci stawili się bardzo szybko i zaczęli ratować nieprzytomnego Amina. Nie mieli zielonego pojęcia, że w tym samym czasie ich rodacy szarżują pałac Tadź-bek.

Położona na stromym wzgórzu budowla schodzi w dół dzięki licznym tarasom. Była trudna do zdobycia nawet dla znakomicie wyszkolonych sił specjalnych. Za to łatwa do obrony przez oddział żołnierzy wywodzących się z plemienia prezydenta Amina. Dodatkowe zabezpieczenie stanowiły znajdujące się kilkaset metrów od pałacu pierścienie obrony. Szkopuł w tym, że jeden z nich został utworzony przez tzw. batalion muzułmański, czyli czerwonoarmiejców z Tadżykistanu, Turkmenii i Uzbekistanu.

Późnym wieczorem jest już po wszystkim. Uratowany przez radzieckich medyków prezydent Amin zostaje przeszyty serią karabinu maszynowego. Dowódca sił specjalnych może przesłać następujący komunikat: „Pałac wzięty, dużo zabitych i rannych, z głównym koniec”.

Te wszystkie okoliczności przez wiele lat nie były znane. Ani w Związku Radzieckim, ani w Polsce. Być może przedostały się w jakiś sposób na Zachód, tego nie wiem. U nas gazety pisały o bratniej interwencji, która miała na celu wprowadzenie stabilizacji w regionie. Oczywiście dla dobra samych Afgańczyków.



KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

Polecam!

dr Dominik Smyrgała, redaktor naczelny

HISTORIA PolskaZbrojna

JUŻ
W SPRZEDAŻY
POCZTA POLSKA
SALONY EMPIK

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna